



DOKĄD PROWADZI SYNOD O SYNODALNOŚCI?

Papież Franciszek realizuje plan niemieckich progresistów



Zapora na granicy z Rosją przeciw inwazji migrantów Putina

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 46/502 14–20 LISTOPADA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



KATAR 2022

JAKIE SĄ SZANSE
POLSKI
W MISTRZOSTWACH
ŚWIATA
W PIŁCE NOŻNEJ

Wyborczy triumf izraelskich rasistów

Rodzi się brunatny liberalizm

Kto chce delegalizacji partii Jarosława Kaczyńskiego



HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Benito Mussolini wobec Żydów!

Jan Jacek Bruski – Pakt Piłsudski-Petlura
Grzegorz Janiszewski – Polacy w Kijowie
Piotr Zychowicz – Zdrada w Rydze
Sławomir Koper – Rubinstein i kobiety
Jakub Ostromecki – Madziaryzacja Słowacji
Keith McCloskey – Horror na Przełęczy Działowa
Mikołaj Iwanow – NKWD kontra AK
Rafał A. Ziemkiewicz – Historia do negocjacji

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Wyznawcy zielonego cielca



PAWEŁ LISICKI

Kiedyś, dawno, dawno temu, mówiono mi w szkole, że wiek XX (nie wspominając już o nadchodzącym) jest epoką rozumu, krytycyzmu, rozsądku, wiedzy i nauki. To jasne: przełom nastąpił wraz z epoką oświecenia i od tej pory ludzkość z dnia na dzień, a z pewnością z wieku na wiek, jest coraz mądrzejsza, dojrzała i bardziej rozumna. Owszem, zdarzają się wypadki i zawirowania, takie jak choćby panowanie totalitaryzmu czy okrucieństwo drugiej wojny światowej, ale co do ogólnego przebiegu dziejów i jego efektów nie należy mieć wątpliwości. Tymczasem im więcej czasu upływa właśnie w naszym wspinałym wieku XXI, tym bardziej przekonuję się, że ludzie masowo tracą rozum, nie potrafią posługiwać się argumentami, a zamiast „mędrca szkiełka i oka” coraz większy wpływ na społeczeństwo zyskują szarlatani i mędrkowie oraz pobudzane przez nich niedojrzałe masy. Nic nie pokazuje tego lepiej niż najpierw krótkotrwała kariera największej pandemii w dziejach świata, a obecnie gwałtowny rozwój religii ekologizmu. Jasno pokazał to szczyt klimatyczny w Egipcie.

Pojawił się na nim właśnie wybrany premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak, nominalnie konserwatysta. Biedak ledwo zdążył stanąć na czele rządu Jej Królewskiej Mości i popędził jako pierwszy złożyć hołd zielonemu cielcowi (Izraelici mieli złoty). W pierwszym przemówieniu w Egipcie (w końcu według Biblii symbolicznej ziemi bałwochwalstwa) wezwał świat do przyspieszenia działań na rzecz walki ze zmianami klimatycznymi. Co skądinąd zabawne, powodem, dla którego trzeba z nimi walczyć, ma być... wojna na Ukrainie. Według

Sunaka „bezpieczeństwo klimatyczne i energetyczne idą w parze”. „Odrażająca wojna Putina na Ukrainie i rosnące ceny energii na całym świecie nie są powodem do spowolnienia zmian klimatycznych. Są powodem do szybszego działania” – stwierdził Sunak. I dodał: „Możemy przekazać naszym dzieciom bardziej zieloną planetę i bardziej dostatnią przyszłość [...]”. Naprawdę jest miejsce na nadzieję? Po pierwsze, co ma piernik do wiatraka? Jaki jest związek wojny Putina i zmian klimatycznych? Czy istnieje jakkolwiek analiza naukowa, która by pokazywała taką zależność?

Rosnące ceny energii wynikają pośrednio z wojny, a bezpośrednio z polityki sankcji nałożonych przez Zachód na Rosję. Zresztą, to paradoks, gdyby kierować się logiką klimatystów/ekologów (wiem, że określenie „logika” to może za dużo), to wzrost cen energii prowadzi do jej oszczędzania, a to powinno przyczynić się do lepszego świata. Im mniej nieczystej energii, tym lepiej, bo przeżyje Ziemia. Z tego punktu widzenia wojna i sankcje powinny ich cieszyć. Zresztą od jutra już pan Sunak mógłby spełnić swoje marzenia i po prostu w ogóle zakazać używania paliw kopalnianych. Brytyjczycy wróiliby radośnie do epoki przedprzemysłowej i wtedy mogliby oddać się swojej drugiej obok walki o czysty klimat pasji, a mianowicie walce o równość orientacji płciowych. Niestety, panu Sunakowi brak radykalizmu i zamiast tego muszę słyszeć o świeckiej eschatologii: „Możemy przekazać naszym dzieciom zieloną planetę”. Możemy. Bła, bła, bła.

Nie mniej stanowczo brzmiały słowa nowej włoskiej premier Georgii Meloni. W Egipcie mówiła: „Jesteśmy w decydującym

momencie walki ze zmianami klimatycznymi, a w ostatnich miesiącach doświadczyliśmy dramatycznych skutków w wielu regionach planety”. Również jej słowa miały delikatny posmak religijny: „Jesteśmy wezwani do tego, by zrobić więcej i szybciej, by chronić klimat”. Kto ich do tego, u licha, wezwał? Może papież Franciszek i Matka Ziemia. Dlaczego ten język wyznawców klimatyzmu musi być tak szkaradnie miały? Należy „umieścić osoby w centrum” podejmowanych działań i „połączyć zrównoważony rozwój środowiska z gospodarczym i społecznym”. Tyle mądrości nowej prawicowej gwiazdy, pani Meloni. Wspominał o tych dwóch politykach, bo teoretycznie można się po nich było spodziewać więcej trzeźwości. Nic z tego. Reszta starych wyjadaczy spokojnie i dostojnie bredziła po swojemu, ogłaszając, że „ludzkość ma wybór: współpracować albo zginać”, bo jesteśmy w punkcie krytycznym i planeta Ziemia zaraz upadnie. Doprawdy, rzadkie połączenie megalomanii, pychy i banału.

Nic dziwnego, że po wysłuchaniu tych kazań co bardziej emocjonalnie niedojrzałe dziewczęta i chłopcy rzucają się na autostrady, demolują obrazy znanych mistrzów lub popełniają inne głupstwa. Za sprawą tego rodzaju szczytów ludzkość wprowadza się po prostu w stan delirium, więc niektórym puszczają nerwy.

Muszę powiedzieć, że na tle innych dość rozsądnie brzmiały słowa polskiego prezydenta, który zauważył, że też by chciał, by zimą był w górach śnieg. Chociaż nie mogę do końca zrozumieć, po jakie licho Andrzej Duda w ogóle tam pojechał. Po co uczestniczyć w tym sabacie szaleństwa? ©©

TEMAT TYGODNIA

20 PIOTR SEMKA
**ZAKAZAĆ, WYWŁASZCZYĆ,
ZDELEGALIZOWAĆ**
Zniszczyć PiS za wszelką cenę

24 JAN FIEDORCZUK
CZAS BRUNATNYCH LIBERAŁÓW



NAGRODY TYGODNIKA „DO RZECZY”

14 KAROL GAC
STRAŻNICY PAMIĘCI
Relacja z gali na Zamku Królewskim w Warszawie

KRAJ

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZAGŁADA KLERKÓW
Opozycja w spirali przeszłości

32 TOMASZ ROWIŃSKI
OSŁONA PRZED NIECHCIANYM

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
DLACZEGO CZESI MAJĄ WIĘCEJ DZIECI?

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
PROSTO W KOSZMAR
Wojna na Ukrainie oczami filmowców

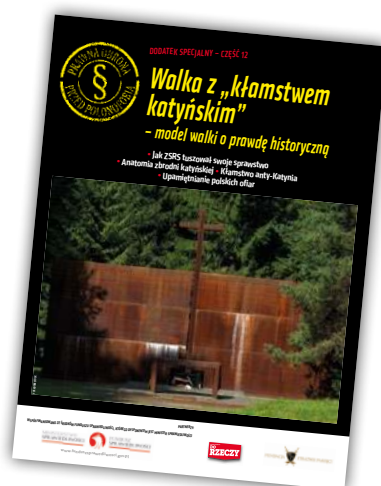
38 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
WOKANDA POETY

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

47 PRAWNA OCHRONA PRZED POŁONOFABIĄ
WALKA Z „KŁAMSTWEM KATYŃSKIM”
– MODEL WALKI O PRAWDĘ
HISTORYCZNĄ



OPINIE

64 MAREK JUREK
WRACAJĄC Z MADRYTU
Polska racja stanu

67 PAWEŁ CHMIELEWSKI
**PAPIEŻ REALIZUJE
NIEMIECKI PLAN**

70 ŁUKASZ WARZECHA
ZIELONI KHMERZY ATAKUJĄ

HISTORIA

72 PIOTR WŁOCZYK
NIECHCIANA BOMBA
Początki nuklearnej potęgi

74 AGNIESZKA GOŁAŃSKA-BAULT
PATRON NA CIĘŻKIE CZASY

ŚWIAT

78 MACIEJ PIECZYŃSKI
NIE MA ROSJI BEZ PUTINA
Kreml nie musi bać się rewolucji

80 WITOLD REPETOWICZ
TRIUMF IZRAELSKICH RASISTÓW

EKONOMIA

84 JAKUB WOZIŃSKI
**NOWE STARE OBLICZE
PODATKU BELKI**
Podatkowa żonglerka rządu

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
KATAR I CHOROBA
Jakie są szanse Polaków na mundialu?

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (77), PRZYBYLSKI (83), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)



**Pierwsza stłuczka?
Nie szkodzi!**



**Ochrona Zniżki OC
już za 35 zł rocznie**

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Klauzula Ochrona Zniżki działa w przypadku pierwszej szkody z OC oraz pierwszej szkody z AC dla danego pojazdu, pod warunkiem opłaty dodatkowej składki przy ubezpieczeniu OC lub pakiecie OC/AC. Klauzula nie jest dostępna w przypadku braku historii ubezpieczenia OC u wszystkich właścicieli pojazdu lub gdy wystąpiła szkoda z OC w ostatnim roku u któregośkolwiek z właścicieli pojazdu. Szczegółowe informacje dostępne są w OWU Komunikacja na stronie www.link4.pl.

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Grecie musi śmierzcie!

Szanowna Redakcjo, [...] mniej więcej 11 lat temu pracowałem w polskiej spółce córce pewnej norweskiej instytucji zajmującej się badaniem zanieczyszczeń powietrza. Prezes tej spółki – mój ówczesny kolega – był współorganizatorem i jednym z uczestników studyjnego wyjazdu do Norwegii szefów kilku dużych polskich firm energetycznych i elektrociepłowni. Jednym z ostatnich punktów programu był pobyt polskich gości w archipelagu Svalbard na wyspie Spitsbergen, gdzie istniały jedyne wówczas norweskie kopalnie węgla kamiennego oraz elektrownia węgla. Pierwszym wrażeniem naszej delegacji po dotarciu do elektrowni był dojmujący smród jako produkt uboczny spalania węgla. Nasi rodacy nie chcieli jednak zrazić gościnnych Norwegów, więc nie drążyli powodu tego stanu. Jednak na pożegnalnej kolacji po kilku toastach aquavitem w kuliach spytano jednego z gospodarzy, co jest powodem takiej sytuacji. Przecież – argumentowano – w Polsce mamy wyznaczone graniczne limity emisji

2 Może trzeba pójść na kompromis z KE? ...



2 Może trzeba pójść na kompromis z KE? ...



produktów spalania, istnieją automonitoring wokół elektrowni, stały nadzór, kontrole WIOŚ, itd., itp., o nowoczesnych, bardzo wydajnych systemach oczyszczania gazów powstających przy spalaniu węgla nie wspominając. Na to uśmiechnięty Norweg stwierdził: „To MA śmierzcie! Tam przyjeżdżają wycieczki szkolne z całej Skandynawii i młodzież od wczesnych lat ma wiedzieć, że węgiel to złoto!”

No i wszystko jasne! Naszym rodakom opadły przystawowe szczęki i nie zadawali więcej pytań.

Jestem pewien, że wielu dzisiaj zagorzałych przeciwników paliw kopalnych, łącznie z panną Gretą Thunberg, odbyło podobną wycieczkę, co na zawsze ugruntowało ich mniemanie o trującym węglu...

A propos zabójczych dla środowiska emisji – wiele lat temu ówczesni obrońcy środowiska usilnie przekonywali cały świat o istnieniu ogromnej dziury ozonowej nad Antarktyką, która to dziura miała być efektem emisji do powietrza związków chemicznych z urządzeń AGD i sprayów. Powiększanie tej dziury miało spowodować wyginięcie życia na Ziemi z powodu zabójczego promieniowania z Kosmosu. Kiedy już kosztem miliardów dolarów konsumenci w „cywilizowanym” świecie wymienili lodówki, klimatyzację i wprowadzono na rynek nowe spraysy, wokół tego zjawiska zapanowała milczenie. Dziura ozonowa nadal straszy nad Antarktyką, ale – skoro zarobiło się miliardy – już podobno nie jest niebezpieczna. Ciekawe, jaki procent z tych miliardów wpadł do kieszeni ówczesnych ekologicznych krzykaczy.

Z poważaniem
Leszek Sebesta



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torajski, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,

Małgorzata Wokczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Zygałdo.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoreżyseria: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczak-Stefaniak**

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Jacek Dominiński/Reporter, Adobe Stock; oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 53 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów

oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego

wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów

opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niestosowny **pozew**

Syn legendarnego rtm. Witolda Pileckiego wystąpił do sądu z wnioskiem o odszkodowanie za wydanie i wykonanie wyroku śmierci na jego ojcu. Zwraca uwagę suma odszkodowania – 26 mln zł to kwota ogromna, która – o ile mi wiadomo – jeszcze nigdy nie została nikomu wypłacona z tytułu podobnych roszczeń. Sprawa jest o tyle jeszcze bardziej kontro-

Andrzej Pilecki, syn bohatera, ma dziś 90 lat. Z uwagi na jego wiek i niełatwą drogę życiową nie jest mi łatwo komentować jego decyzję. A jednak trudno się pozbyć poczucia nieestosowności jego wniosku.

Owszem, prawdziwe są opinie takie jak np. ta wyrażona przez Andrzeja Sadowskiego, ekonomistę z Centrum im. Adama Smitha, że trudno jest dokładnie

sięgały gigantycznych sum. Być może dlatego, że w Polsce liczba ludzi, którzy mogliby występować do sądów o odszkodowania za krzywdy z lat 1939–1956, jest gigantyczna.

Przez ostatnie 30 lat bardzo wiele razy broniłem wielu osób, które występowały do Skarbu Państwa o odszkodowanie za swoje krzywdy ze strony komunistycznego państwa. Irytowały mnie pozy bohaterów, np. solidarnościowego podziemia, którzy żyłymi się, że inni mniej znani solidarnościowi działacze chcą odszkodowania za lata więzienia czy za zniszczone zdrowie wskutek pobytu w obozach internowania. Ale teraz, gdy stykamy się z wnioskiem syna rtm. Witolda Pileckiego, warto zadać pytanie, jakie są granice tego typu roszczeń.

Osobiście wołałbym, żeby państwo wynagrodziło kogoś, kto nigdy nie dostał jeszcze ani grosza za swoje cierpienia. Nie bardzo wiem, jak zakończyć ten felieton. Mam nadzieję, że ktoś z przyjaciół rodziny skłoni pana Andrzeja Pileckiego do wycofania się z pozwu. Nic dobrego z tego nie wyniknie. ©©

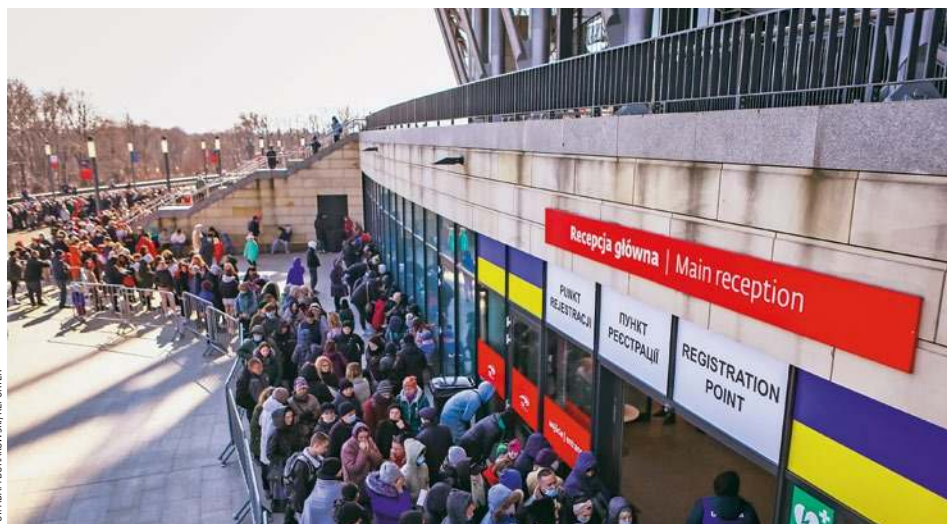
Przez ostatnie 30 lat bardzo wiele razy broniłem wielu osób, które występowały do Skarbu Państwa o odszkodowanie za swoje krzywdy ze strony komunistycznego państwa. Ale teraz warto zadać pytanie, jakie są granice tego typu roszczeń

wersyjna, że – jak podał „Super Express” – rodzina Pileckiego już raz otrzymała odszkodowanie. Wyrokiem Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego z 21 grudnia 1990 r. zasądzono wówczas na rzecz żony rtm. Pileckiego Marii i jego córki Zofii oraz syna Andrzeja kwotę 500 mln ówczesnych złotych. Jak na ówczesne czasy była to znacząca kwota.

wyliczyć odpowiednią sumę za tak wielkie cierpienie i śmierć niewinnego człowieka. Tak samo trafna jest opinia Sadowskiego, że wysokość odszkodowań w Polsce ma się nijak do odszkodowań zasądzanych przez amerykańskie sądy. Ale też można z drugiej strony powiedzieć, że w Polsce nigdy nie było podobnych obyczajów jak za oceanem, gdzie odszkodowania

MILIONY UCHODźCÓW Z UKRAINY

Od początku wojny z Ukrainy do Polski wjechało 7,61 mln osób – poinformowała w ubiegłym tygodniu Straż Graniczna. – Wszyscy, którzy chcieli przekroczyć granicę, mieli taką możliwość. Polska i Polacy nadali nowego znaczenia pojęciu europejskiej solidarności – mówił w Brukseli wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Paweł Szefermaker, przedstawiając w Parlamencie Europejskim raport o działaniach Polski po rosyjskiej agresji na Ukrainę 24 lutego. Dodął, że numer PESEL otrzymało w Polsce ponad 1,4 mln Ukraińców. (jap) ©©



FOT. ADAM BURKOWSKI/REPORTER



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Balcerowicz do potęgi

Budowa gazociągów Nord Stream 1 i 2 przejdzie zapewne do historii jako przykład głupoty i „chciejstwa”. Dla każdego, kto tylko dowiedział się o niemieckich planach, powinno być od samego początku oczywiste, co się święci. Jeśli Niemcy gotowi byli wyłożyć 10 mld euro na połączenie podmorskie, które można było zbudować po lądzie za 2 mld (nie wspominając o tym, o ileż by to było bezpieczniejsze), i de facto sfinansować także „rosyjską” część inwestycji – byle tylko ominąć Polskę i kraje bałtyckie oraz dać Rosji potężne narzędzie nacisku na kraje na wschód od nas – to tylko idiota mógł nie wiedzieć, o co chodzi. I wszyscy okazali się idiotami. „Projekt czysto biznesowy” – powtarzali za „Mutti” Merkel. Po co drażyć temat?

Najgorsze jest to, że dramatyczne obnażenie niemieckich politycznych pryncypiów, którym jest wyraźne sympatyzowanie przez Niemcy z bandycką napaścią Rosji na Ukrainę, bynajmniej nie otworzyło idiotom oczu. W sprawie Nord Streamów bezrefleksyjnie przełknęli niemieckie: „Oups, no sami nie wiemy, jak mogliśmy tak uzależnić całą UE od Rosji, no ale skoro już, to co robić”. A teraz oto podobnie udają, że nie rozumieją kolejnego niemieckiego szwindlu, którym jest decyzja o wpowinowaniu w bundesgospodarkę 200 mld euro rządowych dotacji (ta kwota to ponad 50 proc. całej „pomocy publicznej” w UE!).

Oficjalne wyjaśnienie, przyjmowane przez idiotów, brzmi podobnie jak szantaż amerykańskich banksterów –

sprawców kryzysu w 2008 r.: niemiecka gospodarka jest „zbyt wielka, by upaść”. Niemcy jak lokomotywa ciągną całą Europę, ich dobrobyt to dobrobyt mniejszych krajów, więc dotując siebie samych, dotujemy was.

Aprawda jest taka, że idzie kryzys, a kryzys to czas, gdy słabi bankrutują, a silni wykupują „masę upadłościową” po nich. Więc Niemcy wzmacniają swoje firmy, kpiąc z unijnych zasad uczciwej konkurencji, by mogły wykorzystać moment i wykupić jak najwięcej firm z południowej i środkowej Europy. Taka powtórka z reformy Balcerowicza (nie jej założeń, tylko skutku) na gigantyczną skalę.

Gdyby ktoś pytał – chodzi o „wolny rynek” i „solidarność europejską”. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Warunek udziału w UE

Polska przystąpiła do Unii Europejskiej w 2004 r., bo Konstytucja Rzeczypospolitej zachowała supremację wobec prawa unijnego; kropka. W przeciwnym wypadku traktat akcesyjny byłby z konstytucją sprzeczny, co orzekł Trybunał Konstytucyjny jeszcze za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego.

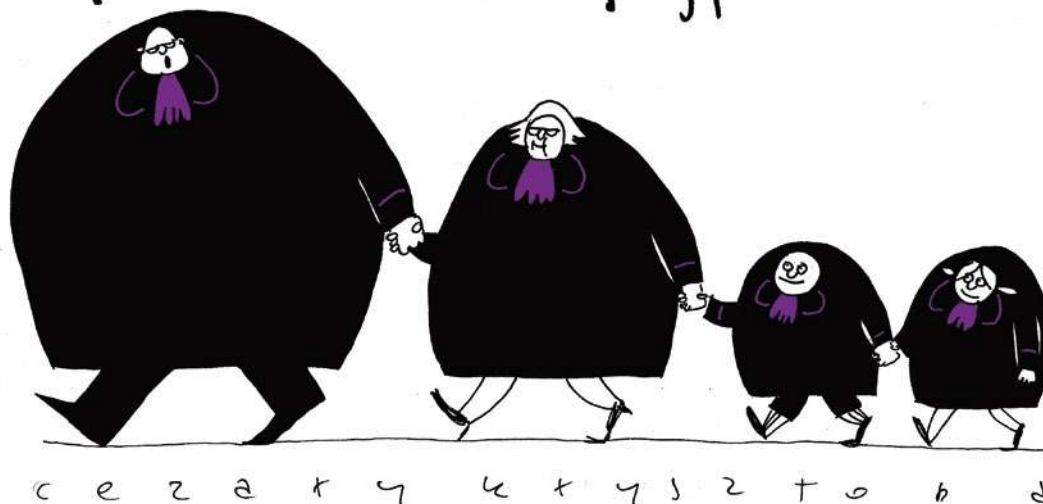
Zapewne gdyby trzeba było inaczej włączyć Polskę do Unii, jej zwolennicy konstytucją by się nie przejmowali. I możliwe, że by się im powiodło. Może jednak nie, skoro za udziałem w Unii głosowała przecież mniejszość uprawnionych do głosowania. Otwarte podważenie suwerenności z pewnością zrobiłoby na wielu Polakach wrażenie.

Ale to wszystko jedynie spekulacje. Mamy natomiast jeden twardy fakt prawny: polski porządek konstytucyjny obowiązujący od początku naszego udziału w tym zrzeszeniu państw. W 2021 r. Trybunał Konstytucyjny nie powiedział niczego nowego, jedynie przypomniał ustalone orzecznictwo konstytucyjne. Opozycja zaś, kierowana przez Donalda Tuska, namiętnie je kwestionuje, co nadaje jej charakter opozycji nie politycznej, ale wywrotowej, antypaństwowej. Kontrowersje wobec działalności Trybunału w ciągu ostatnich siedmiu lat okazują się jedynie pretekstem, by zakwestionować kluczowe elementy porządku konstytucyjnego w ogóle.

Wielokrotnie krytykowałem politykę rządów PiS wobec TK. Gdyby nie działali tak łączywie, ostatnie kluczowe orzeczenia Trybunału byłyby ogłaszane w całym majestacie suwerenności Rzeczypospolitej. Z perspektywy czasu jednak, stosując metodę porównawczą, biorąc pod uwagę dwa realnie funkcjonujące, konkurencyjne stanowiska, stwierdzić trzeba, że dezynwoltura Jarosława Kaczyńskiego w polityce sądowej to jedynie reakcja (a reakcja przecież jest ciągle konieczna) na całkowity nihilizm konstytucyjny Donalda Tuska i jego zwolenników. Ta woluntarystyczna reakcja została podjęta w imię skuteczności; czy okaże się na długą metę skuteczna – czas pokaże. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Tatuś wie pozwoli; żeby ktokolwiek was
dyscyplinował!!!



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O humanistach rosyjskich

Podczas papieskiej konferencji prasowej na pokładzie samolotu wracającego z Bahrajnu padło pytanie o wojnę na Ukrainie. Wynurzenia Franciszka mogły wprowadzić w stan trwałego osłupienia.

Papież oznajmił, że okrucieństwo nie jest cechą narodu rosyjskiego, bo to wspaniały naród. I obwinił najemników

Papież powrócił do swojej wizyty u ambasadora Rosji przy Watykanie na początku wojny. Powiedział, że ambasador Aleksander Awdiejew to humanista i protagonista walki o równość społeczną. Dlaczego? Bo w refleksji nad stanem naszej cywilizacji stwierdził: „Znajdujemy się pod

dyktaturą pieniądza”. Franciszek z jakichś powodów nie wyjaśnił, co Jego Ekscelencja myśli o wojnie na Ukrainie, ale ja znalazłem. We wrześniu w Rzymie Awdiejew przekonywał, że nie można mówić o rosyjskiej inwazji, bo jest to akcja w obronie równości i wolności rosyjskich mieszkańców Donbasu, eksterminowanych (13 tys. ofiar) i prześladowanych przez ukraiński reżim. Cóż, można i tak. W Rzymie podczas demonstracji pokojowej wypatrzyłem flagi z sierpem i młotem oraz transparent: „Precz z ukraińskim faszyzmem”.

Ale to było zaledwie niewinne entré. Potem papież tłumaczył, że uderzają go akty okrucieństwa wobec Ukraińców. Wyjaśnił, że okrucieństwo nie jest cechą narodu rosyjskiego, bo to wspaniały naród. I zrzucił winę na najemników. Deklarował ogromny szacunek dla narodu rosyjskiego

i rosyjskiego humanizmu: „Wystarczy pomyśleć o Dostojewskim, który do dziś inspiruje chrześcijan do myślenia chrześcijańskiego”.

Zrozumiałem z tego, że to najemnicy mordują i grzebią w zbiorowych mogiłach Ukraińców. Nawet jeśli przyjąć tę karkołomną teorię, pozostaje pytanie, kto okrutników na Ukrainę wysłał. Domyślam się też, że Rosjanie chcą pozbawić Ukraińców prądu i skazać ich na śmierć z zimna i głodu w ramach wrodzonego humanizmu, który żyruje im Dostojewski.

Idąc tym tropem rozumowania, można powiedzieć, że Polaków podczas powstania warszawskiego mordowali walczący po stronie Hitlera Rosjanie, Ukraińcy i Azjaci, a Niemców przed odpowiedzialnością chronią humaniści Goethe, Schiller i Remarque. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. ARTUR ZAWADZI/REPORTER

SPOTKANIE DZIWNEGO STOPNIA

W tym tygodniu zaczynamy z grubej rury. Nieco zapomniana wokalistka Gosia Andrzejewicz, choć może trochę mniej śpiewa, to z pewnością uważnie obserwuje otaczający ją świat. I niestety wszystkimi obserwacjami dzieli się w mediach społecznościowych. Niedawno piosenkarka udostępniła autorskie nagranie mające pokazywać... niezidentyfikowany obiekt latający. „Nie bójcie się nagrywać dziwnych rzeczy! Trzeba być odważnym w życiu” – zachęca Gosia. Jak zawsze pojawili się malkontenci, którzy psują zabawę. Według wielu to nie UFO, tylko po prostu niesiona wiatrem foliówka lub dron. Wokalistka przeprowadziła jednak „profesjonalne” śledztwo. „Powiększyłam Wam ten obiekt, który nagrałam w centrum Warszawy. To nie wygląda na balon ani dron, ani też samolot, jak piszecie” – przekonuje. Ale odtot.

FABIJAŃSKI? TO NAWET NIE JEST ON...

Zejdźmy nieco na ziemię. A dokładniej do oktagonu. Rekordy popularności nomen omen biją wciąż w Polsce kolejne odsłony FAME MMA. Czyli – ludzie znani z tego, że są znani, okładają się po twarzach. Za gigantyczne sumy. Nie dziwi, że chętnych nie brakuje. Swoją występowanie w kolejnej „gali” ogłosił aktor Sebastian Fabijański. To bezsprzecznie artystyczna dusza. Fabijański zapowiedział bowiem, że nie będzie walczył jako on sam, tylko jako wykreowana postać. Tłumaczy to „chęcią wykroczenia poza kolejne próby artystycznej kreacji i wejścia tu z postacią, która nie jest mną”. – Od razu zaznaczam: Sebastiana Fabijańskiego w tej klatce i tym oktagonie już nigdy nie zobaczycie. Zobaczycie moje alter ego, które robi to tu, co powinno zrobić, no! – dodał. – Z pełną pokorą, jako Sebastian Fabijański, zapraszam na to, co będzie się tu działo. Może dostanę po

ryju i padnę, a może ktoś dostanie ode mnie po ryju i padnie – zachęca aktor. Chyba cały kraj nie zaśniesz z ekscytacji.

WALKA STULECIA

Celebryckie walki to też sposób na rozwiązywanie zadawnionych konfliktów. Na przykład takich o pieska. Modelka Sandra Kubicka stwierdziła, że mogłaby w ten sposób oczyścić atmosferę w swoich relacjach z Joanną Opozdą, z którą niegdyś pokłóciła się o czworonoga właśnie (modelka przygarnęła zwierzę, ale szybko je oddała koleżance, co oburzyło Asię). – Chyba zakopałyśmy topór wojenny [...]. Ale to show-biznes zrobił z nas przyjaciółki, a my się widziałyśmy trzy razy na oczy, zanim wybuchła psia burza – stwierdziła Kubicka jakiś czas temu. Teraz dołała jednak oliwy do ognia, wskazując, że to właśnie z Opozdą chciałaby zmierzyć się w oktagonie. – Lubimy się, ale wiecie, jaką mamy historię – stwierdziła. Wiemy. Tutaj nie ma co gadać, tu trzeba się bić.

DO WIADOMOŚCI PUBLICZNEJ

Już nie tylko grubość portfela oraz liczba followersów na Insta są wyznacznikami przynależności do pierwszej ligi polskich celebrytów. Od pewnego czasu do tego klubu można się dostać także poprzez publiczne deklaracje dotyczące wiary albo raczej jej braku. I tak niechrzczenie dziecka zapowiedzieli córka Magdy Gessler, Lara, oraz państwo Rozenek-Majdan. Teraz taką decyzję ogłosiła para tancerzy znanych z polsatowskiego „Tańca z gwiazdami”. Lena Klimient zapewniła, że „wierzy cały czas w dobro ludzi. I w Aniołów Stróżów, których ma na pewno bardzo dużo”. – Do kościoła natomiast nie chodzę – wskazała. Pytana przez jednego z obserwatorów o chrzest dziecka stwierdziła, że wraz z mężem nie mają takich planów. – Też nie miałam nigdy chrztu i żyję. W Czechach jest trochę inne podejście, więc raczej nasze dziecko nie będzie miało chrztu. Co nie znaczy, że mam coś przeciwko. Po prostu to jest nasza decyzja – wyjaśniła. Skoro religia to sprawa prywatna, to po co mówić o niej publicznie? ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pisząc te słowa nie znamy jeszcze efektów tegorocznego Marszu Niepodległości. Zakładamy jednak, iż znów mieliśmy do czynienia z erupcją fashysmu, nacjonalizmu i innych izmów, od których włos na samą myśl jeży nam się na głowie.

Niestety, nie byliśmy w tym roku świadkami szerokich konsultacji społecznych, czy w czasie pandemii, inflacji, kryzysu gospodarczego taki marsz w ogóle ma rację bytu. Tak jakbyśmy się przyzwyczaili do tego, że jak jest 11 listopada, to idzie Marsz Niepodległości i nie ma w tym niczego dziwnego.

No i to bardzo źle, iż się przyzwyczailiśmy. Bo jednak w Nowoczesnej Europie tego typu manifestacje są, umówmy się, ewenementami. Czy istnieje jakikolwiek inny kraj w Europie, w którym 11 listopada tłumy maszerują z biało-czerwonymi flagami z niewypowiedzianym poparciem PiS oraz przy wymownie milczącej aprobacie Kościoła?

No właśnie, nie znacie takiego kraju i to nie dlatego, iż znacie mało krajów (Polska, Europa, Kreta, Majorka), ale dlatego, iż takiego po prostu nie ma.

Dlatego też w obliczu braku debaty, dyskusji i pochylenia się nad problemem istnienia fashystofskich manifestacji mamy zamiar w najbliższy weekend dać w szyję i zaprosimy nawet na ten event nasze frendziary z kolektywu; na złość Kaczafiemu, zamiast się rozmnażać, będziemy pić piwko – i to bez sprajta.

Okazuje się, iż do katalogu rzeczy, na których nie znają się Polacy, zalicza się również energetyka, a zwłaszcza energetyka jądrowa. Otóż Polacy w większości popierają pomysł budowy elektrowni atomowej w tym kraju.

No to jeżeli są oni wszyscy tacy mądrzy, to niech się może zdecydować na budowę elektrowni tego rodzaju we własnym podkarpackim obojętności!

Przecież wszyscy wiemy, do czego zdolny jest atom. Potrafi się rozszczepiać,

stwu źródła energii. Na przykład wiatraki – przecies u nas dość często wieje, postawimy wiatraki na górach i będzie.

Na przykład na Giewoncie – wiatrak zamiast krzyża jako symbol zielonej rewolucji i energetycznego zwrotu tego kraju w słusznym, europejskim kierunku. Wtedy nawet nie trzeba by retuszować filmów promocyjnych tego kraju. Wiatrak na szczycie góry będzie wyglądał odpowiednio postępowo nawet na zachodzie Europy.



a więc dzielić, a nawet wybuchać. Czy komuś kiedyś wybuchł prąd? My nie wiemy, może i tak, ale o tym, że atom wybucha, to wiemy bardzo dobrze – zwłaszcza iż oglądaliśmy serial „Czarnobyl”.

Dlatego też z naszej strony musi paść kategoryczne NIEDŁA atomu w tym kraju. Istnieją inne, tańsze, efektywniejsze, przyjaźniejsze środowisku i społeczeń-

A już w tym tygodniu startują piłkarskie mistrzostwa świata, w których tradycyjnie będziemy kibicować reprezentacjom, które zmierzają się z reprezentacją tego kraju. O ile z Meksykiem i Argentyną nie mamy większych problemów, to jednak mamy zgryz, co zrobić z Arabią Saudyjską.

No bo to jednak podobna sytuacja, chyba, co nie? I w jednym, i w drugim kraju istnieje prześladowanie mniejszości, nie ma demokracji, ale jednak saudyjska reprezentacja jest nieco bardziej różnorodna etnicznie – wdziliśmy na zdjęciach. W reprezentacji Polski są tymczasem same osoby białe.

Ewentualnie poparlibyśmy opcję, w której obie reprezentacje będą mogły przegrać mecz, jednak jak nam tłumaczył Nowy z Tarnowa, obecnie za bardzo nie ma takiej możliwości. Chyba więc będzie trzeba, iżbyśmy przygotowali jakąś petycję do FIFA. © ©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Co to za numer?

Marcin, przesadzasz chyba z tą otwartością na spotkaniach ze mną. Ja rozumiem, że mamy pokazać, że ja jestem inny niż

**Kaczor i nie boję się trudnych pytań, ale ile tego może być?!
Czekaj, Donek, ale konkretnie.
O co chodzi?**

**No choćby ten gnojek w Płocku. Ja rozumiem – jeden taki ktoś na pokaz, raz na pięć, dziesięć spotkań. Ale ten był już kolejny.
Tam wszystkich dobrze sprawdzaliśmy. Jego też, bo potem weryfikowałem.**

**No to co to za numer? Terlecki go naskłał czy Czarzasty?
No, niestety, ani ten, ani ten. Wiesz kto.**

**Nie, to jaja jakieś są. Kolejny raz?!
Tak. Nawet na Campusie był.**

**Dobra, jak Rafcio chce tak ze mną pogrywać, to my też kogoś podeślemy.
Ale on nie jeździ na spotkania, a Campus dopiero za rok. © ©**

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ten gość rządzi Polską. Naród dwa razy dał mu władzę w demokratycznych wyborach. Myśl o tym niezmiennie szkodzi”.

**TOMASZ LIS, publicysta,
o Jarosławie Kaczyńskim, na Twitterze**

Potwierdzamy. Idą czasy zaciskania pasa. Nie żeby od razu rząd miał ciąć wydatki na CPK, bo tego nie robi, ale nadchodzą oszczędności na innej linii: gadżetów. W kancelarii premiera kończą się akurat zasoby takich różnych drobiazgów, jak wieczne pióra wręczone zagranicznym gościom i inne gadżety. No więc wydatki na te cenne drobiazgi mają, jak słyszeliśmy, zostać zdecydowanie ograniczone.

Ameryka. Dziki kraj. Pewien bank wezwał w trybie pilnym niektórych swoich klientów do likwidacji swoich wkładów gotówkowych. Polski dyplomata z Nowego Jorku musiał więc na łeb na szyję gnać, żeby wszystko wypłacić. Udało się. No i była okazja do zapytania: „Ale dlaczego?”. Nowa polityka firmy: bank nie chce mieć u siebie kont osób znanych, rozpoznawanych i publicznych. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że Krzysztof Szczerski jest osobą znaną, rozpoznawaną i publiczną.

Apropos Ameryki. Niektórzy zastanawiają się, dlaczego Naczelnik Jarosław na spotkaniach z elektoratem opowiada o tym, że tefaueny są chronione przez naszego jedynego sojusznika, więc nie można im nic zrobić. Well, słowa te adresowane są nie tyle do elektoratu, ile do nowego składu KRRiT, gdzie frakcja gardlująca za zaciukaniem tefauenów jest całkiem silna.

Apropos tefauenów. Zapowiadaliśmy, że Piotr Kraśko wraca do roboty, i proszę: wrócił. Na razie w charakterze autorytetu od spraw amerykańskich. Te natomiast trochę się komplikują na szczytach koncernu. Dotarły tam bowiem wieści o tym, jak traktowano pracowników w tefauenach, a dokładnie – jak podpisywano z nimi umowy. Czy właściwie nie podpisywano. Nie, nie chodzi nam o umowę Kraśki.

Polskie libki z zaciekawieniem i przerażeniem przyjęły wiadomość, że do Polski przyjechał Orbán. Uspokajamy, nie chodzi o Viktora Orbána, lecz szefa jego gabinetu politycznego, noszącego to samo nazwisko (bez żadnego pokrewieństwa). Balázs Orbán, zwany pieszczotliwie mini-Orbánem, jest bowiem uważany przez polskich libków za osobę radykalniejszą od dużego Orbána. Nie potwierdzamy, nie



dwaj panowie g

zaprzeczamy. Za to bardzo smakowały mini-Orbánowi krokcieki i czerwony barszczyk. Wiemy, co mówimy, siedzieliśmy po drugiej stronie stołu.

Schizofrenia w sprawie pieniędzy z UE trwa. Ostatnie tygodnie przyniosły w PiS wytyczne, które roboczo można nazwać „przytulaniem”. Po serii groźnych pomruków, że „nie godzi się, hańba” oraz że „Bruksela nie będzie nam nic dyktować”, obecnie weszliśmy w odwilż i linia przekazu mówi, że wszyscy jesteśmy członkami jednej wielkiej europejskiej rodziny, więc kochajmy się i dogadujmy dla lepszej przyszłości. Ciekawi nas, kogo teraz wystawią, żeby powiedział, że forsa z KPO jest i wszystko zostało załatwione. Jak pamiętacie, ogłaszano to już kilka razy.

Etap przytulania został odrzucony ze wzgardą przez twardej przedstawieli linii nieprzytulaniowej, to znaczy Jacka Saryusza-Wolskiego oraz Ryszarda Legutkę. Ten pierwszy nawet ogłosił manifest z listą działań mających

mało wspólnego z pojednaniem. Zawsze warto obserwować takie wystąpienia, bo dobrze wiedzieć, kogo stać na własne zdanie, a kogo jedynie na przekazy dnia.

Wróg, wróg śmiertelny, kolega partyjny. Tak się właśnie stopniuje w polityce. I tak też jest na Mazowszu, gdzie u naszych zielonych braci z peezelu przygotowania wyborcze idą całą parą. Jak wiadomo, to zarazem macierz i ojcowizna Waldemara Pawlaka. Ale nie tylko. To również strony rodzinne Piotra Zgorzelskiego. Panowie serdecznie się nie znoszą i wzajemnie robią wszystko, by przeciwnika umieścić na liście do Senatu. Dlaczego? Żeby na liście do Sejmu nie musieć z nim konkurować osobiście.

Skoro już o Eine Totalopposition. Paweł Wroński z „GazWybu” ogłosił na łamach „Tagesspiegel”, że Polsce nie należą się od Niemiec reparacje, gdyż rekompensatą za drugą wojnę jest już to, że pozwolono jej wstąpić do UE. Odnotowujemy tę ciekawą logikę, bo jest jeszcze na świecie parę krajów, które podczas wojny mocno były przez Niemców poturbowane, a które do UE nie weszły. Na przykład Rosja. Rozumiemy, że Wroński będzie gardłował za naprawieniem i tej historycznej niesprawiedliwości.

Apropos Niemiec. Każdy obchodzi święto niepodległości Polski, jak potrafi. Na przykład pisarz Twardoch Szczepan zaproszony został do Willi Hammerschmidt w Bonn na spotkanie z prezydentem Niemiec Frankiem-Walterem Steinmeierem. Zamknięte dla prasy dwudniowe spotkanie otrzymało tytuł „Europa w punkcie zwrotnym – słuchamy się nawzajem”. No my byśmy chcieli, żeby np. Niemcy słuchali nas w sprawie reparacji. My możemy ich posłuchać na koncercie Rammsteina.

Skoro już o literaturze. Na niedawnych Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie swoje stoisko miało także Stowarzyszenie Iustitia. Bardzo małe stoisko, co odnotowujemy, bo pamiętamy, że na targach na Stadionie Narodowym, jeszcze przed pandemią, Iustitia kuślała stoiskiem o gargantuicznym metrażu. Znak to widomy, że Iustitia prześladowana jest przez PiS. Oj, potrzebne będzie wsparcie z Willi Hammerschmidt. ©©

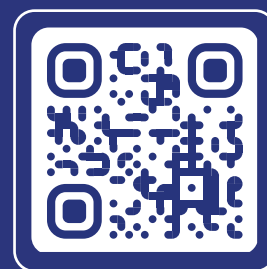
W4UA



SUMMIT

W4UA

WORLD FOR UKRAINE



7-9 grudnia 2022

G2A Arena, Rzeszów-Jasionka

www.w4ua.com



Strażnicy pamięci



Karol Gac

Już po raz 10. tygodnik „Do Rzeczy” przyznał nagrody Strażnika Pamięci osobom i instytucjom, które w szczególny sposób dbają o naszą tożsamość narodową. Uroczystość odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie

Nagrody Strażnik Pamięci przyznano tradycyjnie w trzech kategoriach – Mecenas, Instytucja i Twórca. Wręczono także nagrodę specjalną portalu DoRzeczy.pl oraz statuetkę Instytutu Felczaka przyznaną pod patronatem „Do Rzeczy” – nagrodę Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM. Ponadto z okazji 10-lecia Strażnika Pamięci przyznano również nagrodę jubileuszową.

Tegoroczną galę otworzył redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy” Paweł Lisicki, który wyjaśnił, czym różni się Strażnik Pamięci od innych nagród. – To przede wszystkim fakt, że nasza nagroda, nie będąc nagrodą państwową, jest nagrodą niezależną. To bardzo ważne, by obok instytucji publicznych, które troszczą się o politykę państwa, istniały też całkowicie niezależne środowiska, takie jak nasz tygodnik, portal i miesięcznik. Dzięki temu ta troska o historię pokazuje, że to nie tylko element oficjalnej polityki państwa, że ma ona także wymiar społeczny – podkreślił.

Głos zabrał również prof. Wojciech Fałkowski, dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie. – Jest mi niezmiernie miło, że Strażnik Pamięci cyklicznie gości na Zamku Królewskim w Warszawie, czyli w miejscu, które jest poświęcone pamięci. Pamięć jest przywilejem oraz obowiązkiem i w obu wypadkach chodzi o to samo – o wydłużenie perspektywy poza nasze życie, naszą bieżącą pracę. Chodzi o przypomnienie faktów konstytuujących naszą

tożsamość. Powiedzenie, że historia jest nauczycielką życia, jest w jakimś sensie prawdziwe, ale jednocześnie w takim samym stopniu fałszywe, ponieważ analogie historyczne są często zawodne i wprowadzają zamęt; jednak z drugiej strony, bez doświadczenia i pamięci o tym, co się wydarzyło, trudno mówić, byśmy byli ludźmi pełnowartościowymi – mówił.

Na początku gali dr Barbara Fedyszak-Radziejowska, doradca prezydenta, odczytała specjalny list od Andrzeja Dudy, skierowany do uczestników gali nagrody Strażnik Pamięci. „Dziękuję za to cenne przedsięwzięcie jego inicjatorom, organizatorom oraz członkom wysokiej kapituły. Wyrażam uznanie dla Państwa zapału i wytrwałości za długoletnie starania o to, aby osoby szczególnie zasłużone dla kultury historycznej w Polsce zostały należycie docenione, a wiedza o ich inspirujących dokonaniach szeroko rozpropagowana” – podkreślił prezydent. „Dobiegają końca Narodowe Obchody Setnej Roczniczy Odzyskania Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej. Przez



Laureaci i organizatorzy plebiscytu Strażnik Pamięci na tegorocznej gali na Zamku Królewskim w Warszawie

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

ścią [...]. Zawsze z ogromną wdzięcznością myślę o ludziach, którzy z prawdziwą pasją i poświęceniem, głęboką troską, wręcz miłością, gromadzą materialne oraz niematerialne świadectwa z ubiegłych wieków. Często te indywidualne zainteresowania stają się podwaliną wielkich przedsięwzięć, służących nie tylko lokalnym społecznościom, lecz także całemu społeczeństwu” – napisała Elżbieta Witek. I dodała: „Przyjmijcie Państwo wyrazy wdzięczności oraz najwyższego szacunku za aktywność, determinację w przywracanie pamięci oraz upowszechnianie prawdy”.

TRADYCJA I NOWOCZESNOŚĆ

W kategorii Mecenasa nagrodę Strażnik Pamięci otrzymały Lasy Państwowe za upowszechnianie wartości polskiej kultury materialnej. – Nasz laureat dba o polskie lasy i chroni je przed wieloma zagrożeniami – naturalnymi, a także tymi ludzkimi. W efekcie każdy z nas ma do nich swobodny dostęp, z czego tak chętnie przecież korzystamy. Mowa o organizacji, która zarządza ponad siedmioma milionami hektarów lasów, co czyni ją największą tego typu w Unii Europejskiej. I robi to nieprzerwanie od 98 lat, ponieważ mimo historycznych zakrętów i zmian funkcjonuje do dziś, łącząc bogatą tradycję z nowoczesnością – mówił w laudacji Karol Gac, redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl. – Polscy leśnicy są źródłem bogatej wiedzy o naszych lasach, ich historii oraz walorach przyrodniczych. Są też nieprzerwanie zaangażowani w działania edukacyjne i promocyjne, które pozwalają Polakom lepiej poznać ważny element dziedzictwa narodowego, jakim są lasy – dodawał.

Nagrodę odebrał dyrektor generalny Lasów Państwowych Józef Kubica. – To wielki zaszczyt dla mnie, że w imieniu wielu tysięcy leśników otrzymałem tę prestiżową nagrodę. Wartości patriotyczne są wpisane w etos pracy każdego leśnika. Bardzo dziękuję kapitule za tę szczególną nagrodę – mówił.

W tej kategorii wyróżniono również Tomasza Kaźmierowskiego, założyciela Fundacji Identitas.

EKONOMICZNA SUWERENNOŚĆ

Statuetkę Strażnika Pamięci 2022 w kategorii Instytucja otrzymał Narodowy Bank Polski za Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira S. Skrzypka. – Polska ma własny pieniądź. I śmiem twierdzić,

że mimo wszystkich perturbacji wywołanych wojną Rosji przeciw Ukrainie – nie najgorsza to waluta. To powód do radości. Polska ma własny bank centralny prowadzący suwerenną politykę finansową. To także powód do radości. NBP posiada własne muzeum – choć to słowo nie oddaje sedna rzeczy. Centrum Pieniądza NBP to placówka ekspozycyjno-edukacyjna powstała, by opowiedzieć o trudnych dziejach rzeczy, bez której nie ma suwerenności i niepodległości – dziejach pieniądza. Nie tylko polskiego. I dobrze, bo jesteśmy częścią większego świata, częścią większej historycznej tradycji. I to także jest powód do radości – mówił w laudacji publicysta „Do Rzeczy” Piotr Gociek, który zwrócił też uwagę na popularność CP NBP. – Od otwarcia placówki w maju 2016 r. odwiedziło ją ponad 330 tys. osób. Jest ona w plebiscytach i ankietaх uznawana za jedno z najlepszych w Polsce centrów nauki i edukacji [...]. Jej sukces to także wielki hołd i prezent dla jej pomysłodawcy. Bo jestem pewien, że w jakiś sposób wręczaną dzisiaj nagrodę przyjmuje także sam Sławomir Skrzypek – dodawał.

Nagrodę odebrali członkowie Zarządu NBP Paweł Mucha i Rafał Sura. W specjalnym nagraniu prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński przypomniał, że inicjatorem powstania Centrum Pieniądza NBP był obecny patron Sławomir Skrzypek, który zginął pod Smoleńskiem. – Centrum Pieniądza NBP działa od 2016 r. Na 2 tys. mkw., 16 modułów tematycznych i 250 stanowiskach multimedialnych realizuje cele wyznaczone przez jego inicjatora [...]. Sławomir



Nagrodę w kategorii Mecenasa dla Lasów Państwowych odebrał dyrektor LP Józef Kubica

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

mijające cztery lata przypominaliśmy sobie i światu osiągnięcia budowniczych naszego odradzającego się państwa. Ale warto zaznaczyć, że obok panoramy sukcesów tamtego pokolenia jubileuszowe obchody ukazały również niezwykłą liczbę i różnorodność współczesnych inicjatyw nakierowanych na umocnienie niematerialnych podwalin polskiej kultury i niepodległej państwowości. Ufam, że zaangażowani w te przedsięwzięcia będą nie tylko doceniani, ale też naśladowani” – napisał Andrzej Duda.

List do uczestników przysłała również marszałek Sejmu Elżbieta Witek, która zaznaczyła, że „zachowanie pamięci jest warunkiem trwania narodu”. „Jubileuszowe obchody w tak symbolicznym miejscu jak Zamek Królewski podkreślają wagę i ideę nagrody. Bez zaangażowania, mądrości i ofiarności grona osób to, co najcenniejsze z naszej przeszłości, uległoby zniszczeniu, a w końcu całkowicie zapomnieniu. Zachowanie pamięci jest warunkiem trwania narodu, buduje tożsamość, łączy odległe czasy z przyszło-



Członkowie zarządu NBP Paweł Mucha (z prawej) i Rafał Sura z nagrodą dla Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira Skrzypka FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

■ Skrzypek wytoczył jasny cel dla CP NBP zawierający się w przekonaniu, że Polacy z wiedzą ekonomiczną łatwiej poradzą sobie z trudnościami oraz będą konkurencyjni na globalnym rynku – mówił prezes NBP.

W tej kategorii wyróżniono również Wydawnictwo Biały Kruk oraz Fundację Nasze Dzieci Kornice.

NIEZALEŻNOŚĆ MYŚLI

Tegoroczną statuetkę Strażnika Pamięci 2022 w kategorii Twórca otrzymał prof. Ryszard Legutko. Laudację wygłosił publicysta „Do Rzeczy” Piotr Semka.

– Początek lat 90. dla kogoś, kto wychował się w atmosferze solidarnościowej, to był okres takiej wielkiej mgły. Niektórzy bohaterowie okazywali się ludźmi, którzy pili bruderszafty z Jaruzelskim, a inni nagle stawali się miłośnikami szarej wizji historii. W tej mgle trudno się było zorientować, kto jest nasz, a kto nie. Wtedy wystarczyła jedna metoda – trzeba było kupić „Politykę” albo „Gazetę Wyborczą” i zobaczyć, kto staje się nowym „czarnym ludem” – wspominał. Po czym zwrócił się do laureata: – To Ty wprowadziłeś do naszego dyskursu pojęcia, ale i spokój badawczy, które tradycja kojarzy z rozwojem Grecji, w której wielcy filozofowie potrafili znieść koszmar świata za pomocą spokojnej analizy [...]. Jeśli ktoś jest strażnikiem pamięci, to czegoś broni. Jeśli ktoś jest strażnikiem pamięci, to każe nam przypominać, jak brzmią oryginalne pojęcia, i bije na alarm, gdy stają się one atrapą – dodawał Piotr Semka.

Profesor Ryszard Legutko przypomniał zaś, że pamięć to „miejsce, przestrzeń, w której istnieją różne rzeczy, przedmioty, utwory skojarzenia, a także idee”. – Prze-

bywanie w tym miejscu daje ogromną satysfakcję, bo człowiek jest otoczony rzeczami pięknymi i mądrymi. To, że w którymś momencie odwróciłem się od liberalizmu, spowodowane było właśnie tym, że zauważyłem, iż jest to miejsce, wbrew tej mnogościowej narracji, bardzo małe i niewiele w nim myśli, rzeczy wartościowych i przebywanie w tej przestrzeni uznałem za nieprzyjemne – wskazywał.

W tej kategorii wyróżnienie otrzymali Krzysztof Skowroński, założyciel i prezes Radia Wnet, oraz Tomasz Stańczyk i Sławomir Koper.

OBUDZIĆ SUMIENIA

Tegoroczną nagrodę specjalną portalu DoRzeczy.pl otrzymało Centrum Życia i Rodziny. – Jego praca to budzenie sumienia, a także wyobraźni, gdy kapitulacja

odpowiedzialności wynika z intelektualnej bezradności. Centrum od wielu lat wytrwale i konsekwentnie przeciwstawia się wypychaniu ze świadomości i z debaty publicznej dwóch kluczowych zagadnień: że największymi, najbardziej przemilczanymi ofiarami relatywistycznego państwa i konsumpcyjnego społeczeństwa są nienarodzeni i że dobra wspólnego narodu nie sposób w ogóle zrealizować bez udziału rodzin, bez poszanowania ich praw, np. wychowawczych, bez rozwoju ich życia – mówił w laudacji Marek Jurek, były marszałek Sejmu i publicysta tygodnika „Do Rzeczy”. – Najbardziej spektakularne z tych działań to oczywiście organizowane od 16 lat w całej Polsce Marsze dla Życia i Rodziny. Spektakularne, a także wypychane przez polityków ze świadomości. Nawet jeśli rejestrują je media, to przywódcy polityczni w ogóle nie powołują się na nie. A przecież przez lata stanowiły siłę o wiele większą od jakichkolwiek aborcyjnych czy antyrodzinnych wystąpień. Tym bardziej ich orędzie, ich społeczną reprezentatywność należy ciągle przypominać – wskazywał.

Paweł Ozdoba, prezes CŽiR, odbierając nagrodę, zwrócił uwagę, że żyjemy w czasach postprawdy, co zmusza nas do walki o wartości. – Nasza misja jest w dzisiejszym świecie niezwykle ważna. Żyjemy w świecie postprawdy i głębokiego relatywizmu. Wydaje mi się, że ta rewolucja, którą obserwujemy na całym świecie, i niestety także w Polsce, bardzo nam doskwiera i stara się zniszczyć polską duszę i powinniśmy stanąć w obronie naszych wartości, które są tak atakowane – zaznaczył Ozdoba.

INWESTYCJE W NARÓD

Specjalną, jubileuszową nagrodę z okazji 10-lecia Strażnika Pamięci otrzymał PKN Orlen. – Nasz laureat wspiera twórczość najwyższego lotu, godnie osiągnięcia i tradycje, pamięć o najlepszych cechach narodowej wspólnoty, patriotyzm. Widzi się właśnie jako Mecenasa historii, kultury i sportu, firmę odpowiedzialną społecznie [...], podkreśla przywiązanie do Polski, czego przejawem jest patriotyzm gospodarczy w działalności spółki, pojmowany jako wsparcie m.in.: instytucji kultury, działań edukacyjnych, polskich sportowców oraz polskich producentów. Buduje swój wizerunek jako Mecenas, dla którego polska historia i pielęgnowanie pamięci o jej bohaterach są szczególnie ważne i cenne – mówił



Profesor Ryszard Legutko został nagrodzony w kategorii Twórca FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Laureaci Nagrody Strażnik Pamięci

	Mecenas	Instytucja	Twórca
2021	Poczta Polska S.A.	Stowarzyszenie Rodzina Piaśnicka	ks. prof. Waldemar Chrostowski
2020	Prezes PGE Wojciech Dąbrowski	Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris	prof. Wojciech Roszkowski
2019	Polskie Linie Lotnicze LOT	Stowarzyszenie Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu	Wojciech Tomczyk
2018	Polska Grupa Energetyczna	Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej	prof. Marek Jan Chodakiewicz
2017	Fundacja PGNiG oraz Maciej Radziwiłł	Stowarzyszenie „Rodzina Ponarska”	Jarosław Marek Rymkiewicz
2016	Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych	Stowarzyszenie Memoriał	Twórcy filmu „Wołyń”
2015	Artur Nowakowski i Bogdan Kaczmarek	Maciej Świrski – Reduta Dobrego Imienia	Dariusz Malejonek (wraz z Pannami Wyklętymi)
2014	Tauron Polska Energia	Polskie Radio	prof. Andrzej Nowak
2013	Bank Zachodni WBK	IPN, Minister Sprawiedliwości, Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie i Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa	Autorzy serialu „Czas honoru”

PKS, MART

w laudacji Maciej Rosalak, redaktor naczelny miesięcznika „Historia Do Rzeczy”. – Fenomen polskości jest w nas, a najlepsze impulsy, które służą jego pielęgnacji, rodzić może nieśmiertelna muzyka Chopinowskiego „Koncertu e-moll”, niezerównana polszczyzna wybitnych poetów czy odgłos warszawskich syren docierający na powązkowski Cmentarz Wojskowy 1 sierpnia o godz. 17. Wielkie dzięki wszystkim, którzy wspierają polską historię i kulturę – podkreślał.

Z kolei tegoroczną nagrodę Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM, przyznawaną pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, otrzymał prezes PKN Orlen Daniel Obajtek. – To osoba, która pokazała, że można zbudować wielki i silny środkowoeuropejski koncern multienerygetyczny, i która potrafiła z wielkim osobistym zaangażowaniem przesunąć środek ciężkości z konkurencji, jak miało to miejsce przez lata w Europie Środkowej pomiędzy koncernami Orlen i MOL, na współpracę, przyczyniając



Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny, z nagrodą specjalną portalu DoRzeczy.pl

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

się w ten sposób do wzmocnienia także tego, czego wciąż bardzo brakuje nam w Europie Środką – do pomnażania kapitału wzajemnego zaufania – tłumaczył w laudacji dr hab. Maciej Szymanowski, dyrektor Instytutu.

W specjalnym nagraniu prezes PKN Orlen przyznał, że nagrody te pokazują, iż PKN Orlen ma nie tylko zadania biznesowe, lecz także społeczne. – To ważne dla naszej firmy. Jesteśmy czempionem multienerygetycznym, ale nie możemy zapominać o działaniach społecznych, patriotyzmie, historii, czasach przeszłych, które stanowiły naszą polskość. Inwestujemy w zadania społeczne, zabytki, dziedzictwo narodowe, rzeźbiarstwo, malarstwo, duże wydarzenia o charakterze narodowym. Patriotyzm jest dla nas niezwykle ważny. Nasz macierzysty rynek jest przecież w Polsce – zaznaczył.

Nagrodę w imieniu PKN Orlen i Daniela Obajtka odebrał Jan Szewczak, członek Zarządu PKN Orlen ds. finansowych. – Mamy, co prawda, z prezesem Obajtkiem różne osobowości, ale podzielimy podobne wartości i podobnie pojmujemy naszą pamięć historyczną. Chciałem podziękować w imieniu największego koncernu w Europie Środkowo-Wschodniej z wielkimi aspiracjami. Niewątpliwie jest tak, że pamięć jest strażnikiem historii i wartości – powiedział.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Partnerzy główni:



Partnerzy:

Współorganizator:



Patronat medialny:





Ośrodek nad Zalewem Zegrzyńskim przejęty od Rosjan

Jeszcze do niedawna Ambasada Federacji Rosyjskiej dzierżawiła od Nadleśnictwa Jabłonna okazałą nieruchomość nad Zalewem Zegrzyńskim. Po rozpoczęciu konfliktu w Ukrainie Rosjanie przestali za nią płacić. Lasy Państwowe postanowiły odzyskać kontrolę nad obiektem. Sprawy nie udało się jednak załatwić polubownie

O Skubiance – ośrodku na terenie Zalewu Zegrzyńskiego, nieopodal Warszawy – zrobiło się głośno w kwietniu br. Wtedy dyrektor generalny Lasów Państwowych zdecydował o rozwiązaniu umowy dzierżawy z ambasadą w trybie natychmiastowym. Ale jak to się stało, że obiekt o tak ważnym znaczeniu strategicznym znalazł się w rosyjskiej dzierżawie?

SKUBIANKA – DACZA ROSYJSKICH OFICJELI

Rosjanie wydzierżawili ośrodek w Skubiance na cele rekreacyjno-wypo-

czynkowe. Umowa z Federacją Rosyjską była kontynuowana od czasów PRL (lat 80.), ostatnią z nich zawarto 9 grudnia 2009 r. To niezwykle atrakcyjny zielony teren nad Jeziorem Zegrzyńskim, w gminie Serock, pomiędzy tamami w Zegrzu i Dębem, ok. 2 km od zapory w Zegrzu. Liczy prawie 5 ha, są tam hotele, domki letniskowe, wille, punkt medyczny i budynki pomocnicze, łącznie 16 obiektów. Dawniej rezydowali tam rosyjscy oficerowie. Teren jest własnością Nadleśnictwa Jabłonna. Obiekt ten Rosjanie mieli do dyspozycji za miesięczny czynsz w wysokości 16 tys. zł.

LEŚNICY WKROCZYLI NA SWOJE, ZASTALI RUINĘ

Mimo wypowiedzenia umowy dzierżawy (13 kwietnia 2022 r.) Rosjanie nie zwolnili ośrodka. Od tego czasu ambasada była kilkakrotnie bezskutecznie wzywana do wydania nieruchomości. Rosjanie przestali za niego płacić. Tłumaczyli, że zalegają z płatnościami z powodu zamrożenia kont bankowych należących do ambasady. W końcu Lasy Państwowe podjęły decyzję o przejęciu nieruchomości. Na teren ośrodka weszła komisja inwentaryzacyjna w asyście



Straży Leśnej i inspektorów nadzoru budowlanego.

– Cierpliwie czekaliśmy na wydanie nieruchomości przez ambasadę rosyjską. Kilukrotnie ponawialiśmy wezwania w tej sprawie. Mieliśmy nadzieję na polubowne rozstrzygnięcie sporu o grunt. Niestety, bezskutecznie. Z tego powodu zdecydowaliśmy się na podjęcie stosownych działań, w tym przypadku przejęcie i zabezpieczenie obiektu, by przeprowadzić inwentaryzację znajdującego się tam majątku – tłumaczy Edward Siarka, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska.

W chwili przejęcia wszystkie obiekty znajdowały się w fatalnym stanie technicznym: powybijane okna, przegnięte podłogi, zapadające się dachy, zdewastowane urządzenia i meble.

Swojego wzburzenia ruiną, którą zostawili po sobie Rosjanie, nie krył też Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Wszystkie prawne możliwości działania w tej sprawie zostały już wyczerpane, nie pozostawało nic innego, jak odebranie swojej własności. Okazało się, że ośrodek jest całkowicie zdewastowany. Rosjanie zniszczyli wszystko, powyrywane są nawet kable ze ścian. Ośrodek jest w totalnej ruinie – podkreślił.

CO DALEJ ZE SKUBIANKĄ?

Po otworzeniu bramy na teren nieruchomości wkroczyła specjalna komisja inwentaryzacyjna, która rozpocznie w nim prace. Ich efektem będą protokoły z opisem wszystkiego, co znajduje się w budynkach i wokół nich. Po wyko-

naniu czynności na terenie ośrodka zostaną wymienione zamki, a wejście na teren oraz drzwi do budynków zostaną zaplombowane. Inwentaryzacja obejmie weryfikację każdego z pomieszczeń znajdujących się na terenie ośrodka, szczegółowo protokołowane będą obiekty odnalezione na miejscu. Na miejscu pracują też inspektorzy nadzoru budowlanego. Po zakończeniu wszelkich prac zdecydujemy o dalszych losach terenu.

Jak przypomina Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych: – Dzierżawa gruntu w Skubiance była kontynuowana od lat 80. na tych samych warunkach. Z historii tej współpracy widzimy, że często brakowało płynności w regulowaniu należności wynikających z umowy, aż ostatecznie przestały napływać.

Zakazać, wywłaszczyć, zdelegalizować



Piotr Semka

Absolutny brak zahamowań przed powoływaniem się na zasadę „nie ma wolności dla wrogów wolności”, którą głoszone w czasach skazywania przeciwników politycznych na gilotynę, i łatwość, z jaką snuje się rozważania o potrzebie zdelegalizacji PiS oraz prowadzenia przez służby specjalne dezintegracji środowisk prawicy, pokazują, że z lekcji inwigilacji partii prawicowych z lat 1992–1993 przynajmniej niektórzy sympatycy opozycji nie wyciągnęli żadnych wniosków



Coraz ostrzejsze wypowiedzi lidera opozycji Donalda Tuska dotyczące rozliczeń polityków Prawa i Sprawiedliwości oraz usunięcia nominatów PiS z wielu instytucji publicznych musiały wywołać swój efekt. Grupa publicystów kibicujących partiom opozycji zainicjowała dyskusję nad zdelegalizacją partii Jarosława Kaczyńskiego. Nie jest to nowe zjawisko, gdyż w ciągu ostatnich ponad trzech dekad takie idee zawsze występowały w obozie liberalno-lewicowym.

W tym roku tego typu deklaracje są jednak elementem mobilizacji elektoratu partii opozycyjnych i tworzenia atmosfery w stylu „bój to jest nasz ostatni”. Warto przyjrzeć się dokładnie konkretnym propozycjom „pogromców PiS”, gdyż można na ich podstawie zastanowić się, co jest jedynie buńczuczną retoryką, a co konkretnym planem, który może być wcielany w życie w razie ewentual-

nej wyborczej wygranej Platformy i jej sojuszników jesienią przyszłego roku.

GENERALNE ROZLICZENIE

Najbardziej konsekwentnym, i to od lat, zwolennikiem zdelegalizacji Prawa i Sprawiedliwości jest prof. Radosław Markowski. Ten wykładowca SWPS Uniwersytetu Humanistycznospołecznego występuje jako ekspert na łamach „Gazety Wyborczej”, bywa częstym gościem w Radiu TOK FM lub udziela wywiadów Onetowi i tygodnikowi „Polityka”.

W wywiadzie dla gazety Adama Michnika z 20 października swoje propozycje przedstawił tak: „W Polsce władza zgnoiła polską konstytucję. Uważam, że jak zostanie w Polsce przywrócona praworządność, należy zainicjować proces zdelegalizacji PiS, co oczywiście będzie należało do niezależnego sądu. Nie ma powodu, żeby w kraju, w którym zaostrzono reguły

poruszania się samochodem, pozbawia się prawa bycia kierowcą za naruszenie prędkości, przymykać oko na to, że pewna partia polityczna łamie konstytucję”.

Profesor Markowski nie odwołał się do żadnego konkretnego przykładu podobnej zdelegalizacji partii w krajach zachodnich, ale wołał odnieść się raczej do trybu przypuszczającego. „W każdym kraju demokracji prawdziwej, np. w Skandynawii, Holandii, partia łamiąca świadomie z premedytacją i po wielokroć konstytucję nigdy by się nie utrzymała u władzy tyle lat. A jeśli już by przypadkowo się utrzymała, to przyszedłby taki moment, w którym obywatele postawiliby sprawę jasno – trzeba rozliczyć tę partię, przyjrzeć się, czy spełnia zapisane w konstytucji warunki, jeśli nie, to zakazać jej istnienia. Jeśli to się nie stanie, to jest to erozja prestiżu prawa. Skoro za takie rzeczy nie karze się nikogo, to hulaj dusza. Jeśli tego nie zrobi-



Najbardziej konsekwentnym, i to od lat, zwolennikiem delegalizacji Prawa i Sprawiedliwości jest prof. Radosław Markowski. FOT. LECH GAWUJCZAK/REPORTER

my, to nasze życie publiczne będzie przez dekady patologiczne, nie będą obowiązywać żadne reguły”.

Profesor Radosław Markowski nie ogranicza się tylko do postulatu rozważenia delegalizacji PiS. Niedawno postawił znacznie szerszy postulat swoistej reedukacji wyborców PiS, którzy jego zdaniem są „opętani kłamliwą narracją rzeczywistości”. W wywiadzie z 20 sierpnia br. mówił: „Krótko mówiąc, jest w Polsce tych pięć milionów osób, teraz być może troszkę mniej, które po prostu są opętane tą kłamliwą narracją o rzeczywistości”.

Gdy przeprowadzano ten sierpniowy wywiad z prof. Markowskim, aktualna była dyskusja na temat rzekomego zatrucia Odry rtęcią. Markowski, odnosząc się do elektoratu PiS, wskazywał wówczas: „Ja nawet wierzę, że oni myślą, że ta cała historia z Odrą jest po części zmyślona”. I dodał, odnosząc się do rządzącej partii: „Myślę, że

kiedyś, w spokojnych czasach, będziemy ich musieli gumkować z naszej historii, bo to wstyd. Rządy PiS to nie jest problem tu i teraz, to jest problem nas wszystkich”.

Do propozycji delegalizacji partii Jarosława Kaczyńskiego odniósł się Paweł Wroński, czołowy publicysta dziennika z ul. Czerniejskiej. Skupił się on na kwestii finansowania PiS, który korzysta z obejmującego wszystkie partie prawa do finansowania ugrupowań politycznych. Wroński w swoim tekście pyta: „Czy w demokratycznej Polsce powinna istnieć partia o strukturach neototalitarnych? I czy w ramach praworządnych procedur powinna być finansowana z budżetu partia, która niszczy zasady praworządności?”.

Według Pawła Wrońskiego cała kwestia nawiązuje do fundamentalnego dla demokracji liberalnej pytania: Co zrobić z partią, która – działając w ramach systemu demokratycznego – ten system niszczy?

czy? „Ten dylemat powstał już w czasie rewolucji francuskiej, a Louis de Saint-Just rozwiązał go hasłem: »Nie ma wolności dla wrogów wolności« przy pomocy gilotyny”. I dalej: „W przypadku demokracji pojawił się problem nowy. Partie zostały wmontowane w system państwowy poprzez ustanowienie systemu dotacji. Czyli wzięte na utrzymanie wszystkich podatników, nie tylko takich, którzy na nie głosują. Takie zasady w Polsce wprowadzała ustawa w 1997 r. o partiach politycznych, która regulowała ich finansowanie. [...] Ustawa miała jednak szczytne założenia, które po części się spełniły. Pierwsze z nich miało na celu uchronienie Polskiej demokracji przed oligarchizacją – czyli zawładnięciem systemem partyjnym przez ludzi najbogatszych [...]. Drugi, rzadziej wyrażany cel, to próba choćby częściowego odseparowania partii od gospodarki i części instytucji państwowych. Skoro partia ma własne pieniądze, to przynajmniej osłabiona zostałaby pokusa skoku na spółki”.

Wroński stawia tezę, że obie te nadzieje nie zostały spełnione. W jego opinii, owszem, oligarchowie nie uzyskali wpływu na partie, ale PiS sam stał się oligarchią, która położyła ręce na spółkach Skarbu Państwa. Jak stwierdził, partia rządząca oplotła państwo i je wysysa. Stawia więc tezę, że pozbawienie prawa PiS do dotacji może być dokonane poprzez udowodnienie, że rządząca partia nie spełnia art. 8 ustawy o dotacjach dla partii politycznych. Brzmi on następująco: „Partie polityczne kształtują swoje struktury oraz zasady działania zgodnie z zasadami demokracji, w szczególności poprzez zapewnienie jawności tych struktur, powoływania organów partii w drodze wyborów i podejmowania uchwał większością głosów”.

W opinii Wrońskiego zapis w statucie PiS, który pozwala prezesowi partii zawieszać danego członka, jeżeli subiektywnie w opinii lidera „działa on na niekorzyść partii”, jest punktem wyjścia do ewentualnego postępowania Trybunału Konstytucyjnego, który orzekłaby, czy statut partii jest zgodny z konstytucją. Dodatkowo wskazuje: „Łatwiejszym i bardziej pewnym sposobem [uleczenia polskiego systemu politycznego – przyp. P.S.] jest po prostu zmiana ustawy o partiach politycznych z 1997 r. przez nową większość sejmową tak, aby gwarantowane były wewnętrzne procedury demokratyczne nie tylko wewnątrz PiS, lecz także każdej

■ innej partii. Wystarczy enumeratywne wyliczanie warunków, które nie doprowadzałyby do sytuacji, że to Jarosław Kaczyński jest w stanie podjąć każdą decyzję personalną. Potrzeba do tego zwykłej większości sejmowej bądź 276 posłów w przypadku weta prezydenta”.

Do dywagacji na temat potrzeby zrobienia czegoś z PiS i jego elektoratem dołączył profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wykładowca na Wydziale Psychologii prof. Maciej Górecki. Wypowiadając się na Twitterze, ogłosił: „Elektorat PiS-u jest niezwykle toksyczny kulturowo. Po odsunięciu PiS-u od władzy służby powinny infiltrować i wewnętrznie dezintegrować każdą kolejną partię, która będzie bazować na tym elektoracie. Tylko w ten sposób unikniemy pełnoskalowego faszyzmu”.

Jak można zauważyć, prof. Maciej Górecki przedstawia rozwiązanie dla kolejnego już etapu po oczywistym dla niego rozwiązaniu PiS. Wykładowca warszawskiej uczelni swoją uwagę objął coś w rodzaju masy upadłościowej czy to działaczy, czy też wyborców po obecnie rządzącej partii. I co charakterystyczne, akceptuje działania służb specjalnych, które mają w sposób tajny prowokować podziały i konflikty wewnątrz spadkobierców PiS.

NIHIL NOVI SUB SOLE

Wszystkie te postulaty delegalizacyjne miały swoje precedensy w ciągu 33 lat po schyłku PRL. Różnica polega na tym, że już u zarania z pluralizacji politycznej na przełomie lat 1988 i 1989 lewica laicka uznała, że część demokratycznej opozycji nie powinna zajmować ważnej roli na scenie politycznej. Tyle że w wypadku częściowo demokratycznych wyborów w czerwcu 1989 r. wypychanie przedstawicieli prawicy z list odbywało się za pomocą działań kularowych. Akcję tę ułatwiało zdominowanie komitetu obywatelskiego Solidarności przez osoby związane z lewicą solidarnościową, takie jak np. Henryk Wujec czy Jan Lityński. Akcja ta tylko częściowo przyniosła efekt, gdyż wówczas do Sejmu udało się dostać trzem politykom przyszłego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego: Markowi Jurkowi, Stefanowi Niesiołowskiemu i Janowi Łopuszańskiemu.

Kolejna propozycja faktycznej delegalizacji prawicy miała miejsce po obaleniu rządu Jana Olszewskiego, kiedy to dominująca w rządzie Hanny

Samo snucie rozważań o delegalizacji PiS i reedukacji jego wyborców zachęca żelazny elektorat opozycji do coraz większej agresji

Suchockiej Unia Wolności postawiła tezę, że Porozumienie Centrum i ROP to opozycja antypaństwowa, którą należy inwigilować za pomocą Urzędu Ochrony Państwa. To wtedy po raz pierwszy wcielano w życie tak bliską dziś prof. Maciejowi Góreckiemu politykę infiltrowania i dezintegrowania prawicy za pomocą służb specjalnych.

Ujawnienie tych praktyk zahamowało na pewien czas takie pomysły. Ale już po odsunięciu PiS od władzy w 2007 r. polityk Lewicy Ryszard Kalisz zaczął lansować określenie „ugrupowania antysystemowe” w stosunku do PiS i LPR. W opinii Kalisza w Polsce powinien istnieć odpowiednik francuskiego paktu republikańskiego, czyli konsensusu partii politycznych nawiązujących do ładu okrągłostołowego, które przestrzegałyby zasady niewchodzenia w koalicję z PiS. Ta zasada rzeczywiście była przestrzegana. Najlepszym przykładem jej skuteczności było zachowanie PSL. Wbrew potocznej opinii o ludowcach jako partii, która w imię swoich interesów zawrze koalicję z każdym, Polskie Stronnictwo Ludowe trzymało się z dala od partii Jarosława Kaczyńskiego zarówno w 2005 r., jak i w 2015 r.

Teraz po dwóch kadencjach PiS zdaje się zwyciężać o wiele bardziej radykalna tendencja. Działania delegalizacyjne, połączonego z policyjną inwigilacją działaczy PiS i jego wyborców. Zauważmy, że opinie takie, które są jawnie niedemokratyczne, wygłasza dwóch znanych naukowców i nie budzi to żadnego skandalu na ich uczelniach. Ich macierzyste uczelnie – prof. Macieja Góreckiego Uniwersytet Warszawski oraz uczelnia prof. Radosława Markowskiego – SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny – nie reagują na ich wypowiedzi publiczne, uznając je za coś zupełnie normalnego.

Zwraca uwagę kolejny element wywołów zwolenników delegalizacji PiS. Oburzają się oni na rządzenie PiS przez Jarosława Kaczyńskiego silną ręką, ignorując fakt, że jest to tendencja, która dotknęła niemal wszystkie polskie partie. Nieco

ponad rok temu byliśmy świadkami, jak Donald Tusk przejął władzę nad Platformą Obywatelską na zasadzie faktycznego zamachu stanu, który wysadził z siodła poprzedniego szefa Borysa Budkę i otworzył drogę do całkowitego zdominowania przez jedną osobę struktur kierowniczych tej partii. Donald Tusk wskutek jednoosobowej decyzji zawiesił ponadto wspomnianego już Budkę i drugiego wiceprzewodniczącego partii Tomasza Siemoniaka za tak niewinne przewinienie jak udział w urodzinowej imprezie dziennikarza Roberta Mazurka.

Ponadto zwraca uwagę absolutny brak zahamowań przed powoływaniem się przez publicystę „Wyborczej” Pawła Wrońskiego na zasadę „nie ma wolności dla wrogów wolności”, którą głoszone w czasach skazywania przeciwników politycznych na gilotynę. Gdy ktoś po prawej stronie czasem pozwoli sobie na zbyt ostre porównanie tego typu, to po lewej stronie dochodzi do rozzdzierania szat. Tak samo zwraca uwagę łatwość, z jaką prof. Maciej Górecki snuje rozważania o potrzebie prowadzenia przez służby specjalne dezintegracji środowisk prawicy. Pokazuje to, że z lekcji inwigilacji partii prawicowych z lat 1992–1993 przynajmniej niektórzy sympatycy opozycji nie wyciągnęli żadnych wniosków.

I wreszcie zwraca uwagę sprowadzanie problemu oligarchizacji wyłączenie do obecnego rządu. A przecież spore obszary władzy w Polsce to samorządy największych polskich miast, gdzie oligarchizacja mienia komunalnego i spółek nimi zarządzających jest zaawansowana z racji istnienia praktyki „wiecznych prezydentów miast”, którzy mają za sobą trzy albo cztery kadencje zarządzania największymi metropoliami.

Powie ktoś, że praktyczne wcielenie w życie tak radykalnych pomysłów wyłączenia największej partii prawicy z zasad legalnego działania może być trudne pod względem praktyki politycznej. Jednak uspokajający charakter takich opinii niwelowany jest przez gorzkie podejrzenie, że działania takie nie spotkają się z zainteresowaniem unijnych organów zajmujących się przestrzeganiem praw człowieka.

I wreszcie ostatnia uwaga. Samo snucie rozważań o delegalizacji PiS i reedukacji jego wyborców zachęca żelazny elektorat opozycji do coraz większej agresji. Trudno przewidzieć, jakie mogą być konsekwencje takiej dezynwoltury.

© 2023 Wszelkie prawa zastrzeżone

Budowa wymaga ogromnej siły, również siły wyobraźni!



Central Point w Warszawie



Lewarowanie budynku w celu zmiany schematu statycznego konstrukcji

STRABAG jest obecny na polskim rynku budowlanym od 35 lat i należy do grona największych firm branży budowlanej w Polsce. Firma jest częścią europejskiego koncernu budowlanego, lidera w zakresie wdrażania innowacyjnych technologii.

STRABAG realizuje najbardziej zaawansowane technologicznie inwestycje we wszystkich obszarach budownictwa w całej Polsce. Jest generalnym wykonawcą inwestycji, który oferuje swoje usługi w zakresie infrastruktury drogowej, kolejowej, lotniskowej, budownictwa kubaturowego, hydrotechnicznego, energetycznego, przemysłowego i ochrony środowiska. Laboratoria należące do koncernu czuwają nad utrzymaniem najwyższych standardów jakości, prowadząc prace badawcze i wdrażając innowacyjne technologie. Grupa działa również w branży deweloperskiej oraz usług facility management. STRABAG posiada rozwiniętą sieć wytwórni mieszanek asfaltowych, własne wytwórnie betonu oraz własne kopalnie kruszyw. Dysponuje wysoko wykwalifikowaną kadrą specjalistów i najnowszej generacji parkiem maszynowym. W Polsce Grupa STRABAG zatrudnia blisko 6,5 tys. osób.

www.strabag.pl



STRABAG

WORK ON PROGRESS

eprasa.pl e39a249d90



Jan Fiedorczuk

Kult wodza, grasujące bojówki, zapowiedź wsadzenia przeciwników politycznych do więzienia, postulat przejścia instytucji państwa za pomocą „silnych ludzi”. To nie jest wykaz cech faszyzmu z podręcznika politologii, to opis liberalnej opozycji A.D. 2022. W ostatnich miesiącach coś się zmieniło na polskiej scenie politycznej, pękły jakieś bariery, a na naszych oczach wśród rzekomych „obrońców demokracji” zaczął rozwijać się nowy radykalizm

Na początku października głośnym echem odbiło się wystąpienie Donalda Tuska w Kluczborku, gdzie lider PO zapewniał swych zwolenników, że po najbliższych wyborach politycy PiS trafią do więzienia. – Trybunał Stanu to jest pieszczota. Oni będą siedzieć, a nie że odbierze im się prawo do kandydowania. Mam nadzieję, że wspólnie doprowadzimy do tego – przemawiał Tusk.

Kilka tygodni wcześniej – po emisji programu TVN 24 o podkomisji smoleńskiej – lider PO zapewniał, że z wolnością będzie musiał się pożegnać Antoni Macierewicz. Z kolei wiceprzewodnicząca Platformy Izabela Leszczyna przekonywała, że rządzący trafią za kratki za blokowanie funduszy z KPO. Jednak żądzą zemsty żyją nie tylko politycy PO. Całkiem niedawno Lewica proponowała powołanie Komisji Sprawiedliwości i Prawa do rozliczenia PiS, a lider ugrupowania Włodzimierz Czarzasty już w 2018 r. obiecywał, że „nowa władza wsadzi połowę towarzysza PiS do więzienia”.

Ten rozliczeniowy trend ewidentnie nabrał na sile w ostatnich tygodniach w związku z kolejnymi sondażami, które dowodzą spadającego poparcia dla Zjednoczonej Prawicy. I tak choćby Ewa Siedlecka w jednym z ostatnich numerów „Polityki” zastanawia się, jakie są szanse na ukaranie Beaty Szydło czy Andrzeja Dudy, a Eliza Michalik na łamach portalu NaTemat.pl wprost przekonuje, że „jeśli



Czas brunatnych liberałów

opozycja po wygranej nie rozliczy i nie zdelegalizuje PiS, to w Polsce rozpęta się piekło”. Wystarczy zajrzeć do lewej części Twittera czy Facebooka, by przekonać się, jak pewni zwycięstwa są zwolennicy opozycji i jak wizja rozliczenia PiS staje się ich naczelnym celem – główną stawką zbliżających się wyborów.

Kwestia jest jednak poważniejsza niż kilka artykułów czy wypowiedzi. Dynamika polskiej sceny politycznej prowadzi, że w ostatnim roku w Polsce coś się zmieniło, a antypisowska frustracja nabrała cech obsesji. Dla liberalnych „obrońców demokracji” zemsta stała się celem samym w sobie.

STAN BEZ NAZWY

W tych deklaracjach najciekawiej wibrzmiwia przeświadczenie o nieuchronności kary dla polityków PiS oraz zupełne abstrahowanie od takich kwestii jak proces przed niezależnym sądem. Najmocniej było to widoczne w cytowanym wystąpieniu Tuska w Kluczborku, gdzie polityk wprost zapewniał, że do osądzenia PiS nie będzie potrzebny żaden Trybunał Stanu.

Tutaj warto wrócić do wspomnianego wyżej artykułu Ewy Siedleckiej, która przyznaje, że perspektywy ewentualnego skazania przedstawicieli władzy rysują się bardzo mgliście. Publicystka lewicowej „Polityki” stwierdza, że odpowiedzialności mogą uniknąć Beata Szydło za opóźnienia w drukowaniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego, prezydent Andrzej Duda za zaprzysiężenie „ponadprogramowych” sędziów Trybunału czy choćby Jarosław Kaczyński za „sprawstwo kierownicze”. I to nawet przed „wolnymi” sądami w „demokratycznej” Polsce. Również perspektywy skazania Antoniego Macierewicza, Zbigniewa Ziobry czy Mariusza Kamińskiego rysują się dość blade – przyznaje Siedlecka. Warto w tym kontekście zapytać, jak poszło rozliczanie pierwszego rządu PiS z lat 2005–2007? Wówczas też padały szumne zapowiedzi, które spełzły na niczym.

Różnica z tamtą sytuacją jest jednak fundamentalna. Wówczas rządy PiS trwały ledwie dwa lata i zostały potraktowane jako błąd w systemie – niebezpieczne, ale jednak jedynie odstępstwo od normy.



Antyrządowy protest przed Wawelem w miesięcznicę pochówku pary prezydenckiej, Kraków, 18 listopada 2022 r.
FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER

Obecnie PiS rządzi siedem lat, a rok 2019 dowiódł, że Polacy wcale nie ulegli krótkotrwałemu szaleństwu, tylko świadomie odwrócili się od swych światłych elit („oświeconych reformatorów”, jak to stwierdził Bartłomiej Sienkiewicz), poddając krytyce cały projekt III RP. Dlatego też poziom frustracji jest odpowiednio większy, a co za tym idzie – większa jest również żądza zemsty. Stąd można przypuszczać, że sprawa nie rozejdzie się po kościach. Bez względu na to, co zdecydują sądy.

Liberałowie, którzy odmieniają pojęcie „praworządności” przez wszystkie przypadki, sami jednak przyznają, że prawo może okazać się jedynie kotwicą hamującą rozliczeniowy zapał. Sprawa zresztą nie dotyczy jedynie gróźb pod adresem znienawidzonych polityków, ale ma szerszy – strategiczny – wymiar. Kilka miesięcy temu w tekście „O jakiej Polsce marzy Donald Tusk” („Do Rzeczy” nr 31/2022) pisałem, że sama obietnica liberalizacji prawa aborcyjnego, która urosła do rangi naczelnego postulatu Platformy, świadczy o zamiarach podeptania ustawy zasadniczej. Aby wprowadzić postulowane

zmiany, konieczna jest większość konstytucyjna, a zatem jedynym możliwym wyjściem będzie pozaprawne zmienienie przepisów. Aborcja tym samym posłuży jako wytrych do zanegowania ostatnich ośmiu lat państwa polskiego i wysadzenia w powietrze całego porządku prawnego. Donald Tusk mówił wprost, że działania rządzących w wymiarze sprawiedliwości były nielegalne, a zatem „nie ma” żadnych decyzji, które należałoby na drodze prawnej przegłosować, wystarczy uznać ich nieistnienie.

Wydarzenia ostatnich tygodni są jednak pewnym novum na tle dotychczasowej retoryki opozycji. O ile w przeszłości np. Sławomir Nitras namawiał wojsko do buntu, a Roman Giertych opowiadał, że Kaczyński chce go zamordować, o tyle były to jednak głosy z obrzeża partii czy wręcz politycznego mainstreamu. Tym razem tezy o podobnym ciężarze gatunkowym sufluje nie Jan Piński czy Tomasz Lis, ale sam Donald Tusk – były premier, były przewodniczący Rady Europejskiej oraz lider nie tylko Platformy Obywatelskiej, lecz także całej sceny demoliberalnej,

na której to cieszy się statusem półboga (i to wcale nie mniejszym niż Jarosław Kaczyński wśród PiS-owców).

Co jednak zrobić z instytucjami, których nie sposób ignorować? Co z prezes Trybunału Konstytucyjnego? Co z Sądem Najwyższym, Krajową Radą Sądownictwa (tzw. neo-KRS)? I tutaj Tusk już dał wskazówkę, jak mogą wyglądać nowe porządki. – Nie będzie trzeba ani jednej, ani stu ustaw. Trzeba będzie kilku odważnych ludzi, którzy wyproszą panie i panów, którzy nielegalnie zajmują miejsca, i wyprowadzi się ich z budynku – przekonywał podczas spotkania z wyborcami w Stargardzie. W rozmowie z „Gazetą Wyborczą” wskazał, że prezes Julię Przyłębską trzeba będzie „odkuć”, jeżeli nie zechce dobrowolnie oddać stanowiska, a z kolei podczas występu w Radomiu zapewniał, że po przejęciu władzy po prostu „wyprowadzi” Adama Glapińskiego z NBP. – Adam Glapiński jest nielegalny. Nie będzie ani dnia dłużej prezesem NBP. Nie trzeba będzie ustawy – zapewniał lider PO (jak precyzował Tomasz Siemoniak, „przyjadą silni ludzie i go przekonają, że nie jest prezesem NBP”). Donald Tusk arbitralnie decyduje, co jest, a co nie jest nielegalne i które instytucje po zmianie władzy będą mogły dalej funkcjonować, a które mają wymienić kierownictwo. Jednocześnie de facto grozi, że partyjne bojówki (bo nie sposób inaczej rozumieć zapewnień o „silnych ludziach”) „odkują” kierownictwo TK czy NBP. Nie jest on zresztą jedynym, który marzy o „silnych ludziach” zaprowadzających porządek w państwie polskim. – Jestem zwolennikiem siłowego wyprowadzenia trzech dublerów z Trybunału – przekonywał niedawno poseł Krzysztof Śmiszek w rozmowie z Onetem.

Carl Schmitt – niemiecki filozof, którego twórczość Donald Tusk ponoć zgłębił – wprowadził do nauk o prawie pojęcie „stanu bez nazwy”, czyli specyficznej formy stanu wyjątkowego, który nie znajduje umocowania w obowiązującym systemie prawnym i jako taki bierze się „z niczego”. Legitymacją „stanu bez nazwy” nie jest porządek prawny, tylko sama decyzja suwerena. Jest to doktryna bliska zarówno autorytarnej prawicy, jak i lewicy, ale z pewnością zupełnie obca tradycji liberalnej. A jednak to właśnie taki „stan bez nazwy” wyłania się z wypowiedzi Donalda Tuska i jego akolitów. Nie sposób przeprowadzić depisyzacji państwa polskiego z poszanowaniem prawa, a zatem Tuskowi pozostaje

■ jedynie wziąć osiem lat istnienia państwa w nawias i – wprowadzając tenże ekstrordynaryjny „stan bez nazwy” – przejąć instytucje państwa, anulować obowiązujące ustawy i powsadzać do więzienia politycznych konkurentów.

Kilka miesięcy temu w „Newsweeku” ukazał się interesujący wywiad z prof. Wojciechem Sadurskim, który jest doskonałym uzupełnieniem tego, o czym pisze Ewa Siedlecka i o czym napomyka Donald Tusk – rozliczenie PiS może być bardzo kłopotliwe, jeżeli nie niemożliwe w świetle obowiązujących przepisów. Ponadto, aby zgodnie z prawem przejąć kluczowe instytucje, opozycja będzie musiała czekać kilka lat, aż wygaśnie kadencja obecnych urzędników i sędziów, a na to politycy nie mają ochoty. W czym zresztą wtóruje im rzeczony Sadurski. – Będziemy musieli iść na kompromis z zasadami. Nie da się wyjść z tego systemu sympatycznie i w rękawczkach – przekonuje konstytucjonalista.

NORYMBERGA DLA PIS

Akcja depisyzacji Polski, którą przeprowadzą „silni ludzie”, ma być stosunkowo szybka, gdyż potrwa równo 100 dni. Tusk sam przyznaje, że „nie ma czasu”, aby przez cztery lata zajmować się reformą państwa. – Pracuję z dużym zespołem ludzi, który roboczo nazywam „100 dni”. Będziemy mieli do wyborów przygotowaną rozpiskę na każdy dzień po przejęciu władzy. W ciągu 100 dni wszystko będzie wyczyszczone – zapewniał niedawno.

Skoro z góry uznano, że politycy PiS to kryminaliści, którzy trafią za kratki nawet bez Trybunału Stanu (a ich immunitety, jak można domniemywać, zostaną w drodze ekstrordynaryjnej zawieszone), to delegalizacja rządzącej partii wydaje się oczywistym postulatem. Tę kwestię już rok temu podnosił szef klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski (na kanwie sporu o tzw. lex TVN), a całkiem niedawno temat odżył w intelektualnym zapleczu opozycji.

„W Polsce władza zgnoiła polską konstytucję. Uważam, że jak zostanie w Polsce przywrócona praworządność, należy zainicjować proces delegalizacji PiS, co oczywiście będzie należało do niezależnego sądu” – opowiadał niedawno w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” prof. Radosław Markowski. Pytany natomiast (w TOK FM), na jakiej podstawie sąd miałby zdelegalizować najpopularniejszą partię w Polsce, odpowiada bez wahania: „Na podstawie deptania konstytucji”.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na debatę, która odbyła się pod jakże znamienitym tytułem „Gruba kreska czy Norymberga? Przyszłość sądownictwa po katastrofie PiS-u”. W wydarzeniu uczestniczyli byli rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, Sylwia Gregorczyk-Abram z inicjatywy Wolne Sądy oraz prezes Iustitii sędzia Krystian Markiewicz. Z wypowiedzi prelegentów wynikało, że żadnej „grubej kreski” nie będzie, ale najdobitniej wybrzmiały słowa Gregorczyk-Abram, która przekonywała, że z „neosędziami” należy po prostu „zrobić porządek”.

Jednak nawet po ewentualnym zdelegalizowaniu PiS nadal pozostaje elektorat głosujący na prawicę. Co z nim począć? Politycy wydają się w tej kwestii bezradni, aczkolwiek na obrzeżach debaty publicznej zaczęły już pojawiać się pierwsze, na razie ostrożne, propozycje w tej sprawie. Profesor Maciej Górecki wykładający na Wydziale Psychologii UW stwierdził niedawno, że wyborcy PiS są „niezwykle toksyczni kulturowo”, a w przyszłości „śłużby powinny infiltrować i wewnętrznie dezintegrować każdą kolejną partię, która będzie bazować na tym elektoracie” (sic!). Jak przekonuje, tylko w ten sposób uda się uniknąć „pełnoskalowego faszyzmu”.

NA BRUNATNEJ ŚCIEŻCE

Ostrzeżenia przed faszyzmem, które padają z ust liberalnych polityków oraz ich okółopolitycznych akolitów, są dość przewrotne, jeżeli uwzględnimy, że to właśnie po opozycyjnej stronie sceny dostrzegamy bardzo niepojęcy proces radykalizacji, by nie rzec – brunatnienia.

W lipcu Donald Tusk zapewniał swych zwolenników, że jeśli obecna władza nie zniknie, to „przyjdzie taki moment, że na ulicy też się wszyscy zorganizujemy”. Nie trzeba było długo czekać na odpowiedź rozhisteryzowanych bojówkarzy, którzy posłusznie zaczęli się „organizować”. Efekty tego widzimy choćby na spotkaniach Jarosława Kaczyńskiego z wyborcami, na które przybywają bandy wściekłych antypisowców obrzucających wyzwiskami i opluwających Bogu ducha winnych ludzi albo rzucających kamieniami w samochód, którym jedzie prezes PiS. W zeszłym tygodniu po jednym z takich spotkań na Ostródzie działacze KOD zaatakowali wójta gminy Bogusława Fijasa. Sam Fijas nigdy nie był członkiem PiS, ale już samo pojawienie się w obecności Kaczyńskiego ściągnęło na niego agresję „demokratów”. Obecnie kor-

don policjantów na spotkaniach z prezesem PiS to już konieczność, żeby zapobiec tragedii. „W samorządzie funkcjonuję od samego początku, czyli 32 lata. Delikatnie mówiąc, z takim chamstwem w życiu się jeszcze nie spotkałem” – stwierdził Fijas w rozmowie z portalem wpolityce.pl.

Z kolei kilka dni wcześniej media obieły informacje o atakach na biura poselskie polityków Zjednoczonej Prawicy – Moniki Pałowskiej oraz siedzibę PiS przy ul. Nowogrodzkiej. W obu przypadkach agresorzy grozili śmiercią zebranych osobom (pracownicy biura oraz ochroniarzowi), a napastnik z Nowogrodzkiej domagał się spotkania z Jarosławem Kaczyńskim.

Zabójstwo Marka Rosiaka w 2010 r. to swoiste memento, które nie pozwala bagatelizować obecnych napadów. Ale nawet te ataki nie są szczególnie zaskakujące, jeżeli uwzględnimy, że nie tak dawno, posługując się wierszem Czesława Miłosza, Donald Tusk życzył śmierci prezydentowi Andrzejowi Dudzie. – Pamiętajcie o tym, co spotyka każdą władzę, która sprzeniewierza się ojczyźnie – przestrzegał wówczas lider PO.

Reasumując: Donald Tusk opowiada o „silnych ludziach”, którzy wyrzucą z instytucji niemiłych mu urzędników, obiecuje powsadzać do więzienia politycznych przeciwników oraz radykalizuje swój przekaz, opowiadając m.in. o śmierci prezydenta Polski. Ronald Reagan przed laty stwierdził, że „jeśli faszyzm kiedykolwiek dotrze do Ameryki, to w imię liberalizmu”, i wszystko wskazuje na to, że te słowa można zastosować do polskiej sytuacji w 2022 r. Oczywiście nie mamy jeszcze do czynienia z faszyzmem sensu stricto, jednak radykalizacja rodzimych liberałów musi budzić niepokój.

Najważniejsze pytanie brzmi: Czy lider PO rysuje wizję bezprawnej, brutalnej rewolucji tylko po to, by zmobilizować elektorat i nie dać się prześcignąć innym radykałom z lewa, czy też powrócił do polskiej polityki na tyle „zeuropeizowany”, że naprawdę marzy mu się brunatny przewrót? Tusk przez lata grał cynicznego pragmatyka, jednak dynamika wydarzeń na polskiej scenie politycznej każe sądzić, że ten umiarkowany, racjonalny przekaz jest już pieśnią przeszłości. Jak pisałem w jednym z poprzednich artykułów, Donald Tusk jest obecnie politykiem po szkole unijczyków – zideologizowanym radykałem. A tacy są przecież najgroźniejsi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Iga Świątek

Twoja przyszłość leży w Twoich rękach

Zabezpiecz siebie i swoją rodzinę z zaufanym partnerem PZU Życie.

#maszwplywnaswojezycie

Dowiedz się więcej na pzu.pl/maszwplywnaswojezycie





Rafał A. Ziemkiewicz

W Polsce możemy właśnie oglądać upadek intelektualistów, którzy uznawali, że lud musi im się jako „elicie” podporządkowywać

Bez mała sto lat temu francuski filozof Julien Benda w szeroko dyskutowanej książce oskarżył współczesnych sobie o „zdradę klerków”. Zdrada, w największym skrócie, polegała jego zdaniem na tym, że „klerkowie”, intelektualiści, zamiast zajmować się tym, do czego są wykształceni, postanowili zajmować się tym, na czym się nie znają: polityką, rewolucjami, promowaniem zmian społecznych, w duchu marksowskiego „nie wystarczy opisywać świata, trzeba go zmieniać”. W heroicznym okresie dawało im to miłe poczucie moralnej wyższości, płynące z opowiadania się po stronie słabszych i skrzywdzonych przeciwko tyranom, ale w miarę kolejnych zwycięstw lewicy i postępów demokracji liberalnej „oświeceni” poczuli się nową arystokracją, warstwą szczególnie uprzywilejowaną, uprawnioną do ferowania wyroków, do rozstrzygania – ostatecznie zaś przyznali sobie uprawnienia współczesnych cenzorów, w sensie nie tylko cenzurowania debaty publicznej, lecz także na wzór starożytnego Rzymu, gdzie, przypomnę, cenzor oznaczał urzędnika uprawnionego do usuwania z życia publicznego osób, które uznał za niespełniające wymogów moralnych.

Benda przewidywał już 100 lat temu, że to się dla intelektualistów źle skończy: świata nie oświecą, a sami zgłupieją. I tak dokładnie się stało. Na dodatek zaś samozwańcze pełnienie z ochoczym zapałem roli cenzorów demokratycznego społeczeństwa spowodowało w końcu przeciw nim bunt, który we własnym języku objaśnili sobie jako „populizm”.

POLSKI UPADEK

W Polsce, gdzie z różnych powodów procesy związane z rozkładem demokracji liberalnej zachodzą wcześniej i w sposób bardziej wyrazisty (co czyni nas „trendsetterem narodów”), możemy oglądać właśnie ten upadek w pełnej krasie i rozłożyć go na czynniki pierwsze.



Przyjrzyjmy się rodzimemu przedstawicielowi tej formacji. Rafał Grupański bardzo dawno temu, gdy jeszcze występował przeciwko salonom z pozycji szyderycy, nazwał go „pinem”, co stanowi poręczny skrót zarówno od „postępowego”, jak i „polskiego intelektualisty”. Otóż „pin” w „państwie PiS” rozrywany jest straszliwymi furiami, które miotają nim w maniacko-depresyjnych cyklach niczym pacjentem poddanym tzw. odtruwaniu. Z jednej strony od lat, szczególnie od roku 2015, zżera „pina” frustrujące poczucie odrzucenia. Wychowany w przekonaniu, że osiągnął stopnie naukowe i pozycje zawodowe zapewnią mu szacunek i posłuch „mas”, nie może pogodzić się z faktem, że masy gremialnie przestały je okazywać,

a nawet demonstracyjnie odrzucają dawną hierarchię szacunku. Z drugiej strony nie jest w stanie wyrzec się kulturowania tej hierarchii, a z nią ambicji przewodzenia masom, uwiedzionym przez „populistów”.

Skutkuje to dwojakiego rodzaju reakcjami. Co istotne, choć są one względem siebie krańcowo sprzeczne, te same osoby reprezentują je jednocześnie, a mówiąc ściślej: naprzemiennie. To właśnie nadaje życiu intelektualnemu „ludzi na pewnym poziomie” (jak skromnie definiował się „pin” w czasach triumfu, rządów UD, UW i skolonizowanego przez michnikowszczyzną SLD) charakterystyczny rys maniacko-depresyjny. Typowy postmichnikowy intelektualista miota się między odreagowaniem odrzucenia a wypieraniem go.



Magicznych momentów, które miały masom otworzyć oczy, było już wiele, np. manifestacje KOD

FOT. DANIEL GNAP/EAST NEWS

klerków

Odreagowuje odrzucenie pogardą dla „chamstwa”, „hołoty kupionej za pińćset”, której potrzeby kulturalne zaspakajają discopolowe imprezy TVP, a intelektualne – toporna propaganda rządzących. Wypiera je zaś, wmawiając sobie jednocześnie, że wcale swego wpływu na „lud” nie utracił, że lud pod wpływem złych populistów uległ tylko chwilowemu szaleństwu, ale na wezwanie autorytetów w końcu „stanie na raz” i obali „reżim”. Stąd wyrazy pogardy dla Polaków przeplatają się z wmawianiem sobie, że wbrew wszelkim sondażom salony wciąż mają za sobą większość, wciąż cieszą się społecznym szacunkiem i jakiś prosty zabieg magiczny – np. „jedna lista opozycji” – wystarczy, by „znowu było tak, jak było”. Bez żadnego analizowania błędów

(bo nie było żadnych błędów, „a kto mówi, że nie, to go w mordę”, jak pisał Witkacy) i bez zmieniania w sobie i swoim postępowaniu czegokolwiek.

Lud jest więc zarazem złym, ciemnym, populistycznym żywiołem, przez który być znienawidzonym stanowi w gruncie rzeczy powód do chwały, nie przestając być nadzieją.

Tych „magicznych” momentów, które miały masom otworzyć oczy i zrealizować zapowiadany przez Lisa, Wałęsę, a ostatnio Tuska scenariusz „milionów na ulicach”, które będą pisowskich populistów „wyprowadzać” czy zgzoła „wyrzucać z okien”, było już tyle, że trudno spamiętać. Przebudzenie mas miały przynieść manifestacje KOD i Wolnych Sądów, „kobiety”,

filmy Smarzowskiego, Sekielskiego czy Vegi, oskarżenia o „zabieranie Internetu”, „trucie smogiem”, „wyprowadzanie z Europy”, wstrzymanie przez „Europę” funduszy i tak dalej. Obiecany koniec „państwa PiS” wciąż jednak nie nadchodzi.

Zjawisko, zwane przez Niemców „hassliebe” (nienawiściomłość), jest kluczowe dla zrozumienia behawioru „pina”. Lud zawiódł, więc budzi żywiołową pogardę i nienawiść, ale cały sens bycia intelektualistą polega, od czasu „zdrady klerków”, na powodowaniu, z pozycji autorytetu, zachowaniami ludu. „Pin” bez ludu istnieć nie może, jest na niego skazany, choćby lud taki, jaki jest, wprowdzał go swą niewdzięcznością w nie wiedzieć jakie obrzydzenie.

ZŁUDZENIE O SZEROKIM POPARCIU

Stąd niezwykle ważne jest dla „pinów” – co kształtuje przekaz mediów, obsługujących emocje obozu lewicowo-liberalnego – podtrzymywanie złudzenia o szerokim społecznym poparciu dla tego obozu, a co najmniej o „społecznym” oporze wobec „populistów”. Temu właśnie służy nieustające podjudzanie garstki zadymiarzy do atakowania spotkań PiS, jeżdżenia po kraju za Jarosławem Kaczyńskim, nachodzenia polityków w domach, pikiet i coraz intensywniejszych bluzgów. Z punktu widzenia polityki jest to przeciwnie skuteczne, bo zniechęca do opozycji umiarkowaną większość wyborców. Ale jest niezwykle ważne dla utrzymania mobilizacji sfrustrowanych elit. Ściągając zadymiarzy, zmusza się rząd do stawiania barier, ściągania na miejsce spotkań i uroczystości państwowych zabezpieczenia policyjnego, co pozwala tefalenom pławić „piną” w błogim poczuciu: patrzcie, boją się „ludzi”, obstawiają się ochroniarzami, policją i barierkami! W ten sposób medialny symulakr umacnia w „pinie” wiarę, że gdzieś tam, gdzie jego wzrok nie sięga, jest ten zdrowy, antypisowski lud, choć na razie bierny, ale liczny i bitny, który w końcu posłucha zgodnych wyzwań zawartych w cotygodniowych wywiadach profesorów i aktorów z „Wyborczej”, „Newsweeka” i Onetu. Skoro reżim „się boi” gniewu ludu, to widać on tam gdzie jest!

Podsuwa to drogę wyjścia z dysonansu poznawczego, w jakim od lat tkwi „pin”. On, ten zdrowy, antypisowski lud gdzieś tam jest, my wciąż jesteśmy jego naturalnymi przewodnikami i autorytetami

■ – problem musi tkwić w komunikacji. Nie będąc zdolnym do przyznania się, że oświecona elita popełniła jakieś błędy zasadnicze, może się „pin” przyznać do błędów „technicznych”: nie umieliśmy się ze zdrowym ludem skomunikować. Zwłaszcza chętnie przyjmuje „pin” takie wyjaśnienia, jeśli opakowane są w mile go łechzczącą argumentację: nie skomunikowaliśmy się, bo byliśmy zbyt mądrzy, zbyt elegancy, zbyt merytoryczni. Do ludu – nawet tego zdrowego, naszego – trzeba mówić po ludowemu: „j.... PiS!”, „Wypier.....!”.

TEŚKNOTA ZA MOCĄ

Brutalizacja przekazu, mocniejsze słowa – oto w pojęciu „pina” klucz do sukcesu. „Jesteście porzyganymi menelami, którzy honor i imię Polski obsrywają każdego dnia jak osiedlowy śmietnik. Świat, gardząc waszą amoralną zgrają bez czci i narodowości, gardzi też nami – Polakami. Tego wam naród nie wybaczy”. Ten dość przypadkowo wybrany, jeden z wielu charakterystycznych wpisów twitterowych profesora filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego Jana Hartmana do „pisowców” jest niezwykle charakterystyczny. Każdy, kto choć pobieżnie czytał publikacje krakowskiego etyka (!), wie, że jako wyznawca poglądów skrajnie lewicowych do pojęcia wspólnoty narodowej i honoru Narodu nigdy się on nie odwoływał, uznając je za archaiczne i szkodliwe. Bliżej mu raczej do Jerzego Stuhra, deklarującego, że za granicą „wstydi się mówić po polsku”. Tymczasem od pewnego czasu stara się on kreować na obrońcę honoru i czci „nas, Polaków”, wszystko to łącząc oczywiście z plugawym i brutalnym językiem. Profesor w swych marzeniach o skuteczności zapragnął być „silnym człowiekiem”, skinem i kibolem w jednym, takim jak sobie wyobraża. I w tym, czym może tego próbować – w słowach, bo przecież w ewentualnej konfrontacji ulicznej taki obrońca narodowej dumy nakryłby się nogami od samego podmuchu.

Ta sama tęsknota za mocą przyświecała prof. Indze Iwasów, polonistce z Uniwersytetu Zachodniopomorskiego i przewodniczącej Kapituły Nagrody Literackiej Nike, gdy wygłaszała publiczne peany na cześć Marty Lempart i „oczyszczającej mocy” słowa „wypier.....”, posuwając się nawet do czegoś w rodzaju samokrytyki, że jako intelektualistka miała wcześniej, czego się wstydi, opory, by takiego „oczyszczającego” języka używać – i dziękuje aktywistkom, że ją z tego zahamowania wyleczyły.

Transmitowana przez TVN gala wręczenia wspomnianej nagrody, na której wszyscy obecni licytowali się, kto przyłoi mocniej (wygrał laureat, który krzyczał ze sceny o „tym całym faszystowskim gównie, które nas zalewa”, ale konkurencja była mocna), jest dobrym przykładem zjawiska, o którym tu mowa. Jeśli pisarze i krytycy literaccy, w swoim przekonaniu z najwyższej półki (NIKE ma wszak być „główną nagrodą literacką” w kraju), uznają swoje pisanie za nieskuteczny sposób wpływania na rzeczywistość i przechodzą na skandowanie hasel i wymachiwanie transparentami, trudno nie uznać tego za abdykację klerka. A jednak nie jest to abdykacja, ponieważ robią to

Wszystko na świecie ma swój koniec, ale rzadko kiedy wygląda on tak żałośnie, jak w wypadku ostatecznego końca „zdrady klerków”

oni w przekonaniu, że chamski bluzg w ich ustach jest bardziej „oczyszczający” niż w ustach zwykłego chama, a transparent w ich rękach ważniejszy niż w rękach „człowieka prostego”.

Następuje zatem kompletny rozjazd pomiędzy przyczynami, z których wywodzi „pin” swe poczucie wyższości i oczekiwanie uznania w nim autorytetu, a sposobem, w jaki tego autorytetu używa, i sprawą, dla której go używa. Świetnym przykładem z dni ostatnich – a zarazem ciekawym pendant do zamieszczonego w naszym tygodniku listu Hermanna Tertscha – jest skorelowanie w czasie Nagrody Księżnej Asturii dla Adama Michnika jako „obrońcy wolności” z podjęciem przez kierowaną przez niego gazetę kampanii na rzecz zdelegalizowania PiS, do czego wezwało dwóch profesorów Uniwersytetu Warszawskiego – Radosław Markowski i Maciej Górecki. Abstrahując od bezsilności tych rojeń, akcja, do której inicjatorzy i wspierająca ich gazeta nie są w stanie wskazać żadnej podstawy prawnej poza obelgą „faszyści”, odwołująca się zatem wyłącznie do owego wspomnianego na wstępie prawa cenzorskiego przypisanego sobie przez lewicowo-liberalne salony, obejmować ma nie tylko delegalizację największej w kraju i najpopularniejszej

partii politycznej, lecz także konfiskatę jej majątku, represje wobec działaczy i zwolenników. Profesor Górecki nie ukrywa, że „konieczne” będzie również użycie metod policyjnych do „zdezintegrowania” elektoratu PiS (ok. jednej trzeciej aktywnych politycznie obywateli!) po to, aby w miejsce rozwiązanej partii nigdy nie powstała jakaś inna formacja o podobnym „faszystowskim” programie.

Przy użyciu oskarżenia o faszyzm – w dokładnie taki sam sposób, w jaki historycy faszystów i nazisów używali oskarżenia o „bolszewizm” – zaprezentowali więc profesorowie UW i patronująca im gazeta „niestrudzonego obrońcy wolności” program skopiowany jeden do jednego z Mussoliniego i Hitlera. Jedyna różnica to ta, że tamci mieli za sobą wielotysięczne bojówki czarnych i brunatnych koszul, a redaktor Wroński i profesorowie Markowski oraz Górecki najwyraźniej liczą, że faszystowskiej w swej istocie przebudowy państwa w monopartyjną „oświeconą” dyktaturę lewicowo-liberalną mogą dokonać siłą autorytetu należnego im, jako przedstawicielom elit. Siłą stanowiących nośniki elitarności tytułów naukowych, nagród oraz, last but not least, autoryzowania tutejszych salonów przez Zachód. Ten postkolonialny element budowania poczucia wyższości na byciu akceptowanym przez cywilizacyjną centralę jest specyficzny dla Polski i to on właśnie sprawia, że wszystkie ostateczne skutki „zdrady klerków”, jakimi są intelektualna i moralna degradacja intelektualistów jako warstwy społecznej, możemy u nas obserwować wcześniej.

Niemniej ten sam proces widać także w Europie Zachodniej i Ameryce. Ludzie, którzy swe prawo do przewodzenia społeczeństwu legitymizują przekonaniem, że są mądrzejsi i bardziej etyczni od ogółu, wykorzystują ją do działań głupek i skrajnie nieetycznych, podejmując z ludem, któremu chcą przewodzić, licytację w cechach, które każe przypisywać ludowi pogarda oświeconych. „Powinniście nas słuchać, prymitywna, wulgarna i agresywna hołoto, bo potrafimy być równie prymitywni, wulgarni i agresywni, a nawet bardziej, potrafimy zaimponować wam chamstwem i agresywnością jeszcze większą od waszej!”.

Wszystko na świecie ma swój koniec, ale rzadko kiedy ten koniec wygląda tak żałośnie, jak w wypadku ostatecznego końca „zdrady klerków”.

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com





Tomasz Rowiński

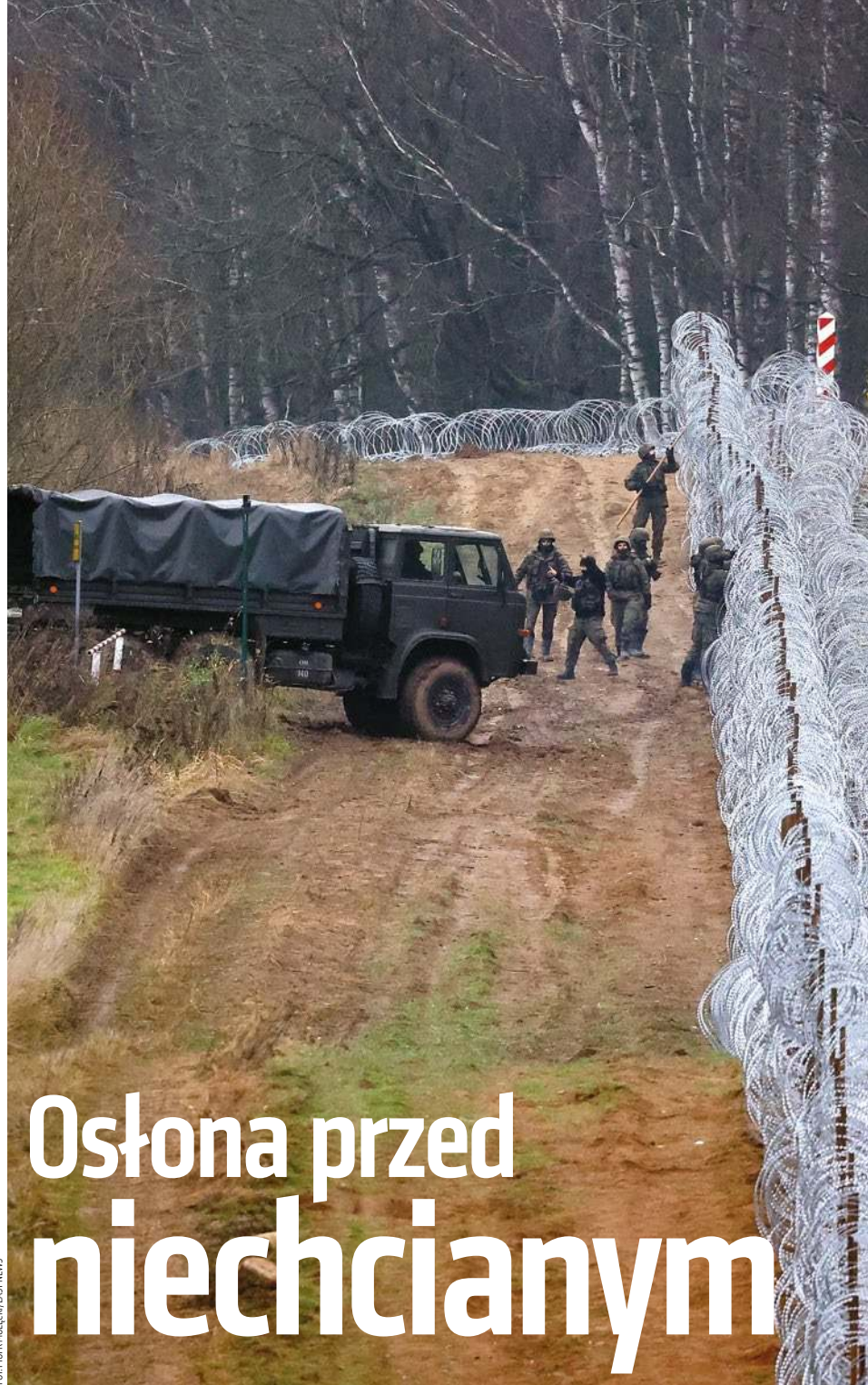
Ogrodzenie na granicy z obwodem kaliningradzkim to dobry pomysł. I nie krytykuje go już nawet opozycja, która wyciągnęła naukę po sprawie inwazji migrantów z Białorusi

Decyzja ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka, by zbudować na granicy z obwodem kaliningradzkim (rosyjską eksklawą wciśniętą pomiędzy Polskę, Litwę i Bałtyk) zaporę podobną do tej, która w zeszłym roku powstrzymywała migrantów przepychanych do Polski przez służby białoruskie, jest decyzją zrozumiałą i racjonalną. Im bowiem trudniejsza będzie sytuacja rosyjskiej armii na ukraińskich frontach, tym bardziej zdecydowanie Moskwa zacznie szukać innych rozwiązań, mogących pomóc jej w korzystnym politycznie zakończeniu wojny. Destabilizacja Polski z pewnością jest jedną z opcji branych pod uwagę.

Decyzja o budowie zapory jest efektem nauczki, którą polskie władze otrzymały w zeszłym roku. Wtedy to upleciona z drutu żyłkowego zaporą była budowana już w czasie rozwijającego się kryzysu granicznego z Białorusią, gdy w okolicy Usnarza Górnego koczowała grupa migrantów gotowych do nielegalnego wkroczenia na teren Rzeczypospolitej. Inne były też nastroje. Politycy, a także media związane z opozycją kwestionowały działania rządu mające na celu zabezpieczenie północno-wschodniej granicy Polski. Krytykowano nie tylko koncepcję tworzenia zapór, lecz także, na rozmaite sposoby, postępowanie polskich żołnierzy służących w strefie przygranicznej.

Warto przypomnieć, że latem i jesienią 2021 r. media liberalne, a także politycy opozycji starali się przekonać Polaków, że gromadzący się przy granicy naszego kraju ludzie, pochodzący zarówno z Bliższego Wschodu, jak i Afryki, to uchodźcy, a nie sterowani przez reżim Łukaszenki imigranci, mający służyć jako narzędzie destabilizacji sytuacji w naszym kraju.

Obecnie, gdy od 24 lutego trwa rosyjska inwazja na Ukrainę, ten rodzaj



Ostona przed niechcianym

politycznej beztroski wobec zająć na wschodzie kraju wydaje się być czymś niewiarygodnym, a jednak miał miejsce. 16 listopada minie rok od ataku, który tysiące imigrantów, inspirowanych przez służby Białorusi, przeprowadziły na przejście graniczne w Kuźnicy. Dziś wiadomo, że polskie władze już wtedy wiedziały, dzięki pracy wywiadów państw NATO, że Rosja zamierza rozpętać prawdziwą wojnę przeciwko Ukrainie. Z tej perspektywy łatwiej jest też zrozumieć

ówczesną skalę zaangażowania polskiego wojska i służb w ochronę granicy, a także rozmach operacyjny, który został przedsięwzięty – łącznie z wprowadzeniem lokalnie stanu wyjątkowego.

Czy rzeczywiście na granicy z Rosją może powtórzyć się zeszłoroczny scenariusz? Tego nie wiadomo, choć są przesłanki, że nasz północny sąsiad będzie próbował metodami hybrydowymi przechylić szalę zwycięstwa w trwającej wojnie na swoją korzyść.

FOT. PIAOTR MOŁECZ / EAST NEWS

W takiej sytuacji Polska i kraje bałtyckie najprawdopodobniej znów staną się – jako graniczące z Federacją Rosyjską – celem jakiegoś rodzaju ataku. Można się też spodziewać, że zarówno Rosjanie, jak i Białorusini wyciągnęli wnioski z zeszłorocznych działań i będą się starali zaaranżować rozgrywkę trudniejszą do odparcia przez nasze służby niż ta z minionej jesieni. Działania z roku 2021 miały na celu, bardziej może nawet niż destabilizację polskiej granicy, wzbudzenie antyimigranckich nastrojów wśród Polaków. Liczono, że w chwili inwazji wojsk rosyjskich na Ukrainę wypracowany kapitał niechęci do obcych wywoła falę wrogości w naszym kraju wobec sąsiadów uciekających z obszarów zagrożonych wojną.

KOLEJNA FALA?

Obecnie należy jednak oczekiwać, że to właśnie destabilizacja Polski może stać się głównym celem działania połączonych sił Rosji i Białorusi. Jeśli niszczenie przez armię Putina infrastruktury energetycznej i grzewczej będzie na Ukrainie postępowało w dotychczasowym tempie, to jest możliwe, że czeka nas kolejna fala uchodźców ze Wschodu, którzy będą uciekać nie tyle przed bombardowaniami, ile przed mrozem. Taka dynamika wydarzeń może stanowić znakomity pretekst do działań, które miałyby przeciążyć system bezpieczeństwa polskiego. Jeśli razem ze wzmożonym napływem ludzi z Ukrainy na nasze granice ruszyłaby fala bliskowschodnich imigrantów zgrupowanych w obwodzie kaliningradzkim, a może i na Białorusi, to sytuacja naszego państwa z pewnością zrobiłaby się trudna. Prawdą jest, że naród ukraiński otrząsnął się już z pierwszego szoku, którym było wznowienie wojny, i to na tak szeroką skalę. Szacuje się wobec tego, że zimą do Polski zechce się przedostać mniej ludzi niż w lutym i na wiosnę. Nawet jednak jeśli byłoby to tylko pół miliona uchodźców, to ich pojawienie się oznaczałoby znaczny wysiłek dla Polski.

ROLA KALININGRADU

Jakaś rola w trwającej rozgrywce jest Kaliningradowi bez wątpienia szykowana przez władze w Moskwie, choć jeszcze nie wiadomo, czy i w jaki sposób ten potencjał zostanie wykorzystany. Putin od miesiąca straszy Europę kryzysem migracyjnym. Gdyby do oceny obecnej sytuacji posłużyć się analogią

Ogrodzenie trzeba traktować jako wyraźny znak dla Rosji, że Polska nie zamierza być bierna i będzie przeciwdziałać próbom destabilizacji

do zeszłorocznych wydarzeń, należałoby przyjąć, że polski rząd otrzymał od sojuszników lub pozyskał z własnych źródeł informację o niejawnych rosyjskich działaniach zmierzających do realizacji formułowanych od dawna gróźb. Jednak i same publiczne posunięcia Moskwy mogły skłonić nasze władze do pewnego rodzaju prewencyjnych, czyli – w domyśle – odstrasżających posunięć.

30 października Kreml opublikował szczegóły podjętych wiele tygodni temu decyzji o jednostronnym zniesieniu wiz dla obywateli krajów, które nie są przez Moskwę traktowane jako wrogie. W praktyce dotyczy to szerokiego grona państw, z których obywatele rekrutują się współcześni masowi migranci. Tego rodzaju wydarzenie może oznaczać ni mniej, ni więcej, tylko rozpoczęcie akcji koncentracyjnej dla grup, które potem w charakterze żywych „destabilizatorów” będą kierowane na granicę Polski czy Litwy. Czysto konwencjonalna charakterystyka granicy polsko-rosyjskiej otwiera Moskwie szerokie możliwości hybrydowego oddziaływania. Choć usytuowanie obwodu kaliningradzkiego jest mniej niekorzystne, niż miało to miejsce w przypadku Prus Wschodnich w czasach I i II RP, to wciąż stanowi on enklawę wrogię Polsce oddziaływania.

Ledwie tydzień przed opublikowaniem przez Kreml nowej polityki wizowej lotnisko Kaliningrad-Chrabrowo ogłosiło politykę otwartego nieba, pozwalającą lądować tam samolotom, dla których Chrabrowo nie jest lotniskiem domowym. Oznacza to, że syryjskie czy białoruskie linie lotnicze będą mogły potencjalnie przywozić do obwodu kaliningradzkiego migrantów z dowolnego miejsca świata. W Afryce i na Bliskim Wschodzie ludzie zainteresowanych ryzykowną podróżą do Europy wciąż nie brakuje. Polskie służby doświadczają tego codziennie na granicy z Białorusią, gdzie konflikt wcale się nie zakończył i nieustannie się tli, absorbując zasoby polskiego systemu bezpieczeństwa.

Ustawienie na naszej północnej granicy zbudowanego z drutu żyłkowego ogrodzenia trzeba traktować jako wyraźny znak dla Rosji, że Polska nie zamierza być bierna i od samego początku będzie przeciwdziałać inicjatywom destabilizacji regionu. W obecnej sytuacji nie należy krytykować żadnych działań, które w wojennej psychologii mogą mieć wpływ zniechęcający.

Profesor Maciej Duszczak z Ośrodka Badań nad Migracjami UW wprawdzie uspokajał na początku listopada czytelników portalu Forsal.pl, mówiąc, że Rosjanie już wcześniej podejmowali nieudane próby stworzenia nowego szlaku migracyjnego przez Kaliningrad i że miało to miejsce jeszcze przed zeszłorocznym kryzysem granicznym. Jednak wydaje się, że w obecnej sytuacji politycznej państwo polskie musi działać w sytuacji szczególnej ostrożności. Nie chodzi także o to, by się teraz straszyć migrancą inwazją z obwodu. „Po pierwsze, my będziemy ten wzmożony ruch lotniczy widzieć i odpowiednio się do tego przygotowywać, zabezpieczając własną granicę. Po drugie, jeśli ci migranci nie przekroczą granicy z Polską, to za bardzo nie będzie co z nimi zrobić w niewielkim obwodzie kaliningradzkim, który już jest nastawiony mocno antywojenne. To może wywołać niezadowolenie lokalnych mieszkańców, czego na pewno Putin chce uniknąć” – mówił prof. Maciej Duszczak.

Według relacji osób śledzących na bieżąco fora migranckie zaczęły tam się pojawiać pytania o „drogę przez Kaliningrad”. Jednak na razie albo nie doczekały się odpowiedzi, albo wyrażały one obawę przed przedzieraniem się przez „okręg zmilitaryzowany”. Możliwe zatem, że to sami Rosjanie podbijają temat, chcąc zwrócić uwagę na obwód. Dobrym znakiem w całej sytuacji jest milczenie opozycji, która skompromitowała się w czasie trwania kryzysu na granicy z Białorusią. Wydaje się, że w partiach mniejszości parlamentarnej wyciągnięto elementarne wnioski z tamtej sytuacji. Na placu boju narodowej nieodpowiedzialności została głównie europosłanka, niegdyś działaczka humanitarna, Janina Ochojska, która po ogłoszeniu przez ministra Błaszczaka decyzji w sprawie nowego płotu oskarżyła go o „brak rozumu”. Zapewne można by debatować nad rozumnością szefa MON odnośnie do rozmaitych decyzji, ale z pewnością nie w przypadku tej.

Dlaczego Czesi mają więcej dzieci?



FOT. ANDRZEJ STOK



Łukasz Zboralski

Tak samo jak Polacy Czesi mieli demograficzny kłopot. Jednak dziś są krajem o trzecim najwyższym wskaźniku dzietności w UE. Możemy się od nich czegoś nauczyć

Jedna Polka rodzi dziś wciąż średnio mniej niż 1,5 dziecka i jeśli taki wskaźnik dzietności się u nas utrzyma, to przyszłość będzie czarna. W 2100 r. liczba ludności naszego kraju skurczy się aż o 27 proc. Tymczasem Czesi, jeśli utrzymają swój obecny trend rodzenia dzieci, będą w tym czasie mieli zaledwie o 4 proc. mniej mieszkańców.

Jeszcze w 2004 r. nic nie wskazywało na to, że nasi południowi sąsiedzi wyrwą się z demograficznej katastrofy. Wskaźnik dzietności był tam, tak jak u nas, na poziomie 1,2. Jednak latami rósł bardziej niż polski wskaźnik i w 2014 r. przebił poziom 1,5 – określany jako próg niskiej dzietności. Czesi mają dziś wskaźnik na poziomie 1,71, a my – 1,39. Oczywiście

nasi sąsiedzi nadal nie osiągnęli poziomu gwarantującego zastępowalność pokoleń (2,1), ale radzą sobie jednak dużo lepiej niż my. Jak im to się udało?

Na to pytanie spróbowali odpowiedzieć badacze Instytutu Pokolenia – dr Małgorzata Pawlus i Michał Kot, którzy w październiku opublikowali raport „Czeski sukces demograficzny”.

Dokument ten dość szczegółowo omawia politykę prorodzinną w Czechach na tle działań podejmowanych w Polsce (zaraz do tego wrócimy), ale – co wydaje się niezmiernie istotne – nakreśla też socjologiczne tło. Trudno bowiem spodziewać się zwiększenia dzietności u obywateli, gdy ich spojrzenie na państwo, naród i obowiązki wobec niego będą diametralnie inne. A trudno nie zauważyć, że są inne.

DZIECKO JAKO POWINNOŚĆ

Raport przytacza tu wyniki Światowego Badania Wartości. Wskazują one, że młodzi Polacy dużo częściej uważają pracę za bardzo ważną (52 proc.) niż ich sąsiedzi z południa (35 proc.). Dużo większe zafiksowanie na pracy z pewnością odwieka lub utrudnia decyzję o założeniu rodziny. Jest jednak jeszcze coś, co wpływać na to może zdecydowanie bardziej. Choć młodzi Polacy częściej niż młodzi Czesi uznają w swoim

życiu rodzinę za bardzo ważną (91 proc. do 78 proc.), to jednak młodzi Czesi dwukrotnie częściej niż nasi młodzi rodacy postrzegają posiadanie dzieci w kategorii powinności społecznej (58 proc. do 22 proc.). Czesi uważają zatem dużo częściej, że dziecko jest społecznym obowiązkiem – widocznie rozumieją lepiej, że bez następnych pokoleń społeczeństwo przetrwać nie może.

Czesi mają zatem więcej dzieci niż Polacy, mimo że obyczajowo są dużo bardziej liberalni. Więcej niż w Polsce dzieci rodzi się tam poza związkami małżeńskimi. Przyczyn, co trudno pewnie będzie zrozumieć u nas, gdzie wyznacznikiem „nowoczesnego stylu życia” jest nieodłączny atak na instytucję małżeństwa, Czesi małżeństwa bardzo wciąż szanują jako model społeczny. „Czeski liberalizm bardziej dotyczy poszanowania indywidualnych wyborów, a nie samej akceptacji takich zmian jak niestabilność związków czy wzrost liczby dzieci w rodzinach niepełnych. Wyniki badań wskazują, że rodzina i rodzicielstwo pozostają dla Czechów najwyższą wartością” – piszą autorzy raportu. Ba, Czesi są w sprawach ról społecznych niezwykle wręcz konserwatywni. „Przekonanie, że oboje rodzice powinni w równym stopniu uczestniczyć w opiece nad dziećmi, jest zazwyczaj rozumiane tak, iż każdy z rodzi-

ców troszczy się o dziecko nieco inaczej i wzajemnie się uzupełniają. Matki są głównymi opiekunami i wykonują większość prac domowych, natomiast zasadniczą rolę ojców jest finansowe utrzymanie rodziny” – czytamy w opracowaniu.

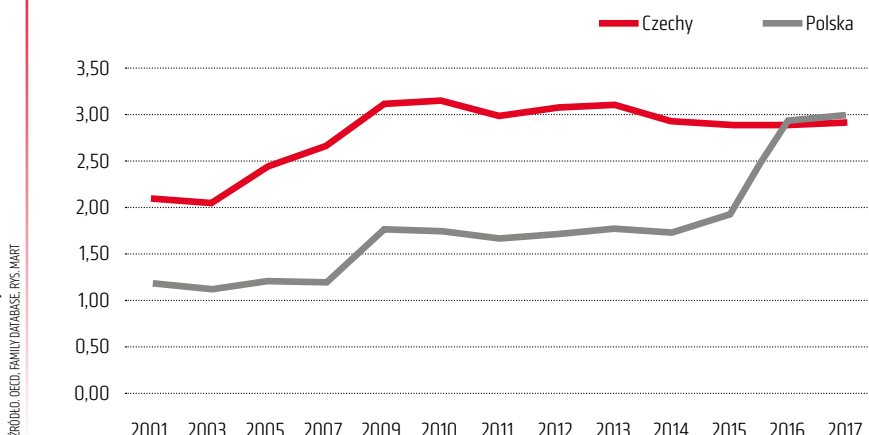
STRUKTURA POMOCY

Na różnice w liczbie narodzin w Polsce i w Czechach zdecydowanie musi wpływać dostępność miejsc do zamieszkania. Krótko mówiąc: dużo częściej niż Czesi młodzi Polacy nie mają po prostu gdzie założyć rodziny. Uwagę zwraca odsetek osób mieszkających w przeludnionych mieszkaniach (za takie uznaje się w tym współczynniku np. jeden pokój na całe gospodarstwo domowe, jeden pokój na dwie dorosłe osoby, jeden pokój dla dwójki dzieci).

„Współczynnik przeludnienia mieszkań w Czechach wynosi 15,2 proc. (przy średniej UE 17,5 proc.), przy czym największe przeludnienie dotyczy dużych miast i jest to prawie 20 proc., w mniejszych miastach jest to niecałe 17 proc., a na obszarach wiejskich 10 proc. W odniesieniu do współczynnika przeludnienia mieszkań Polska ma jeden z najgorszych wyników wśród państw UE, tj. 36,9 proc. (wyższy współczynnik był w Bułgarii – 39,5 proc., na Łotwie – 42,5 proc. oraz w Rumunii – 45 proc.), a odsetek przeludnionych mieszkań jest równie wysoki na obszarach wiejskich, co w dużych miastach (odpowiednio 38 proc. i 37,4 proc.)” – czytamy w raporcie.

Jak na dłoni widać tu, że wcale nie był od parady program PiS z 2016 r. nazwany „Mieszkanie Plus”, który miał zasypać dziurę w potrzebach mieszkaniowych Polaków, oferując im mieszkania z niskimi czynszami z możliwością późniejszego wykupu. Państwo miało wspierać takie budownictwo, mówiono nawet o drewnianych konstrukcjach, na które surowiec przeznaczałyby Lasy Państwowe. Ostatecznie – jak wskazała kontrola NIK, której wyniki podano w marcu tego roku – ten rządowy program to totalne fiasko. Z rządowych deklaracji o oddaniu 100 tys. mieszkań do końca 2019 r. nie zostało nic – oddano nieco ponad 15 tys. lokali (a 20,5 tys. znajdowało się w budowie). NIK jasno wskazała, że działania kolejnych ministrów nic w tej sytuacji nie zmieniały. Tymczasem to właśnie ten program powinien być większym oczkiem w głowie Zjednoczonej Prawicy niż spektakularny przekop Mierzei Wiślanej czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego. Pytanie tylko, czy

Wydatki publiczne na świadczenia rodzinne ogółem w Czechach i Polsce, w % PKB, 2001–2017



premier Mateusz Morawiecki ma jeszcze zacięcie, by zmusić swoich ministrów do prawdziwych działań w tej sprawie?

Z kolei inny program rządowy – „500+” – na tle czechskich rozwiązań wydaje się, mimo krytyki w Polsce, jedną z lepszych i udanych zmian. Bowiem dopiero to wsparcie w 2016 r. pozwoliło dorównać czechom wydatkom na rodziny (według danych OECD polskie wydatki rodzinne osiągnęły poziom 2,99 PKB i jest to poziom nawet minimalnie wyższy niż w Czechach – 2,92 PKB). Czesi w takim wsparciu wyprzedzili nas o kilkanaście lat, więc na efekty trzeba będzie jeszcze długo poczekać.

Zauważyć trzeba przy tym, że nie tylko sama wysokość państwowego wsparcia dla rodzin ma znaczenie, lecz także jego struktura. W Polsce jest to dość prosty model wypłacania 500 zł na konto rodziców za każde dziecko do 18. roku życia. W Czechach jest to bardziej złożony system, który największe wsparcie kieruje do rodziców dziecka w okresie do trzeciego roku życia – to 24,3 proc. średniego wynagrodzenia brutto, podczas gdy w Polsce – 11 proc.

Czeski system podatkowy mocniej wspiera rodziny z dziećmi przez system ulg. Są one większe i inaczej rozłożone. Podczas gdy w Polsce ulga podatkowa na pierwsze i drugie dziecko wynosi po 1112 zł, w Czechach ulga na pierwsze dziecko to 2,9 tys. zł, a na drugie – 4,3 tys. zł! Na trzecie i czwarte dziecko w Polsce ulgi są coraz większe – 2 tys. zł i 2,7 tys. zł, w Czechach obie wynoszą 5,3 tys. zł. I już tu widać, że polski system ulg podatkowych na dzieci jest raczej programem socjalnych osłon, a nie rozwojowym, wspierającym ludzi aktywnych zawodowo.

Koncentrowanie się na dzieciach do trzeciego roku życia osiągnięto w Czechach dzięki zasiłkowi rodzicielskiemu. Są do niego uprawnieni także ci rodzice, którzy wrócili na rynek pracy, nie musi on pokrywać się z czasem trwania urlopu rodzicielskiego. Można zasiłek łączyć z pracą na część etatu czy studiami, gdy zapewnia się dziecku opiekę – i może to być opieka instytucjonalna, czyli np. żłobek czy przedszkole (bez utraty zasiłku dziecko może miesięcznie przebywać w takich miejscach do 92 godzin). Miesięczna wysokość świadczenia wyznaczana jest na podstawie dotychczasowych dochodów (w przeliczeniu na złote od 10 do 9215) i rodzic sam wybiera, jak rozłożyć wypłaty – od sześciu miesięcy do czterech lat. Gdy rodzi się kolejne dziecko, a nie został jeszcze wykorzystany zasiłek na poprzednie, rodzinie wypłaca się całość zaległości, a dalej dostaje już zasiłek na nowe dziecko. To z pewnością jest system, w którego kierunku powinny zmierzać ewentualne reformy polskiego programu „500+”.

I na koniec jeszcze ciekawa uwaga o przedszkolach i żłobkach, których dostępność jest w Polsce przedstawiana jako niezbędny warunek do zwiększania dzietności. Otóż Czesi preferują rodzinną opiekę nad małymi dziećmi. 56 proc. małych dzieci pozostaje pod wyłączną opieką rodziców, a 30 proc. korzysta z innych form opieki nieformalnej – świadczonej przez dziadków czy innych krewnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pełen raport „Czeski sukces demograficzny” dostępny jest na stronie Instytutpokolonia.pl.

Prosto w koszmar



Acóż to za skarby, jaka gorączka złota mogła wybuchnąć, skoro akcja filmu rozgrywa się w Donbasie? Jedno ze znaczeń tytułu filmu „Klondike” staje się jasne dopiero do kilkudziesięciu minutach, gdy widzimy plądrowane szczątki samolotu Boeing 777 malezyjskich linii lotniczych o numerze lotu MH17. Zestrzelony przez tzw. separatystów samolot spada nieopodal domu bohaterów filmu. Wśród rozerwanych ciał walają się plecaki, torebki, otwarte walizki – istna kopalnia dóbr, które można sobie przywłaszczyć. I nic w tym dziwnego – przynajmniej w tym kręgu kulturowym, przypomnijmy sobie głęboki nihilizm „ruskiego miru” świetnie uchwyciony przez Petera Pomerantseva w książce „Jądro dziwności. Nowa Rosja”; przypomnijmy sobie, jak w tajemniczy sposób po smoleńskiej tragedii „przypadkowi znalazcy” pró-



Piotr Gociek

Film „Klondike” Maryny Er Gorbach to tegoroczny ukraiński kandydat do Oscara. Nie wiem, czy dostanie nominację, wiem, że zasługuje na uważne obejrzenie

bowali używać kart kredytowych ofiar; przypomnijmy sobie wreszcie zapał, z jakim żołdacy Putina wywozili z Ukrainy wszystko, co wpadło im w ręce: komputery, pralki, telewizory, dywany, garnki, nawet psie budy.

FAŁSZYWY MIT

Jest jednak i drugie, dużo głębsze znaczenie tytułu „Klondike”. Aby je zrozumieć, trzeba się cofnąć w przeszłość, do czasów, gdy Donbas był sowiecką ziemią obiecaną.

Doskonale ten fenomen ukazany był w filmie dokumentalnym „Kakofonia Donbasu” (2018) Igora Minajewa. Pokazywał go w Polsce Program 1 TVP. Minajew przypominał o szczególnej roli, którą w mitologii Sowietów odgrywały Donbas i jego kopalnie oraz huty. To było miejsce, w którym – przynajmniej wedle kronik i filmów propagandowych – lepsze jutro nadeszło już dziś. Robotniczy raj na ziemi. To tu herosi pracy na przodku po szychcie jadalni z porcelanowej zastawy i pili z kryształ-



Kadr z filmu „Klondike”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wych kielichów, na odpoczynek udawali się do wielkich, przestronnych, jasnych mieszkań, przy których lokale wierchuszki partyjnej były norami. W czasie wolnym oddawali się pływaniu i gimnastyce oraz słuchali opery i orkiestr symfonicznych. To w Donbasie zrodziła się legenda Stachanowa, górnika dołowego kopalni Centralna-Irmino w Kadijewce. Ten socjalistyczny nadczłowiek był symbolem tego, co w cudownej krainie Donbasu/lepszej przyszłości wydarzyć się może: fetowano go jako bohatera, który podczas jednej zmiany sam wydobył 102 tony węgla, wykonując tym samym 1475 proc. normy.

Wszystko to było fałszem – cuda Donbasu, dzieło Stachanowa, ale mit istniał przez dekady i rozpałał wyobraźnię mieszkańców nie tylko Związku Sowieckiego. Aż to właśnie w Donbasie rozpoczęły się strajki, które przyczyniły się do rozpadu ZSRS i rozpoczęły długi

proces wybijania się Ukrainy na niepodległość. Proces, który z woli Moskwy dziś zamienił się w wojnę na pełną skalę.

Jak wyglądało życie codzienne na terenach zagarniętych przez Rosję (w przebraniu „separatystów”) po roku 2014, pokazał Siergiej Łoźnica w genialnym filmie „Donbas” (2018). Jego fabularna inscenizacja oparta była na filmkach wrzucanych do Internetu przez mieszkańców samozwańczych tzw. republik ludowych, było to niesamowicie zmyślenie prawdziwe, fikcja o smaku wstrząsającego dokumentu. Ale, co ważniejsze, Łoźnica dotknął też sedna operacji zaboru Donbasu poprzez wielkie kłamstwo. I tym samym dotknął też istoty systemu sowieckiego oraz rosyjskiego.

W filmie Maryny Er Gorbach przenosimy się do Donbasu z lipca 2014 r., zatem do chwili, kiedy cicha inwazja dopiero się rozwijała. Chwilę zmiany obserwujemy z perspektywy bardzo intymnej. Oto zagubione w pofałdowanym stepie gospodarstwo, zwykły dom, a w nim zwykła rodzina. Irka i Tolik spodziewają się dziecka, kobieta jest w zaawansowanej ciąży. Jechać do szpitala, nie jechać... Wypadałoby jechać, ale każdego dnia trzeba ten plan przełożyć na jutro, bo każdego dnia auto potrzebne jest znajomemu Tolika. Cóż to za znajomy? Po co mu samochód? Co właściwie się dzieje? Odkrywamy powoli: znajomy munduru nie nosi, ale wozi takie w bagażniku. Później nie tylko mundury, lecz także broń. Znajomych ma dziwnych, uzbrojonych, wreszcie pojawia się słowo „separatyści”. Trudno odkryć, kto swój, kto obcy, wszyscy po prostu są miejscowi, ale to nie znaczy, że emocji brak. W chwili, gdy na scenę wkracza brat Irki, pojawiają się też oskarżenia, że pozostając na własnej ziemi, małżeństwo zdradza Ukrainę. Ale gdzie jest Ukraina? Tu czy tam, daleko? Jaka to zdrada, gdy chcesz po prostu, by twoje dziecko urodziło się w twoim domu, gdy chcesz samemu zebrać plony i na nowo postawić potrzebą ścianę?

LOGIKA KOSZMARU

W tle dzieje się wielka historia. W szerokich ujęciach, gdzieś na drugim i trzecim planie, daleko za plecami dyskutujących bohaterów pojawiają się wojskowe ciężarówki, cysterny z paliwem, ktoś transportuje

pociski, polem idą patrole. Momentami opowieść od surowego realizmu przechodzi w surrealistyczny trans, dotyczy to nocnych scen w okolicach wraku zestrzelonego boeinga, ale nie tylko. Wszyscy jesteśmy we wnętrzu koszmaru, tylko bohaterowie sobie tego jeszcze nie uświadomili, całkiem oczywistą i częstą reakcją na koszmar jest przecież wyparcie, tłumaczenie sobie, że pewne rzeczy się dzieją, bo tak po prostu czasem bywa. Koszmar zamienia się w topiel, która wciągnie po kolei wszystkich. Taką jest wspólna logika koszmaru, wojny i zaniechania: kto oddać musiał trochę, prędzej czy później oddać będzie musiał wszystko.

Film „Klondike” nagrodzono na tegorocznym festiwalu w Sundance (najlepsza reżyseria w kategorii World Cinema Dramatic Competition), był też pokazywany na festiwalu filmowym w Berlinie (drugie miejsce w kategorii Panorama Audience Award). Jest również ukraińskim kandydatem do Oscara. Czy zostanie nominowany? Przypuszczam, że wątpię. Z jednej strony dotyczy kwestii palącej, kwestii aktualnej, przecież także media amerykańskie pełne są doniesień z wojny, którą Rosja wydała Ukrainie. Z drugiej – wydaje mi się, że opowiedziana półtonami, niedopowiedzianymi historia może okazać się dla zachodniego widza za mało czytelna. Widzowie w Polsce, na Litwie, na Ukrainie chwycą wszystko w lot, Amerykanom brak kluczy do zrozumienia tragedii naszej części Europy. Przekonałem się o tym swego czasu, czytając amerykańskie recenzje „Donbasu” i „Łagodnej” Siergieja Łoźnicy. Nawet wytrawni krytycy pokazywali w nich, że rzadko kiedy cokolwiek rozumieją.

Polscy widzowie oglądać się na amerykańskie opinie i nagrody nie muszą, „Klondike” gości właśnie na ekranach naszych kin. Dla zrozumienia wojny, dla zrozumienia fenomenu Donbasu, odkrycia, w którym miejscu jest dziś kino ukraińskie, jest to seans niezbędny. Podobnie jak dla zrozumienia ukraińskiej traumy wojennej bezcenny jest dokumentalny „Syndrom Hamleta” Elwiry Niewiery i Piotra Rosołowskiego. Ten film także jest wyświetlany na polskich ekranach. Nie będą to łatwe seanse. Ale filmów tych przegapić nie można. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★

**REŻ. MARYNA
ER GORBACH
„KLONDIKE”
UKRAINA/TURCJA
2022**

wyst. Oksana
Czerkaszyna,
Siergiej Szadrij, Oleg
Szczerbina

Wokanda poety



Tomasz Zbigniew Zapert

Jan Brzechwa, klasyk literatury dziecięcej, w rubryce „zawód” wpisywał „adwokat”

Pod rodzimym nazwiskiem Lesman ukończył fakultet prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Łączył jurystyczną profesję z temperamentem artysty. Ksywką Szer-Szeń firmował teksty pisane dla najpopularniejszych przybytków podkaszanej muzy II Rzeczypospolitej. Pseudonim Brzechwa – oznaczający opierzoną część strzały – zawdzięczał krewniakowi (notariuszowi po fachu) Bolesławowi Leśmianowi, który nie chciał, aby przybył mu konkurent poetycki o niemal identycznym nazwisku.

Adwokat Lesman ściśle współpracował ze Związkiem Artystów i Kompozytorów Scenicznych. Był bowiem jednym z najwybitniejszych w Polsce ekspertów od prawa autorskiego, wydatnie przyczyniając się do kształtowania wiedzy i świadomości o uprawnieniach ludzi pióra.

Jako prawnik dał się po raz pierwszy poznać w szeroko relacjonowanej przez media sprawie dotyczącej prawa do spuścizny twórczej po Cyprianie Kamile Norwidzie. Nader pieczołowicie zajmował się nią przez dekady Zenon Przesmycki „Miriam”. Wytoczył mu jednak proces profesor polonistyki ze Lwowa Tadeusz Pini, kierownik spółki edytorskiej Parnas Polski, redaktor dzieł Norwida w serii „Biblioteka Poetów Polskich”. Lesman reprezentował w sądzie Przesmyckiego, który proces wygrał.

„W przemówieniu adwokata Jana Lesmana znać było nie tylko doskonałego znawcę ustaw o prawie autorskim, ale i człowieka, który umiał o Norwidzie i darzyć czcią »Miriamą«. Bo wobec dziwnie okrutnej napaści na »tragicznego starca« trzeba było – i obrońca uczynił to przejmująco – skończyć z tą złośliwą legendą, którą gnębili niecierpliwi i trochę bezduszni ludzie wytrwałego pracow-

nika” – relacjonował sprawozdawca sądowy Leon Okręt.

W pamięci „poety w todze” najbardziej utkwiła jednak inna sprawa. Członek ZAiKS, tekściarz i poeta (potem kronikarz warszawskiego getta) Władysław Szlengel złożył dyrekcji Polskiego Radia – za pośrednictwem zatrudnionego w tej instytucji Henryka Bielickiego – maszynopis swej sztuki zatytułowanej „Ludzie na dnie”. Rada Programowa zatwierdziła słuchowisko do wykonania i 7 marca 1936 r. zostało ono nadane przez rozgłośnię warszawską w ramach cyklicznej audycji „Wesoła Syrena”. Tyle że pod zmienionym tytułem: „Trzy mile od brzegu”, a jako autor widniał nie Szlengel, lecz ktoś zamaskowany pseudonimem Henbiel – jak się miało okazać, Henryk Bielicki!

Pokrzywdzony autor, działając za pośrednictwem adwokata Lesmana, oskarżył Bielickiego o przywłaszczenie autorstwa i domagał się ukarania plagiatu. Podczas rozprawy na jaw wyszły rozmaite machinacje oskarżonego, które miały mu ułatwić ukrycie przestępstwa. W dniu premiery czynił przeróżne zabiegi, ażeby właściwy twórca nie miał możliwości słuchania radia.

W tym celu zaprosił go do siebie na wieczór. Szlengel był jednak podziębiony i nie zamierzał opuszczać swego mieszkania przy ulicy Walewów. Bielicki odwiedził go zatem i podczas wizyty uszkodził radioodbiornik marki Philips (sic!). Jednakowoż aparat został naprędce naprawiony, akurat w chwili, gdy trwała emisja wiadomego słuchowiska, toteż Szlengel ze zdumieniem wysłuchał swego tekstu sygnowanego przez kogoś innego.

„Niewątpliwie pod wpływem dowcipnej, sugestywnej i przenikliwej oracji adwokata Lesmana sąd skazał Bielickiego na trzy miesiące aresztu, akcentując wysokie napięcie złej woli w jego podstępnych zabiegach” – relacjonował Stefan Wiechecki.

SĄCZENIE BOLSZEWICKIEGO JADU

Ale przed obliczem Temidy służył też Lesman złej sprawie. Na przykład gdy występował w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego – wydawcy czasopi-

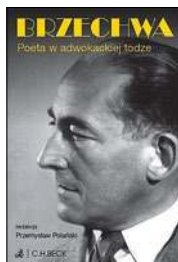
sma dla młodzieży „Płomyk” – w procesie wytoczonym redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

Na okładce periodyku ZNP z marca roku 1936 widniało zdjęcie uśmiechniętych nastolatków podpisane: „Dziewczęta sowieckie”. Wewnątrz zamieszczono list pioniera sowieckiego do skauta brytyjskiego uzasadniający tysiące ofiar industrializacji w ZSRS oraz łamigłówkę, w której należało odgadnąć personalia „sławnego komunisty, zmarłego wodza rewolucji rosyjskiej”.

Za ten egzemplarz gazety odpowiadała Wanda Wasilewska, pracownik Wydziału Wydawnictw ZNP, związana wtedy z lewą flanką Polskiej Partii Socjalistycznej. Przyzwoliła na druk artykułów o propagandowym teatrze dla dzieci, ujarzmianiu przyrody planem pięcioletnim, wrogach komunizmu, osiągnięciach kolektywizacji... Oraz publikację patriotycznego wiersza Artura Opmmana, z którego amputowano akapit mówiący o katorżnikach czerpiących nadzieję z Biblii! Dwa lata później nawiązywał do tego w przemówieniu sejmowym premier Felicjan Sławoj-Składkowski: „Jakieś brudne, bezczelne ręce opuszczają tę strofkę, wyrzucają ją tendencyjnie, żeby dziecku polskiemu nie dać o tej wierze przeczytać...”

Bez wątpienia znalazły się w owym numerze „Płomyka” treści kreujące pozytywny wizerunek ZSRS. Dowodem choćby poniższy passus: „Czemżeż jest pojedynczy człowiek, czym jest nawet setka, nawet tysiąc ludzi. Człowiek ginie, dzieło jego pracy pozostaje. Gdyby nie gigantyczny wysiłek mózgu naszych inżynierów i miłośni naszych robotników, gdyby nie tysiące poległych przy pracy, to czyż mielibyśmy taki Magnitogorsk, taki Dnieprostroj albo Kanał Bałtycko-Białomorski”.

Gdy pismo ostro skrytykowano na łamach najpoczytniejszego dziennika II RP w artykule pt. „Szaleństwo czy zbrodnia?”, wydawcy „Płomyka” wytoczyli „IKC” proces. Nie była to przemysłowa decyzja, gdyż przewod sądowy w całej rozciągłości potwierdził słuszność krytyki: „Niewątpliwie wszystko, co dotyczy ZSRR w nr. 25 »Płomyka« przedstawione jest w niezmiernie korzystnym świetle [...]”.



RED.
PRZEMYSŁAW
POLAŃSKI
„BRZECHWA.
POETA
W ADWOKACKIEJ
TODZE”
C.H. BECK 2022

O tym, że obraz taki nie jest zgodny z rzeczywistością, nie trzeba mówić tym, którzy w przeciwieństwie do dzieci V i VII oddziałów Szkoły Powszechnej mogą choćby z codziennej prasy i innych źródeł czerpać wiadomości”.

Jeszcze dosadniej wypowiedział się Sąd Apelacyjny: „Podejście do dzieci z takimi artykułami i fotografiami, jakie zamieszczono są w N. 25 »Płomyka«, jest sączeniem jadu bolszewickiego, zatrutowaniem dusz dziecięcych, a więc jest zbrodnią z punktu widzenia polskiej racji stanu”.

W rozmowie z partyjnymi historykami przeprowadzonej już w PRL. Wasilewska de facto potwierdzała stawiane wówczas zarzuty: „»IKC« miał stuprocentową rację [...], bo to była bezczelna sowiecka propaganda [...]. Dziwiło mnie tylko, że oni nas wszystkich do paki nie zabrali”.

IMPERIALISTYCZNY SPISEK

Lesman uczestniczył również w precedensowym procesie dotyczącym praw autorskich w kinematografii. W czerwcu 1931 r. Sąd Najwyższy wydał wyrok, w któ-

rym stwierdził, że „autor muzyki, zezwalając na nagranie swojego utworu w filmie dźwiękowym, ma prawo osobno pobrać honorarium za samo nagranie, a osobno za wyświetlanie filmu oraz uzależnić wysokość honorarium od rozmiarów rozpowszechniania jego utworów”. Publikacja relacji z procesu, także w prasie zagranicznej, sprawiła, że zyskał miano specjalisty prawa autorskiego. Zaoferowano

mu posadę korespondenta włoskich i francuskich tytułów prawniczych, wybrano go także do Międzynarodowej Komisji Prawa Autorskiego.

W Polsce Ludowej ograniczył działalność prawną, co zapewne wiązało się z lawinowo rosnącą pozycją na rynku literackim. Stał się najpoczytniejszym autorem dziecięcym, choć nierzadko musiał użerać się o ideologiczny wydzźwięk swych niektórych sformułowań.

„Redaktorka zażądała, by w wierszu »Tańcowała igła z nitką« dodał postać krawcowej. Przecież igła z nitką nie mogą same uszyć fartucha, nawet tańcząc, potrzebny jest człowiek. Jego nieobecność to wyraz

braku szacunku dla ludzkiej pracy. »Kaczka Dziwaczka« nie może zmienić się w zającą, w dodatku całego w buraczkach. I po upieczeniu w brytfance trafić na półmiskę, bo to sadyzm. Dziecko przywiązuje się do bohaterów bajek, a tu miałoby jednego z nich zjeść. Brzechwa powinien też zmienić morał bajki pt. »Żuk«, bo że biedronka nie chce wyjść za mąż za żuka (»Stąd nauka jest dla żuka, żuk na żonę żuka szuka«), to przypomina rasizm. A już puenta bajki »Śledź« (»Ach! Bo w życiu to najgorsze, kiedy śledź się wdaje z dorszem«) jest absolutnie niedopuszczalna. Zniechęca dzieci do internacjonalizmu i bratania narodów, a więc zakrawa na imperialistyczny spisek”. Między innymi tymi słowami postępową krytykę oceniała w socrealizmie twórczość Brzechwy. Na personalny atak – w podobnym stylu – Leona Pasternaka odpowiedział fraszką:

*Nareszcie uczyniłeś coś dla swojej sławy.
Napisałeś wiersz o mnie! To temat ciekawy.
Szukaj dobrych tematów, ja to samo robię.
Na tej, właśnie zasadzie, nie piszę o Tobie.*

Urażony ciętą repliką Pasternak na drogę sądową jednak przeciw Brzechwie nie wystąpił. Przez pewien czas przestał mu się jedynie kłaniać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NAJNOWSZA
KSIĄŻKA
BP. ATHANASIOUSA
SCHNEIDERA!



OCALMY TO, CO ŚWIĘTE!

Jeśli uda się nam zaczerpnąć choćby odrobinę wiary i miłości, z jakich zrodziła się ta książka, zrozumiemy, dlaczego przywrócenie centralnej pozycji Boga w liturgii jest konieczne.

kard. Robert Sarah

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratyski!
Zamów książkę na esprit.com.pl lub pod numerem telefonu 12 267 05 69.
Darmowa dostawa od 149 zł.

49,90
29,90

odbierz dodatkowy rabat*
na hasło: DR2 **-5%**

*promocja ważna do 15 grudnia 2022 roku



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Nabrani



★★★★★
**REŻ. EDWARD
 BERGER**
**„NA ZACHODZIE
 BEZ ZMIAN”
 („IM WESTEN
 NICHTS NEUES”)**
NIEMCY 2022

wyst. Felix
 Kammerer, Albrecht
 Schuch, Daniel Brühl

Zostaliśmy nabrani – w trzeciej (po latach 1930 i 1979) ekranizacji głośnej powieści Remarque’a niewiele zostało z przesłania oryginału. Dla pisarza najważniejsze było ukazanie traumy młodych ludzi kompletnie nieprzygotowanych do wojennych doświadczeń, a ironiczny tytuł („Im Westen nichts Neues”) podkreślać miał całkowitą pogardę dla ich życia: w dniu śmierci głównego bohatera nic się nie zmienia na froncie. Bo czymże jest jednostka w obliczu wojennej arytmetyki obracającej milionami istnień? Niestęchanie istotne w powieści były sceny podczas krótkiego powrotu Paula Bäumera do domu. Ściana niezrozumienia, kompletne wyobcowanie, niemożność

podzielenia się doświadczeniem tragedii, której nie wyrażą słowa. No i ta paralela: Paul cywil traci matkę, tak jak Paul żołnierz traci matkę ojczyznę w chwili, gdy ta okazuje się wyrodną macochą.

Niemiecka superprodukcja Edwarda Bergera wszystkie te tropy porzuca. Pozostaje opowieść o tym, że wojna jest zła; że dobrych niewinnych Niemców prześladowali okrutni francuscy chłopcy (a nawet jedno francuskie dziecko), że generałowie byli szaleni w swych rojeniach o wielkości (to akurat prawda). Aby rzecz była bardziej dramatyczna – tak jakby groza nieuchronnej śmierci wystarczająco dramatyczna nie była – dodano wątek negocjacji pokojowych ze sztucznym napięciem: uda się czy nie, zakończą



wojnę czy nie, bohaterowie ocaleją czy nie. Oto ekranizacja godna epoki, w której nikt nie czyta. W czasach, gdy znajomość powieści Remarque’a była wśród ludzi wykształconych rzeczą oczywistą, taka próba jej „ubogacenia” wywołałaby parsknięcie lub wzruszenie ramion. W inscenizacji film Bergera ociera się o wybitność, jako ekranizacja jest chybiony, jako wehikuł nowego przesłania na nowe czasy – podejrzanie mętny.

Szkoda, bo choćby pierwsze sceny są kawałkiem wstrząsającego wielkiego kina: recykling mundurów ściągniętych z zabitych niemieckich żołnierzy. Pranie, suszenie, prasowanie, cerowanie i hop, można w mundur włożyć kolejny kawałek mięsa armatniego. Żadna z późniejszych scen (a wiele tu rozbudowanej batalistyki) już mocniej nie wstrząsa. Pomyślcie: tak właśnie przez maszynkę do mięsa przepuszczają swoje zmobilizowane rezerwy Rosjanie w Donbasie. Tyle że Niemcy robili to porządnie. ©©



NOWE SERIALE: „REBOOT”

Streamingowy gigant podejmuje decyzję o wskrzeszeniu popularnego sitcomu sprzed lat. Starsza o dwie dekady obsada spotyka się na planie, stare niesnaski wybuchają z nową siłą. Wszystkim kierować próbuje mało doświadczona showrunnerka ze świata kina niezależnego, a swoje pięć groszy wtrąca autor oryginalnego

serialu, który wciąż ma do niego prawa. Udana satyra na świat show-biznesu w niezłej obsadzie: Keegan-Michael Key, Judy Greer czy Paul Reiser (niegdyś gwiazda sitcomu „Mad About You”). ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Reboot”, USA 2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

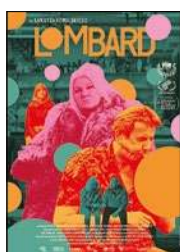
- sezon 2 „Koko czasu” („The Wheel of Time”), USA 2022
- reż. Lasse Hallström „Hilma”, Szwecja 2022
- sezon 4 „Selena + szefowie kuchni” („Selena + Chef”), USA 2022
- sezon 1 „Blockbuster”, USA 2022

Samo życie

KINO

Od premiery „Arizony” (czyli od ćwierćwiecza) żaden dokument nie wywołał takiego poruszenia jak „Lombard”. Z tym że sukces filmu Ewy Borzęckiej był dwuznaczny. Wiele oglądało go dla beki, a w upadku popeeerskiej wioski zbyt często widziano signum temporis tudzież jedną z przyczyn powrotu do władzy towarzyszy z PZPR i ZSL. W tym przypadku polityczne drugie dno nie istnieje, a Łukaszowi Kowalskiemu trudno zarzucić, że kpi sobie z cudzej biedy. Właściciele komisów powinni go ożłocić za ocieplenie wizerunku branży, kojarzonej bardziej z wampiryzmem niż filantropią. Tytułowy przybytek znajduje się w najbardziej zdeklasowanej dzielnicy Bytomia, w kręgach ludzi

sukcesu nazywanego „polskim Detroit”. Przychodzą tu mieszkańcy familoków, gdy do wypłaty zasiłku zostały trzy dni i muszą coś sprzedać, np. zepsutą kosiarkę lub zęb mamuta. Kupujących jest mniej i pan Wiesław, niezmordowany w obmyśleniu kolejnych akcji promocyjnych i ulepszeń, balansuje na krawędzi bankructwa. Pani Jola w szalowym futrze z lisów tylko wydaje się kłótniwa.



★★★★★
REŻ. ŁUKASZ KOWALSKI
„LOMBARD”
POLSKA 2022

W rzeczywistości ma gołębie serce. Na ulicy Wytrwałych nikomu nie odmówi się wsparcia, każdy zostanie wysłuchany i poczęstowany papierosem. Humanistów „Lombard” wzruszy, fani thrillerów docenią występ fachowca od uszczelniania. Ślask wciąż uwodzi. ©©

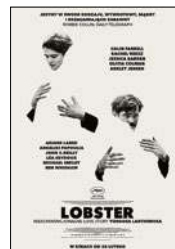
Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZEZWIERZĘCENIE

HBO max



★★★★★
REŻ. YORGOS LANTHIMOS
„LOBSTER”
WIELKA BRYTANIA/GRECJA 2015

wyst. Colin Farrell, Rachel Weisz, Lea Seydoux

Nie wszystkie filmy o miłości są romantycznymi komediami. „Lobster” to np. oldskulowa groteska. Dość irytująca, gdyż Yorgos Lanthimos wcale nie opowiada o świecie równoległym, lecz o tym, w którym żyjemy. Uzależnionym od banału, celebry i hipokryzji, nietolerującym pechowców i przegrywów. Zawiodłeś jako małżonek?

Zostaniesz skuty i zakwaterowany w ośrodku dla singli. Jeśli w 45 dni nie znajdziesz partnera, to zamienią cię w zwierzę (jak to w demokracji, gatunek wybiera się samemu). Czas szybko płynie, więc bohater, będący uosobieniem przeciętniactwa, próbuje poderwać zimnokrwistą socjopatkę. Z tą chwilą fabuła nabiera rozpędu, jednak na ekranie do końca nie pojawi się postać, którą dałoby się polubić lub choćby tylko zrozumieć. O tym, że z uczuciami lepiej nie igrać, wiadomo co najmniej od czasów Alfreda de Musseta. Igranie z cierpliwością widzów to rozrywka znacznie bezpieczniejsza. ©©

DWUNASTY TYDZIEŃ

KINO



★★★★★
REŻ. AUDREY DIWAN
„ZDARZYŁO SIĘ”
(„L'ÉVÈNEMENT”)
FRANCJA 2021

wyst. Anamaria Vartolomei, Sandrine Bonnaire, Kacey Mottet Klein

Długowieczność popłaca. Miesiąc temu Annie Ernaux została noblistką, rok wcześniej ekranizacja jej powieści (wydanej 22 lata temu) wygrała festiwal w Wenecji. Feministki się cieszą, irańscy ajatollahowie są zaniepokojeni, w Izraelu żałoba, w serca buntowników w żółtych kamizelkach wstąpiła nowa nadzieja. Na polityce się nie znam, z literaturą polecaną przez Akademię Szwedzką obcuje rzadko, ale film obejrzałem i współczuję bohaterce. Zamiast pić colę, żuć gumę, tańczyć i dyskutować o różnicach między Sartre'em i Camusem, Anne boryka się z „chorobą, która atakuje kobiety i zamienia je w kury domowe”. Vartolomei jako zdesperowana studentka A.D. 1963 jest bardzo wiarygodna, lecz radykalny naturalizm sztuce nie służy. Nawet żarliwi obrońcy prawa do aborcji mogą mieć problem z przebrnięciem przez kulminacyjne momenty fabuły. Madame Diwan pracuje teraz nad nową wersją „Emmanuelle”. Będzie ostro? ©©

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „WWII REBUILDER”

Gdy opadł kurz wznoszony przez gąsienice czołgów i wybuchające bomby, wzniósł się kurz odbudowy powstających z gruzów miast. W ten moment historii, tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, przenosi nas „WWII Rebuilder” studia Madnetic Games. Jest to pierwsza gra wrocławskiego

developera mająca pełną premierę – i jest to debiut ciekawy. Zadaniem gracza jest odbudowa różnych obiektów w zrujnowanych miastach. Zbieramy więc materiały (często rozbierając na części pewne elementy otoczenia) i naprawiamy zniszczenia. Młotkiem, ręką, łopatą, ciężkim sprzętem...



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Demo na Steam wystarcza, by podjąć decyzję, czy warto sięgać po pełną wersję, gdy wyjdzie z fazy wczesnego dostępu. ©© Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Symulator
• **Platforma:** PC
• **Producent, dystrybutor:** Madnetic Games, PlayWay S.A.



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

A na czas wojny

Przeczytaj dzisiaj, a unikniesz problemów jutro – tak zachęca do przeczytania swojego wyjątkowego poradnika Jacek Pałkiewicz, podróżnik i reporter, twórca europejskiego survivalu, który „Wojnę u progu” firmuje wraz z innym specjalistą od szkół przetrwania i psychologii działań w sytuacjach krytycznych, Krzysztofem Petkiem.

Powód napisania poradnika przetrwania jest oczywisty. Wojna toczy się za naszą wschodnią granicą i jesteśmy w nią wciągnięci. A co się stanie, gdy bomby zaczną wybuchać tuż koło nas, a nieprzyjaciel zaatakuje nasz dom, nasze miasta i wsie? Naturalnie, zaskoczenie w takich wypadkach jest nie do uniknięcia, ale możemy je zminimalizować, zwiększając tym samym nasze szanse na przetrwanie właśnie. I nie przesadzajmy z wiarą w znaczenie traktatów, sojuszy, w to, że nasz najlepszy ze światów zawsze będzie bezpieczny, wygodny, dostatni. Barack Obama mógł wprowadzić nie tak znów dawno snuć podobne kocopoły. Ale kto o zdrowych zmysłach jeszcze o tym pamięta?

Ukraińcy też nie myśleli, że wojska Putina zaatakują ich kraj, że rosyjscy agresorzy będą zabijając, gwałcić, rabować. Tu nie chodzi zresztą tylko o to, co się dzieje dzisiaj, i o Rosjan; jakby ktoś miał krótką pamięć, to Jacek Pałkiewicz przypomina o mieszkańcach Belgradu, którzy w 1999 r. mocno się zdziwili, gdy na ich głowy spadły bomby zrzucone z amerykańskich samolotów.

Mamy myśli zaprzątnięte wojną, co zrozumiałe, choć nie trzeba gadać o niej bez potrzeby i bez umiaru, denerwując siebie i innych. Jedną z zasad Pałkiewicza sprowadza się do tego, by nie siedzieć godzinami przed komputerem, a zwłaszcza nie wdawać się



FOT. KAROL PORWICHAŁ NEWS

w bezsensowne i niemające końca dyskusje internetowe. Przy czym – zaleca – bądź nieufny, „weryfikuj wiadomości. Nie wierz w nic, na co nie ma obiektywnych dowodów. Bądź powściągliwy w wyrażaniu swojego niepokoju”.

Większość rad podsuwanych przez autorów książki ma swój wymiar praktyczny. Dotyczą one m.in. zatroszczenia się o to, co najważniejsze. Ale też zwraca się tutaj uwagę na sprawy, które mogą nam umykać, które lekceważymy, traktujemy jako nieistotne. A przecież „skompletuj apteczkę pierwszej pomocy”, „zdobądź przenośny piecyk, w którym można palić dosłownie każdym paliwem i który można wykorzystać jako źródło ciepła i piec kuchenny”, „nie zabijaj okien gwoździami, nie montuj stałych krat w oknach”, „nie rozstawaj się z narzędziami uniwersalnymi: szczytorem i multitooliem”, „dobierz optymalne ubranie”, „zapewnij sobie środki łączności”, a wreszcie – „zdobądź ponadczasową walutę”. Nie, nie, żadne euro czy dolary. Lepszą walutą okazać się może m.in. alkohol, środki higieny, a nawet zapalniczki.

Nie wszystkie rady i zalecenia da się zastosować. Na przykład poszukiwanie najbliższego podziemnego schronu okazać się może zajęciem bezcelowym. W Polsce, według

szacunków, takie miejsce znaleźć może dla siebie nie więcej niż 5 proc. obywateli. Dla porównania: w Szwajcarii schrony są w stanie pomieścić każdego mieszkańca. Jeszcze niedawno takie działania, jakie prowadzono w powstającej Nowej Hucie, gdzie niemal każde osiedle miało swój schron, traktowane były jako przejaw zimnowojennej psychozy. Że już nie wspomnę o Albanii, w której pod rządami Hoxhy budowano, jak się zdaje, schrony i nic poza nimi. W obecnej sytuacji tamte aberracyjne zachowania wypadają ocenić inaczej – jako perspektywiczne.

Ale poza najprostszymi wskazówkami praktycznymi Jacek Pałkiewicz akcentuje m.in. konieczność ograniczenia źródeł informacji do najbardziej wiarygodnych – oficjalnych kanałów komunikacji administracji państwowej lub struktur bezpieczeństwa państwa. Przestrzega też: „Powstrzymaj się od krytykowania swojego rządu i armii, nawet jeśli negatywne informacje są w pełni prawdziwe”. Ta ostatnia rada ma swój głęboki sens, a także natychmiast przypomina się sławny czy raczej niesławny apel płk. Umiastowskiego, który 6 września 1939 r. wezwał zamieszkujących Warszawę, a niepowołanych wcześniej do opuszczenia stolicy i udania się na wschód, gdzie mieli zostać zmobilizowani. Skutki apelu były fatalne, spowodował on bowiem jedynie panikę. Tak że w razie czego zachowujmy wiarę w stopniu ograniczonym, poza wiarą w Boga, bo ta na pewno pomocna jest w godzinach najcięższej próby.

I pamiętajmy o jeszcze jednej przestrożce Jacka Pałkiewicza, którą skierować wypadałoby szczególnie pod adresem mediów: „Nie lekceważ wroga, nie uważaj go za słabego lub głupiego”. Bo taki nie jest. ©©



★★★★★

JACEK
PAŁKIEWICZ,
KRZYSZTOF
PETEK
„WOJNA
U PROGU.
PORADNIK
PRZETRWANIA”
ŚWIAT KSIĄŻKI,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czas najwyższy

Wciągająca, potrzebna, wzruszająca i w większości bardzo dobra – taka jest obszerna antologia ukraińskiej fantastyki przygotowana przez Wołodymyra Areniewa, a wydana przez oficynę Stalker Books. Wstyd, że trzeba było aż wielkiej wojny Rosji przeciw Ukrainie, żeby znalazł się w Polsce wydawca chętny do realizacji takiego przedsięwzięcia, wstyd jeszcze większy, że nie uczynił tego żaden z wielkich domów wydawniczych, tylko mała oficyna spod Olsztyna. Tym większa chwała dla Wojtki Sedeńki, wydawcy, który sprawę doprowadził do końca. Dodam, że nie zarabia na tej książce – cały zysk trafi na pomoc humanitarną dla Ukrainy.

Lista opowiadań zawartych w „Języku Babilonu” to coś więcej niż kawał dobrej lektury – to manifest. Pierwsze opowiadania sięgają romantyzmu, ukraińska tradycja fantazjowania wywodzi się bowiem od Mikołaja Gogola czy Iwana Franki. Teksty współczesne (czyli większa część zbioru) to utwory powstałe po roku 2014, mamy więc do czynienia z literaturą czasu wojny wydanej przez Rosję wolnej Ukrainie. Pominięto niemal zupełnie czasy sowieckie. „Ukraińska fantastyka w ZSRR, jakkolwiek oryginalna, mogła istnieć tylko wtedy, gdy została napisana

na w zgodzie z obowiązującą, jedynie słuszną ideologiczną linią” – przypominają Areniew i Michał Nazarienko we wstępie „Biały kwiat na starym drzewie. Krótki przewodnik po współczesnej fantastyce ukraińskiej”. Warto przeczytać tę książkę tylko dla tego tekstu, bo znajdziemy w nim wiedzę nieocenioną.

No i wreszcie jest to, co najważniejsze: literatura. Na miano ramiotki zasługuje jedynie pochodzące z okresu sowieckiego opowiadanie Borysa Szterna „Czyja to planeta”. Wspomniane przeze mnie wcześniej teksty najstarsze (XIX w. i pierwsze dekady XX w.) bronią się znakomicie, cieszą nie tylko zwolenników opowieści niesamowitych. Co do tych najnowszych: autorów niektórych znamy, jak choćby Maxa Kidruka, którego świetna powieść „Bot” ukazała się kilka lat temu w Polsce. W różnych formach – fantasy, satyry, przypowieści, skrzyżowania fantastyki z prozą poetycką – próbują oddać traumę inwazji, przypomnieć o tym, że trzeba

robić, co możemy, bez względu na ponure okoliczności. I że nawet w najczarniejszej godzinie jest nadzieja na lepszą przyszłość. Przeczytajcie „Język Babilonu”, bo warto. Ważna uwaga: książka dostępna jest jedynie na stronie wydawnictwa, czyli w księgarni esef.com.pl. ©©



★★★★★
AUTORZY RÓŻNI
„JĘZYK BABILONU”
STALKER BOOKS
2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czternaście prac poświęconych niezwyklej postaci. Ten żołnierz, poliglota i matematyk, złamał szyfry sowieckie w 1920 r., przyczyniając się do triumfu w Bitwie Warszawskiej, a jego dalsze losy były nie mniej fascynujące.



AUTORZY RÓŻNI
„GENERAL BRYGADY JAN KOWALEWSKI”
IPN

Fikcja historyczna – autorka daje nowe życie członkowi rodziny Habsburgów, by mógł wybrać ukraińskość jako los i doświadczyć w pełni jego trudów. Intrygująca opowieść ku pokrzepieniu serc, tyle że obraz Polski w tle czarny.



NATALIA ŚNIADANKO
„PORZĄDNE PAPIERY ARCYKSIĘCIA WILHELMA”
PIW

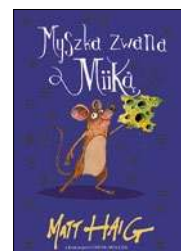
„Moja historia metalu” – muzyczny dziennikarz, wokalista oraz zaprzysięgły fan ciężkiej muzyki, opisując jej rozwój w Polsce, pokazuje zarazem otaczającą ją subkulturę i kreśli kronikę dorastania w latach 80. i 90. XX stulecia.



JAREK SZUBRYCHT
„SKÓRA I ĆWIEKI NA WIEKI”
CZARNE

Powrót do świata znanego z powieści (i ekranizacji) „Chłopiec zwany Gwiazdką”. Kto czytał i oglądał, ten pamięta mówiącą magiczną myszkę, która teraz doczekała się własnej fantastycznej i zwariowanej przygody. ©©

recenzuje Piotr Gociek



MATT HAIG
„MYSZKA ZWANA MIŁKĄ”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „LIGA NIEZWYKŁYCH DŻENELMENÓW”

Wznowienie (w twardej oprawie) wszystkich tomów jednej z najlepszych i najbardziej szalonych serii w dziejach komiksu. Kapitan Nemo, Niewidzialny Człowiek, Allan Quatermain i Dr Jekyll łączą siły pod nadzorem Miny Murray (jednej z bohatererek „Drakuli” Brama Stokera), by wspólnie chronić imperium brytyjskie przed zagrożeniami (od doktora Fumanchu do... Marsjan). W skład cyklu wchodzi także tom „Czarne akta”, „Nemo Trylogia”, „Stulecie” oraz „Burza”. ©©



ALAN MOORE, KEVIN O'NEILL
„LIGA NIEZWYKŁYCH DŻENELMENÓW”
EGMONT 2022

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Listopad po królewsku

Przejżdżając ostatnio przez Kraków, postanowiliśmy z żoną zahaczyć o Wawel. Dawno tam nie byliśmy, nastawialiśmy się więc na to, że obejrzymy nie tylko nowe lub odnowione ekspozycje, jak Skarbiec Koronny, lecz wszystko, na co tylko czas nam pozwoli. Kiedy jednak stanęliśmy przy kasach i zaczęliśmy analizować dostępne trasy zwiedzania oraz ich ceny, nasze ambitne plany weryfikował już nie tylko czas

pozostający do zamknięcia zamku, lecz także budżet. Mówiąc dyplomatycznie – najtaniej nie było.

Starając się podchodzić do sprawy ze zrozumieniem (to tak ważne dla naszej historii i kultury miejsce, jego utrzymanie kosztuje etc.), zauważyć trzeba, że wstęp do tego (i nie tylko tego) zamku królewskiego to odczuwalny wydatek. Tym bardziej należy reklamować wszem wobec takie inicjatywy, jak akcja „Darmowy listopad w rezydencjach królewskich”. W jej ramach darmowy wstęp na część ekspozycji oferuje 11 rezydencji królewskich. Ich pełna lista dostępna jest na stronie www.gov.pl/web/kultura/rezydencje, a szczegóły odnośnie do darmowego zwiedzania znajdują się na stronach poszczególnych rezydencji. ©©

GDZIE? rezydencje królewskie
KIEDY? do końca listopada



FOT. MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



FOT. KRZYSZTOF KAUJOWSKI/LOVEGRACIA.PL

ZA KULISAMI

„Zależy nam, by opowiedzieć o teatrze jak o złożonej maszynie, w której to, co widz ogląda na scenie, jest końcowym efektem skomplikowanego procesu, na który znaczący wpływ mają sama budowa sceny i jej zaplecze oraz techniczni i administracyjni pracownicy teatru” – piszą organizatorzy wystawy „Maszyna teatru”. Ekspozycja prezentuje zakulisowy świat sceny poprzez artystyczne dokonania kolejnych twórców. ©©

GDZIE? Kraków, Dom pod Krzyżem
KIEDY? do 11 czerwca 2023 r.



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Ucieczka we wspomnienia

Jest najpopularniejszym polskim wykonawcą. Wyrzucił stadion. Jego trzecia płyta „Małomiasteczkowy” była wybitna.

Niestety, Dawid Podsiadło na czwartym albumie zamiast zmierzyć się z poważnymi tematami, ucieka w bok. Rozstaje się ze swoimi latami dwudziestymi. Nie chce być głosem swojego pokolenia, a jednocześnie dla małomiasteczkowej generacji jest uosobieniem sukcesu. Ten rozdźwięk doskonale obrazuje okładka. Tłum medialnych pochlebców nadszkakuje idolo- i on z uśmiechem kroi ucho? A, może swojskiego koł(t)una? Tyle że ten prowokacyjny kolaż ma się nijak do ucieczki w nostalgię i taneczną stylizację na lata 90. Piosenki niestety nie sprawiają, że włos się od nich jeży. Duet Dawida

i Sanah mimo gorzkiej refleksji na temat talent show (oboje w takich programach zaczęli) jest czystym wyciskaczem kasy (oboje generują największe dochody w muzycznym biznesie). Uderza to szczególnie, gdyż piosenka pojawia się po utworze „POST”, w którym autor rozprawia się z celebrycką i katolicką hipokryzją.

Ciekawsza jest druga, balladowa część płyty. Dawid cierpiący jest bardziej przekonujący, a jego wokół bardziej intrygujący. Wyróżniają się piosenki „millenium” i „mori” (mocny tekst o odchodzeniu). Niestety, duet z Katarzyną Nosowską mimo poważnego tematu (wojna na Ukrainie) przechodzi niezauważony. To taki album na przeczekanie i oczekiwanie na nową falę twórczej inspiracji. ©©



★★★★★
DAWID PODSIADŁO
„LATA DWUDZIESTE”
SONY



★★★★★
JEAN-MICHEL JARRE
„OXYMORE”
SONY

Na 22. albumie Jarre składa hołd Pierre'owi

Henry'emu, francuskiemu twórcy muzyki konkretnej. Te dźwiękowe gobeliny utkane z upiornych sampli wokalnych oraz burczących i dudniących dźwięków doskonale sprawdzają się przy samotnej kontemplacji w słuchawkach.



★★★★★
A-HA
„TRUE NORTH”
SONY

Płyta nagrana nad kołem

podbiegunowym z Orkiestrą Filharmonii Arktycznej przypomina kartkę pocztową z przeszłości. Fale Mortena Harket'a ukoj dojrzałe, żeńskie serce, a muzyka uśpi zmęczonego małżonka. Przyjemny prezent z okazji 40-lecia norweskiego zespołu. ©©



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl e39a249d90



Krzysztof Masłoń

Pytanie „Czyja twarz zabrzmi najlepiej?” nabierze szczególnego znaczenia w przyszłym roku, w trakcie wyborów. Na razie trwają przymiarki, podczas których sufluje się podobieństwo jednego z kandydatów do sprawowania władzy w Rzeczypospolitej do niejakiego Gomułki Władysława dla urozmaicenia nazywanego Wiesławem, a drugiego pretendenta do Merkel Angeli, z którą jakoby był spokrewniony przez dziadka. Naród interesuje się tym tak sobie, bardziej emocjonując się pokazywanymi przez Polsat przebiegami, w których a to Robert Szpręgiel wciela się w Africa Simone'a, Michał Milowicz w Tilla Lindemanna z zespołu Rammstein, to znów Janusz Radek wyciska łyżę naszym seniorom jako młodsza wersja Sławy Przybylskiej. A wszystko to ma miejsce w Polsce, podczas emisji kolejnych edycji (doczekaliśmy się już 17) programu odkrywczo zatytułowanego „Twoja twarz brzmi znajomo”.

To znajome brzmienie jest bardzo istotne, że przypomnę tu piosenkę z przedwojennym rodowodem, wciąż popularną a to we Wrocławiu, a to w Bytomiu:

**Ta jój ta jółku, ta dawaj pyska,
ta co tu robisz, zaraz mów.
Jesteś mi znajomy z bliska,
ta w twojej gimbie widać Lwów.**

Oczywiście można być niepodobnym do nikogo i do niczego, jak większość polityków w naszym pięknym kraju, nie wróży to jednak oszałamiającej kariery rządowej czy parlamentarnej. Z drugiej strony nie należy popadać w przesadę. Pamiętam, jak będąc w Moskwie u schyłku zeszłego wieku, gdy na Arbaście doliczyłem się 20. Breż-



Janusz Rewiński jako Edward Nowak w serialu „Tygrysy Europy” z 1999 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Znajomi z bliska

niewa, przestałem rachować przechadzające się sobowtóry, zwłaszcza że Stalinów i Leninów było tam jeszcze więcej. I jakoś żaden z nich nie zagościł na Kremlu, co znakomicie udało się Władimirowi Putinowi, najbardziej przypominającemu portret pamięciowy, a kogo, to mniejsza z tym. Bo Zgredek z „Harry’ego Pottera” jest jednak od niego zdecydowanie bardziej sympatyczny. No i przystojniejszy, choć Rosjanki, szczególnie te starsze, są innego zdania.

Tak czy inaczej w partiach politycznych ogłoszono już stan pogotowia przedwyborczego, w którym agencje sobowtórów odegrać mogą niebagatelną rolę. Pamiętają może państwo „Tygrysy Europy”, serial Jerzego Gruzy z 1999 r., przypominany właśnie w TVP Polonia? Taką agencją zarządzał tam grany przez Wojciecha Pokorę były kamerdyner nowobogackich Nowaków, o wdzięcznym nazwisku Skorupa. Kogóż on nie zatrudniał! Nawet Chucka Norrisa i Lindę Evans, a i Lecha Wałęsę, rzecz jasna. Nie brak takich, którzy utrzymują, że ten prezydencki sobowtór zajął miejsce przywódcy Solidarności z 1980 r. i jest kolejną, po Jaruzelskim, ma-

trioszką na naszej politycznej niwie.

Nie tak znów bardzo dawno w wyborczej gorączce nominowano do politycznych zmagani np. uczestników popularnych reality show, z „Big Brotherem” na czele. To w ten sposób dostał się np. do Sejmu, z ramienia SLD, Sebastian Florek. Co stoi na przeszkodzie, by od przyszłego roku popisywali się na Wiejskiej zwycięzcy „Tańców z gwiazdami” czy „The Voice Senior”, bo ulubieńcy mas z „The Voice of Poland” z regulaminowych powodów muszą poczekać, a czas, cóż, może nie być ich sprzymierzeńcem. W ostateczności warto mieć w zanzardzu dokumentację z wzięcia udziału w programie typu „Jaka to melodia?” czy „Tak to leciało”, gwarantujących rozpoznawalność i szacunek telewidowni stanowiącej przecież znaczącą część elektoratu. Nie dają tych gwarancji, niestety, rozmnażające się niczym grzyby po deszczu teleturnieje, nie tylko dlatego, że coraz bardziej brylują w nich osoby mające wyraźne luki w opowiadaniu materiału przyswanianego w starszych klasach szkół podstawowych, no, niech będzie, że w pierwszych klasach liceów i techników.

Piosenka pozostaje bezkonkurencyjna, bo w końcu to ona „serca nam uzbraja i naprzód prowadzi nas”, jak twierdził Krzysztof Gruszczyński w tekście evergreenu czasów słusznie uznanych za niesłuszne. Nie pamiętają państwo, „jak to leciało”? A szkoda. Gdyby tak dzisiaj urządzić teletewizyjne śpiewanie utworów zwanych musowymi, mogłoby to być wydarzenie. Sęk w tym, że trudno byłoby się w takim show obyć bez utworów klasyków gatunku, traf chciał, że sowieckich, że wspomnę Wasilija Sołowjowa-Siedoja („Podmoskownyje wieczera”), Anatolija Nowikowa, Jurija Milutina, Dunajewskiego, Aleksandrowa... Ta lista nie ma końca, a tu tymczasem wojna i odwoływanie się do ruskich wzorów, zwyczajnie, nie uchodzi.

Ale ze sprawdzonych wzorów należy umiejętnie korzystać. Siedemdziesiąt pięć lat temu Zofia Lissa, profesor zresztą, tak jakoś po powrocie z Moskwy, gdzie była attaché kulturalnym ambasady naszego już socjalistycznego państwa, wzywała: „Piosenka musi tchnąć nowym duchem!”. I doczekaliśmy się disco polo, też jakby znajomego. Aż za dobrze. ©

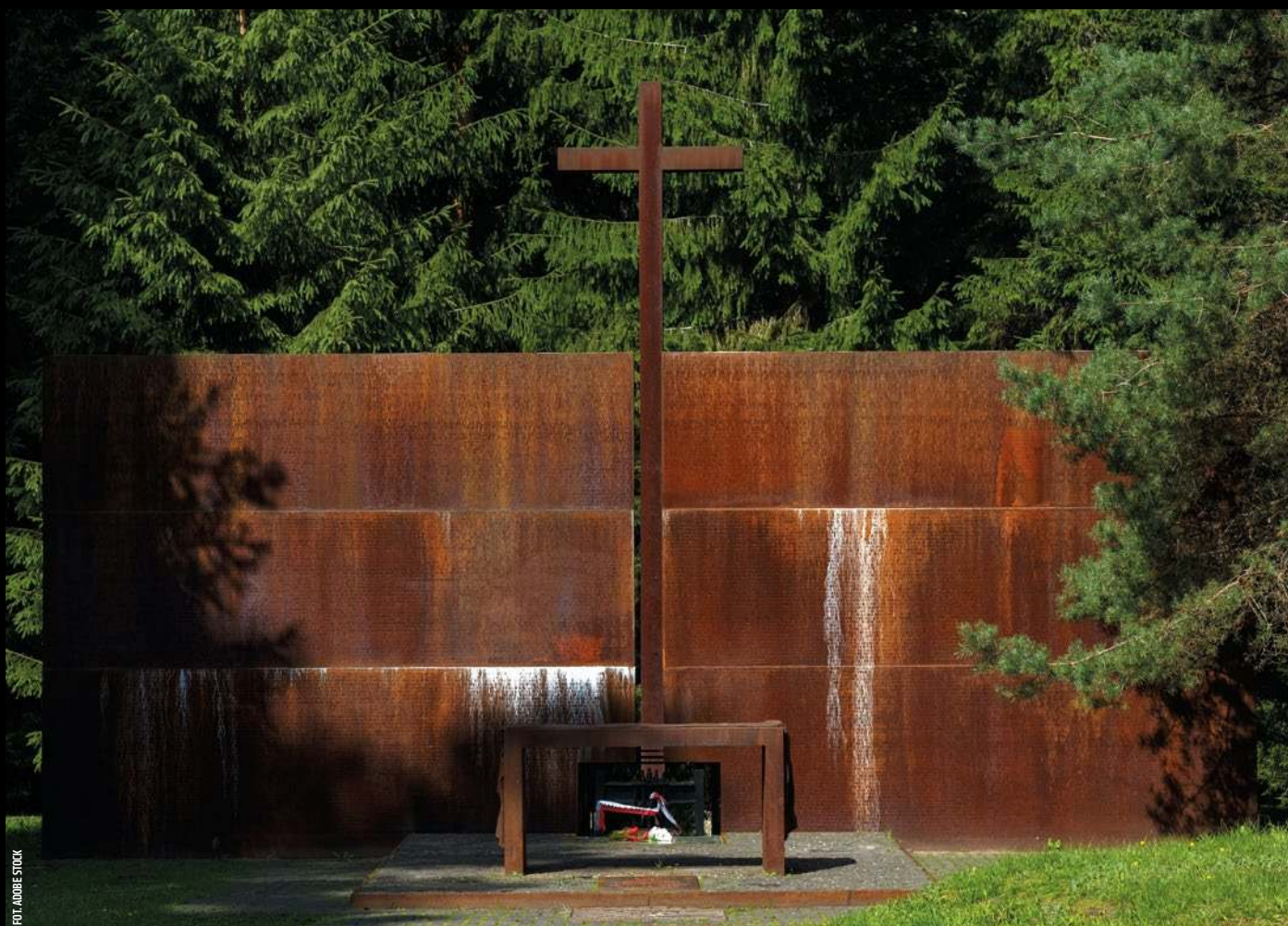
DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 12



Walka z „kłamstwem katyńskim”

– model walki o prawdę historyczną

- Jak ZSRS tuszował swoje sprawstwo
- Anatomia zbrodni katyńskiej • Kłamstwo anti-Katynia
- Upamiętnianie polskich ofiar



ROT. JODIE STOCK

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl e39a249d90



FOT. ADRIAN STOK

SPIS TREŚCI

49 prof. Mikołaj Iwanow **ANATOMIA „KŁAMSTWA KATYŃSKIEGO”**

– Sowiecki przywódca był pewien, że falsyfikacja została przeprowadzona w doskonały sposób – mówi historyk

49 Piotr Zychowicz **FABRYKA ŚMIERCI NKWD**

Egzekucje nadzorowali „najlepsi specjaliści” z sowieckiej bezpieki. Ofiary były zabijane jak na fabrycznej taśmie

52 Radosław Wojtas **ZBRODNI I KŁAMSTWO**

Pół wieku czekały rodziny ofiar zbrodni katyńskiej na przyznanie się Imperium Zła do winy i na okazanie choćby najmniejszej skruchy

55 Maciej Pieczyński **ANTY-KATYŃ GORBACZOWA**

Rosjanie przyznali się do zbrodni w Katyniu, a nawet za nią przeprosili. Wpisali ją jednak w fałszywy obraz symetrii win

55 Zuzanna Dąbrowska **KATYŃ – PAMIĘĆ WCZORAJ I DZIŚ**

W PRL za upamiętnianie ofiar zbrodni katyńskiej groziło więzienie. Dziś Polacy licznie biorą udział w okolicznościowych biegach i koncertach



FOT. ADAM STOK

PIOTR WŁÓCZYK: Powołana w styczniu 1944 r. Komisja Nikołaja Burdenki miała przekonać świat, że to Niemcy rozstrzelali w Katyniu polskich oficerów. Jej prace w Lesie Katyńskim trwały dokładnie 12 dni. Co udało się „ustalić” komisji w tak krótkim czasie?

PROF. MIKOŁAJ IWANOW: Realnie – nic. Komisja Burdenki miała tak naprawdę powielić „ustalenia”, które przygotowała pracująca tam przez kilka miesięcy inna – tajna – komisja pod przewodnictwem Wsiewołoda Mierkułowa, który był zastępcą Berii. Ani Mierkułow, ani inni fałszerze z NKWD na pewno nie zdradzili członkom zespołu Burdenki prawdy na ten temat. Karmili ludzi z komisji spreparowanymi przez siebie kłamstwami. Burdenko, naczelny chirurg Armii Czerwonej, dostał zadanie partyjne. Musiał je po prostu wykonać i podpisać wszystkie papiery spreparowane przez Mierkułowa. A jeżeli miał jakieś wątpliwości jako trzeźwo myślący lekarz, to na pewno zachował je dla siebie.



Z prof. Mikołajem Iwanowem, historykiem, znawcą historii Związku Sowieckiego rozmawia Piotr Włoczyk

Anatomia kłamstwa katyńskiego

Podkreśla pan, że Armia Czerwona walczyła wyjątkowo zaciekle w okolicach Katynia...

Latem 1943 r. sowieccy żołnierze nacierali w kierunku Katynia w desperacki wręcz sposób. Sowieckie

dowództwo przelało wówczas morze krwi swoich żołnierzy, byleby tylko jak najszybciej odbić te tereny z rąk Niemców i rozpocząć na miejscu wielką operację fałszowania historii.

■ Stalin chciał jak najszybciej wytrącić Niemcom ten propagandowy oręż.

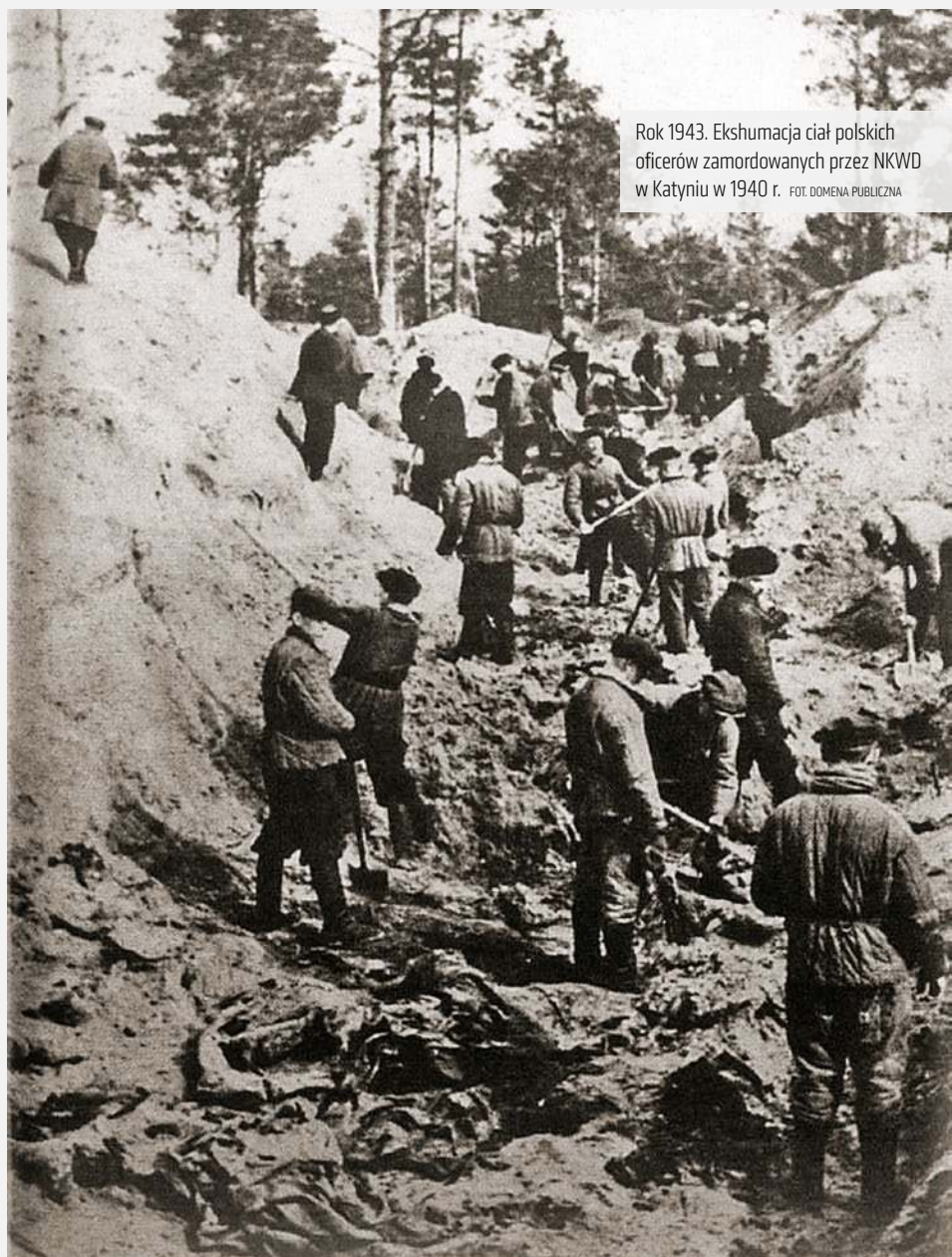
Co charakterystyczne dla NKWD, na czele komisji, która miała wykazać winę Niemców, stanął człowiek, który powinien jako ostatni wyrwać się do takiego zadania.

Wsiewołod Mierkułow zarządził mordem katyńskim. Znał doskonale wszystkie detale dotyczące rozstrzelania, dlatego Stalin nie bez podstaw uważał, że jest to najlepszy człowiek do brudnej roboty. Mierkułow miał nieograniczone zasoby i skompletował ekipę składającą się z najlepszych specjalistów od kłamania. Byli to funkcjonariusze z ogromnym doświadczeniem w tej dziedzinie. W latach 30., w czasie procesów pokazowych, byli oni gotowi z najbardziej oddanych komunistów, np. z Michaiła Tuchaczewskiego, zrobić „polskich agentów”. Sam Mierkułow dostał za Katyń dwa wysokie odznaczenia państwowe. Pierwsze za wymordowanie polskich oficerów, a drugie za utkanie pajęczyn kłamstw wokół tego mordu...

Lektura protokołów z posiedzeń komisji Burdenki to wstrząsające przeżycie. Wszystko, co przedstawił jej członkom Mierkułow, było traktowane jak prawda objawiona. Nikt nie zadawał pytań. Ci ludzie po prostu wykonywali zadanie partyjne, a nawet najmniejsze zwątpienie w wersję przedstawianą przez państwo było dla nich nie do pomyślenia. Mieli oni głęboko zakorzeniony strach przed Stalinem, zasiany w ich duszach w okresie wielkiego terroru z lat 1937–1938. Na dodatek Niemcy w czasie wojny byli przecież niezwykle brutalni, popełnili tyle przestępstw, że dość łatwo było uwierzyć, iż Katyń był jeszcze jednym w całym morzu niemieckich mordów. Zresztą początkowo pod wpływem sowieckiego kłamstwa również wielu Polaków uwierzyło, że to Niemcy mordowali w Katyniu. Było to logiczne. Polacy widzieli wokół siebie niezwykle brutalny niemiecki terror i mogli sobie łatwo wyobrazić, że do podobnych rzeczy dochodziło również na Wschodzie wobec polskich jeńców w ZSRS, którzy wpadli w ręce żołnierzy Wehrmachtu.

Jakie „dowody” podsuwali ludziom Burdenki funkcjonariusze NKWD?

Ludzie Mierkułowa zastosowali wyjątkowo skuteczną metodę fałsyfikacji: dotarli do większości świadków, którzy zeznawali przed Niemcami prawdę na temat mordu, i sprawili, że odwołali oni



Rok 1943. Ekshumacja ciał polskich oficerów zamordowanych przez NKWD w Katyniu w 1940 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

swoje zeznania. Ludzie ci mieli zaświadczyć, że Niemcy zmusili ich do kłamstw. Ponadto enkawudziści stosowali też dosyć prymitywne metody, np. pokazywali strzępki dziennika „Głos Sowiecki” z końca 1940 r., które miały rzekomo zostać wyjęte z munduru jednej z ofiar. Niektóre z tych „dowodów” były jednak szczytem perfidii, jak choćby listy, które nie miały szans dotrzeć do adresatów. Enkawu-

dziści przekonywali, że autentyczne listy, niektóre pisane w 1941 r. do już nieżyjących oficerów przez ich rodziny, były odnajdywane przy rozstrzelanych oficerach. Ich treść była wstrząsająca. Nieświadome tragedii żony ofiar pisały do mężów na temat spraw rodzinnych. Dzieci pytały się swoich ojców, dlaczego nie odpisują... Okazało się, że NKWD te listy przechowało w swych archiwach, tak jakby wiedziało, że się przydadzą.

Przypuszczam, że wydając rozkaz fałsyfikacji sprawy katyńskiej, Stalin musiał być wściekły na swych podwładnych, a może i na siebie, że do mordu na polskich oficerach doszło na zachodnich rubieżach jego wielkiego państwa, a nie gdzieś na rozległej Syberii tak, aby nikt nigdy nie odnalazł kości pomordowa-

Armia Czerwona nacierała na Katyń w tak szalonym tempie, bez względu na ofiary i wbrew zdrowemu rozsądkowi strategicznemu

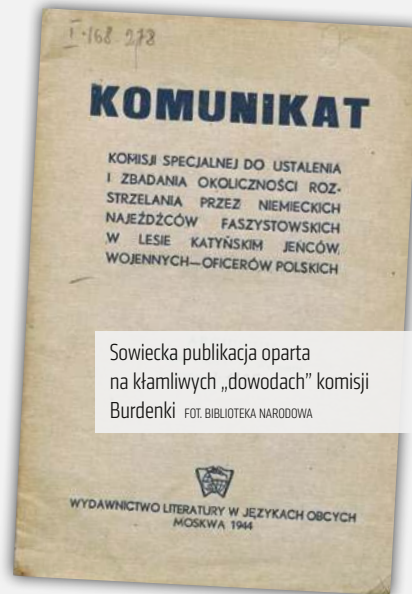
nych. Dlatego Armia Czerwona nacierała na Katyń w tak szalonym tempie, bez względu na ofiary i wbrew zdrowemu rozsądkowi strategicznemu. Stalin chciał po prostu jak najszybciej naprawić swój błąd. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że Stalin początkowo żałował, iż w ogóle kazał rozstrzelać Polaków!

Ale przecież pojmani polscy oficerowie w zdecydowanej większości byli uważani przez NKWD za wrogów komunizmu. Dlaczego Stalin miałby żałować rozstrzelania ludzi, którzy faktycznie byli w swojej masie zaprzysięgłymi wrogami jego państwa?

Do maja 1940 r. Stalin myślał, że sojusz z III Rzeszą będzie trwał. Uważał, że Hitler jest od niego bardzo zależny pod kątem surowców i nigdy nie pokusi się o rzucenie wyzwania Armii Czerwonej. Polskich oficerów NKWD rozstrzelało w kwietniu, a już w maju w ciągu trzech tygodni upadła Francja! Stalin był tymczasem przekonany, że Francja to potęga, której Niemcy nie będą w stanie pokonać. Liczył na powtórkę z pierwszej wojny światowej: Niemcy i Francuzi będą latami wykańczać się nawzajem, a on tymczasem przygotuje potężną armię zdolną zawojować całą Europę. Błyskotliwe zwycięstwo Wehrmachtu było szokiem dla sowieckiego dyktatora. Na Kremlu pojawiła się wtedy obawa, że Związek Sowiecki będzie następny na liście hitlerowskich celów. Podjęto wówczas decyzję o stworzeniu polskiej dywizji w Armii Czerwonej. Oficerowie, których zamordowano w Katyniu, bardzo by się Stalinowi przydali na froncie.

Nie obawiałby się puścić na front swoich wrogów?

Stalin był człowiekiem bardzo praktycznym. Nie miał wątpliwości co do antysowieckiego oblicza armii gen. Andersa, ale tworzył ją, bo była mu potrzebna w walce z Niemcami. Wtedy zabrakło tych rozstrzelanych oficerów. Układ Sikorski-Majski, który wywołał ostry kryzys w polskim rządzie emigracyjnym, przewidywał przecież, że Polacy będą wykorzystani na froncie wschodnim. Stalin nie bez podstaw uważał, że Churchill zmusi byłych więźniów Gułagu do wystąpienia w obronie swych wczorajszych katów. Na szczęście się nie udało, ale niewiele brakowało, aby armia Andersa w 1942 r. poległa w ciężkich bojach na Ukrainie. W dzisiejszej Polsce mało kto wie, że jedną z najważniejszych przyczyn zgody Stalina na ewakuację polskich



Sowiecka publikacja oparta na kłamliwych „dowodach” komisji Burdenki. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

żołnierzy były tajne raporty NKWD o tym, że armia ta jest rozsądnikiem wolnej myśli i antysowietyzmu, że może stanowić poważny czynnik ideologicznej destabilizacji społeczeństwa sowieckiego – i dlatego lepiej się jej pozbyć.

Kiedy Niemcy dowiedzieli się o tym, że w katyńskim lesie leżą szczątki polskich oficerów?

Właściwie od razu po wkroczeniu na tamte tereny. Początkowo jednak byli przekonani, że niedługo pokonają ZSRS, i ta wiedza do niczego nie była im potrzebna. Sytuacja się zmieniła, gdy po klęsce pod Stalingradem zaczęli się cofać. Wtedy w ministerstwie Goebbelsa stwierdzono, że dobrze będzie propagandowo rozegrać mord w Katyniu, że ta sprawa może stać się skuteczną bronią w wojnie propagandowej z Sowietami. To oczywiście był z ich strony szczyt hipokryzji, ponieważ sami mieli na koncie bardzo podobne zbrodnie i w rzeczywistości nic ich nie obchodził los polskich jeńców.

Czy Stalin był zadowolony z wyników prac Mierkułowa?

Nie ma wątpliwości: sowiecki przywódca był pewien, że falsyfikacja została przeprowadzona w doskonały sposób. I dlatego też zdecydował się postawić tę sprawę przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze.

To jednak skończyło się kompromitacją Związku Sowieckiego.

Okazało się, że prokuratorzy Stalina, działając w oparciu o „dowody” sprosowane przez Mierkułowa, nie mają szans w starciu na prawdziwej sali sądowej, gdy obrońca może działać swobodnie i pokazywać wszystkie dziury w wersji oskarżenia. Kłamstwo na temat Katynia pogrzał po prostu zachodni standard sądownictwa.

Jeden z niemieckich adwokatów zadał wówczas najbardziej oczywiste pytanie: „Proszę wytłumaczyć, dlaczego – według waszej wersji – w lipcu 1941 r., gdy ci oficerowie pracowali ponoć bardzo ciężko przy budowie drogi, zostali rozstrzelani w zimowych ubraniach, mimo że temperatura powietrza osiągała 30 stopni”. Na salę sądową dostarczono zapisy temperatury powietrza. Było to rzeczywiście bardzo upalne lato.

Nikołaj Zoria, sowiecki prokurator, który miał uzyskać wyrok skazujący Niemców również za Katyń, nie wiedział, co odpowiedzieć na podobne rzeczowe kontrargumenty. To wyjątkowa postać i bardzo żałuję, że w Polsce człowiek ten jest właściwie kompletnie niezany. Otóż Nikołaj Zoria, gdy zrozumiał, że działa w oparciu o kłamliwe dowody i reprezentuje państwo, które samo jest odpowiedzialne za zamordowanie polskich oficerów, popełnił samobójstwo. W państwie Stalina był to jedyny sposób protestu. A musimy przy tym pamiętać, że w ZSRS zostawił żonę i dzieci. Czasem nazywa się go wręcz „sumieniem Rosji”. Mam nadzieję, że w końcu zostanie on w Polsce upamiętniony.

Możemy być pewni, że było to samobójstwo?

Nie. W ZSRS wszystko było możliwe. Pewne jest to, że zakwestionował stalinowskie kłamstwo o Katyniu i zginął. Samobójstwo jest jednak najbardziej prawdopodobną wersją wydarzeń.

Alianci zachodni zaakceptowali w czasie wojny sowiecką wersję odnośnie do Katynia, ale w Norymberdze, gdy Niemcy były już pobite, nie dali Stalinowi tej satysfakcji...

Sowieci musieli odpuścić, ponieważ na wolnej sali sądowej nie dało się utrzymać ich kłamstw.

Nie było szans, żeby wobec takiej farsy Zachód potwierdził wersję Moskwy.



Nikołaj Burdenko na sowieckim znaczku pocztowym. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Poza tym kilku kluczowych świadków ekshumacji ciał polskich oficerów przeprowadzonej przez Niemców, m.in. Szwedzi, Szwajcarzy, Amerykanie i jeńcy angielscy, którzy zeznawali na niekorzyść Sowietów w śledztwie niemieckim, było poza ich zasięgiem i mogli być ponownie wezwani na salę sądową. NKWD nie mogło sprawić, by zmienili swoje zeznania. Stalin zrozumiał, że dalsze próby forsowania kłamliwej wersji przyniosą ZSRS jedynie straty wizerunkowe. I dlatego wycofał się z pomysłu uzyskania wyroku skazującego Niemców za Katyń, żałując na pewno, że w ogóle poruszył ten temat w Norymberdze.

Jak ocenia pan postawę aliantów zachodnich w czasie wojny w tym kontekście? Dla wielu Polaków postawa naszych sojuszników była równoznaczna ze współudziałem w kryciu morderców.

Mocarstwa bywają brutalne, jeżeli chodzi o realizację ich interesu narodowego. Londyn i Waszyngton uznały, że w obliczu wojny z Niemcami koniecznie trzeba utrzymać sojusz ze Stalinem

Szacuję, że mniej więcej co trzeci Rosjanin rozumie dziś, że Polacy zostali w Katyniu zamordowani z rozkazu Kremla

i według przywódców tych państw kwestionowanie wersji Sowietów groziłoby negatywnymi konsekwencjami w tym kontekście. Mogło pojawić się niebezpieczeństwo zerwania sojuszu z ZSRS, który w tym czasie ponosił główny ciężar wojny z Niemcami. Cieszymy się jednak, że w Norymberdze alianci nie zdecydowali się grać w teatrze Stalina i wersja sowiecka została na oczach całego świata skompromitowana.

Czy w czasie studiów w ZSRS słyszał pan o mordzie katyńskim?

Nie. Nie słyszałem nawet o kłamliwej wersji stworzonej przez Mierkułowa. Tego tematu w ogóle nie było, jakby ta zbrodnia nigdy się nie zdarzyła.

Kiedy się pan dowiedział o Katyniu?

Na początku lat 80., gdy przyjechałem do Polski. Dopiero wówczas zrozumiałem, ile trudu włożyło NKWD



Wsiewołod Nikołajewicz Mierkułow
FOT. DOMENA PUBLICZNA

w zmanipulowanie opinii publicznej na Zachodzie.

Stalin chyba nie miał większych złudzeń, że kłamstwo katyńskie padnie w Polsce na podatny grunt?

W Polsce okazało się, że to niewykonalne. Członków rodzin tych ponad 20 tys. ofiar oraz ich znajomych były w Polsce setki tysięcy, więc to kłamstwo nie mogło się w Polsce rozwinąć na większą skalę przy tylu nośnikach prawdy. Gdy przyjechałem do Polski z ZSRS, byłem ogromnie zdziwiony, widząc, że komunizm w Polsce był w ogóle trochę „na niby”. Polacy byli na tę całą propagandę wyjątkowo odporni. Mąż przyjaciółki mojej żony był oficerem LWP. Raz byliśmy u nich świętować Nowy Rok. Na imprezie było jeszcze kilku innych oficerów LWP. Jak już ci porucznicy, kapitanowie popili trochę wódki, to takiego antysowietyzmu nie widziałem nigdy wcześniej. Zaczęli mnie pytać: „Czy wiesz, co to Katyń? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co bolszewicy zrobili z polskimi oficerami?”. Stalin byłby chyba mocno zdziwiony, widząc tę scenę.

Jakie miejsce ma zbrodnia katyńska w putinowskiej Rosji?

Jeżeli chodzi o oficjeli i propagandyistów, to obowiązuje milczenie. Nie ma tego tematu. Ale milczeć już trudno, odkąd w 2010 r., po tragedii smoleńskiej, w telewizji rosyjskiej pokazano „Katyń” Andrzeja Wajdy. Dzięki temu miliony Rosjan znają już prawdę na temat mordu na polskich oficerach. Szacuję, że mniej więcej co trzeci Rosjanin rozumie dziś, że Polacy zostali w Katyniu zamordowani z rozkazu Kremla. Niestety, najbardziej

skrajni propagandyści wciąż wracają do wersji Mierkułowa, a nawet oskarżają Polaków o krycie Niemców. Odkąd na Ukrainie toczy się gorąca wojna, takie głosy mogą tylko zyskiwać na popularności. Zbieram paskudne książki, które wychodzą w Rosji na ten temat. Można je kupić w Moskwie przy stacjach metra. Mam już 10 książek na temat tzw. kłamstwa katyńskiego. Ich autorzy przekonują, że skorumpowana prokuratura za Jelcyna wraz z Polakami wzięła na celownik wspaniałą historię Związku Sowieckiego i wielką wojnę ojczyźnianą.

Jeden z tych autorów, Jurij Muchin, to wręcz „apostoł” kłamstw na temat Katynia. Na 600 stronach swojej książki „Prawda o Katyniu” wypisał wszystkie najgorsze łgarstwa na ten temat. Na okładce gruby niemiecki żołnierz strzela w potylicę polskiego oficera. Muchin przedstawił w niej ponad 600 „dowodów” na winę Niemców! Przykładowo twierdzi on, że z powodów czysto praktycznych zbrodni tej nie mogli dokonać sowieccy funkcjonariusze. Dlaczego? Otóż Muchin twierdzi, że fizycznie nie dało się tyle osób zabić z sowieckich nagantów. Jego zdaniem tylko z porządnym niemieckim pistoletem można było zastrzelić tylu ludzi... Na szczęście bardzo niewielu rosyjskich historyków naukowców powieła kłamstwa Muchina, żywcem spisane z protokołów komisji Burdenki-Mierkułowa. Tak, jak mówiłem – w dzisiejszej Rosji najbezpieczniej jest po prostu milczeć na temat Katynia.

Jaki los spotkał architekta kłamstwa katyńskiego?

Wsiewołod Mierkułow, enkawudzysta z krwi i kości, zajmował się w swojej pracy takimi „brudami”, że zmiana władzy musiała dla niego oznaczać koniec. Po aresztowaniu Berii również Mierkułow został pozbawiony wolności, a następnie po krótkim procesie zastrzelony. Liczono najwyraźniej, że zabierze ze sobą do grobu m.in. tajemnice kłamstwa katyńskiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Mikołaj Iwanow
jest historykiem z Uniwersytetu Opolskiego, autorem wielu prac na temat historii Związku Sowieckiego. Jego najbardziej znaną książką jest „Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. »Operacja polska« 1937–1938”.

Fabryka śmierci NKWD



Piotr Zychowicz

Egzekucje nadzorowali „najlepsi specjaliści” z sowieckiej bezpieki. Ofiary były zabijane jak na fabrycznej taśmie

Na mnie zrobiło niesamowite wrażenie, gdy po raz pierwszy weszli do mnie do gabinetu. Błochin, Siniegubow i Kriwienko. »No chodźmy, zaczniemy, idziemy!« – zeznał w 1991 r. Dmitrij Tokariew, szef NKWD w Kalininie. – Tak więc poszliśmy. I wówczas zobaczyłem całą tę grozę. Błochin włożył swoją odzież specjalną: brązową skórzaną czapkę, długi skórzaną brązowy fartuch, skórzane brązowe rękawice z mankietami powyżej łokci. Na mnie wywarło to olbrzymie wrażenie. Zobaczyłem kata”.

Wasilij Błochin był najsłynniejszym katem sowieckiej bezpieki. Był to człowiek, który własnoręcznie zamordował co najmniej 10–15 tys. ludzi, wszystkich strzałem w tył czaszki. Najprawdopodobniej jest to światowy rekord do dzisiaj przez nikogo niepobity.

Wprawy w straszliwym katowskim rzemiośle Błochin nabrał podczas wewnętrznych sowieckich czystek wielkiego terroru w latach 1937–1938. To on był ostatnim człowiekiem, którego w życiu widzieli Lew Kamieniew, Grigorij Zinowjew, Michaił Tuchaczewski, Nikołaj Jeżow czy pisarz Izaak Babel. Błochin zamordował tysiące ludzi, którzy odegrali ważną historyczną rolę, a ich nazwiska trafiały na pierwsze strony gazet.

Nigdy nie zawiódł swoich morderców. Podobno cieszył się uznaniem samego Stalina. Dlatego właśnie to Błochinowi w kwietniu 1940 r. polecono wykonanie „brudnej roboty”, czyli eksterminację polskich jeńców.

Kierowane przez Błochina komando zabójców przyjechało z Moskwy do Kalininina – przed rewolucją noszącego nazwę Tweru – specjalną salonką. W jego skład oprócz Błochina wchodził Nikołaj Siniegubow i Michaił Kriwienko. Przywieźli ze sobą walizkę pełną pistoletów, amunicję i kilka skrzynek wódki. Praca, którą mieli wykonać, wymagała bowiem wypicia dużej ilości alkoholu. Mieli zamordować 6,3 tys. ludzi!



FOT. DOWIEDZA PUBLIZMA

Wkrótce w budynku NKWD przy ulicy Sowieckiej 6 rozpoczął się mord. Zabójcy działali w sposób metodyczny, spokojny, niczym na taśmie produkcyjnej. Polacy, żołnierze KOP, policjanci i żandarmi byli pojedynczo wywoływani z cel i przyprowadzani do tzw. świetlicy leninowskiej. Było to miejsce, w którym na ścianie wisiała sowiecka gazетка ścienna, znajdowało się popiersie pierwszego woźdza rewolucji i komunistyczna literatura.

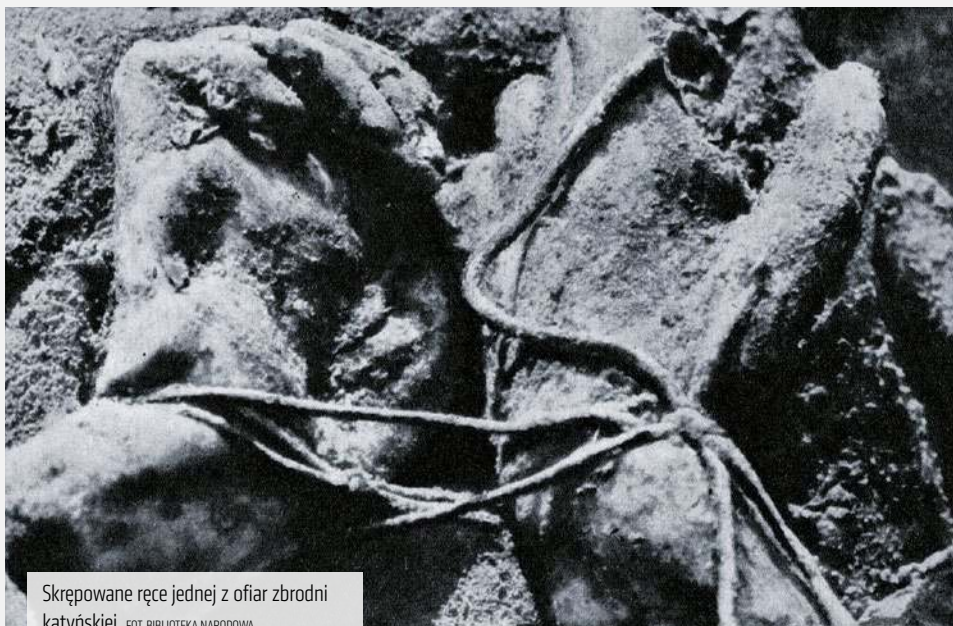
Tam nieszczęśników pytano o nazwisko, imię ojca i datę urodzenia. Następnie strażnik zakuwał ich ręce w kajdanki. Pojedynczo wyprowadzano ich do sąsiedniej celi, gdzie czekał kat. Po przekroczeniu drzwi morderca przystawiał ofierze lufę do potylicy i naciskał spust. Polak padał na ziemię, a w tym czasie do świetlicy leninowskiej prowadzono już następnego skazańca. Aby nie było słychać strzałów, Błochin kazał wyłożyć drzwi i ściany katowni grubą warstwą wołoku.

Mordy w Kalininie odbywały się nocą, jednorazowo zabijano ok. 250 ludzi. Pierwszej nocy pod lufy dostarczono 343 Polaków, ale okazało się, że było to za dużo. Ostatnich ludzi kaci musieli mordować w pośpiechu już przy świetle dziennym. Obniżono więc „dzienną normę” o 100. Cała operacja trwała ok. miesiąca. W sumie w Kalininie na spust naciskało ok. 30 ludzi. Wspomnianych trzech zawodowych zabójców z NKWD – Błochin, Siniegubow i Kriwienko – oraz pracownicy miejscowego NKWD.

NAGRODA ZA ZABIJANIE

Na krótko przed świtaniem, gdy zamordowano ostatniego Polaka, Błochin zbierał od zabójców pistolety i sprawdzał ich stan techniczny. Broń szybko się zużywała, dlatego właśnie oprawcy przywieźli całą walizkę waltherów. Następnie – jako nagrodę za dobrze wykonane zadanie – Błochin rozdawał wódkę i luksusową zakąskę. Najprawdopodobniej pito jednak zarówno przed zabijaniem, jak i w jego trakcie. Alkohol dawał znieczulenie, pozwalał stłumić grozę dokonywanego w piwnicach straszego mordu. Nad ranem wszyscy biorący udział w mordach brali się do usuwania ciał.

Były one wynoszone na podwórze więzienne, gdzie czekało już pięć lub sześć ciężarówek krytych brezentem (brezent ten później Błochin kazał spalić, a paki ciężarówek starannie wyszorować z krwi). Ciała wywożono do podmiejskiego lotniska Miednoje. Tam zwalano je do



Skrępowane ręce jednej z ofiar zbrodni katyńskiej FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

masowego grobu, wykopanego wcześniej przez koparkę Komsomolec.

Błochin i pozostali przybyli z Moskwy egzekutorzy po zakończeniu mordów na Polakach urządzili w swojej – stojącej na ślepych torze na stacji w Kalininie – salonce wystawny bankiet. Pito zimną wódkę, jedzono kawior.

Jak potoczyły się losy zabójców z Kalinina? Błochin został legendą sowieckiej bezpieki. W dowód uznania za dwudziestolecie służby dostał samochód osobowy M-20 Pobieda. Po śmierci Józefa Stalina Błochin przeszedł na emeryturę. Zmarł w 1955 r. na atak serca.

Jego dwaj pomocnicy zrobili zawrotną karierę. Nikołaj Siniegubow został wiceministrem kolejnictwa Związku Sowieckiego, a Michaił Kriwienko pełnił funkcję naczelnika sztabu Wojsk Konwojowych NKWD i szefa Głównego Zarządu ds. Jeńców Wojennych i Internowanych NKWD. Dmitrij Tokarijew pełnił kolejno funkcje ministra bezpieczeństwa w sowieckich republikach tadżyckiej i tatarskiej.

Nie wszyscy mordercy mogli jednak spać spokojnie. Kierowca Tokariewa, Nikołaj Sucharijew, w nagrodę za udział w mordowaniu Polaków otrzymał pistolet TT. Z tej broni wkrótce się zastrzelił. Samobójstwo popełnił również zastępca szefa kalinińskiego NKWD Wasilij Pawłow, a inny wysoki funkcjonariusz Andriej Rubanow postradał zmysły. Wielu zabójców popadło w ciężką chorobę alkoholową, która zakończyła się wydalaniem z „organów” i zgonem.

TOŻSAMOŚĆ ZBRODNIARZY

Znamy tożsamość niemal wszystkich ofiar zbrodni katyńskiej. Oficerów, poli-

cjantów, urzędników i innych przedstawicieli elit II RP. Wiemy niemal wszystko o zleceniodawcach mordu – Stalinie, Berii, Mołotowie, Woroszyłowie, Kaganowiczu, Kalininie i Mikojań. Ludziach, którzy podpisali się pod rozkazem wymordowania Polaków z 5 marca 1940 r.

Nadal jednak posiadamy niewiele informacji o katach – czyli ludziach, którzy wykonali wyrok wydany przez Stalina i innych członków sowieckiego politbiura.

Do niedawna znaliśmy właściwie tylko nazwiska części z nich. Badacze dotarli bowiem do rozkazu numer 001365 wydanego przez Berię po zakończeniu operacji katyńskiej, na mocy którego 125 funkcjonariuszy NKWD zostało nagrodzonych „za pomyślne wykonanie zadań specjalnych”.

Znakomity historyk rosyjski Nikita Pietrow wykonał mrówczą pracę i zidentyfikował niemal wszystkich wymienionych. Krótkie, opracowane przez Pietrowa biogramy znalazły się w książce „Psy Stalina”. Przeglądając je, można stwierdzić, że nie ma żadnej prawidłowości. Część katów po 1940 r. pięła się po szczeblach kariery w sowieckim aparacie przemocy, część wprost przeciwnie. Wegetowała na ostatnich stanowiskach lub po śmierci Stalina została poddana represjom przez nową sowiecką ekipę rządzącą.

Wśród morderców są ludzie różnego wykształcenia, rozmaitej pozycji zawodowej, rozmaitych narodowości – Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Żydzi, Polacy, przedstawiciele narodów wschodnich ZSRS – i rozmaitego wieku. Najstarszy na liście to Iwan Stelmach, komendant więzienia NKWD w Smoleńsku,

który w momencie mordów miał 58 lat. Dowodził rozstrzelaniami w Katyniu. Według niesprawdzonej informacji zmarł w męczarniach z powodu „strasznego bólu, który przeżerał mu wnętrzności”.

Najmłodsza na liście to Anna Iwanowna Razorienowa. W 1940 r. miała zaledwie 21 lat. Była maszynistką, która układała listy śmierci. Ideowa komunistka, z partii wystąpiła dopiero w 1990 r.

Jeszcze w latach 90., gdy łałamał się Związek Sowiecki, żyło wielu katyńskich oprawców. Do kilku z nich dotarł Oleg Zakirow, oficer KGB ze Smoleńska, który w okresie pierestrojki przeprowadził prywatne śledztwo na temat zbrodni na Polakach (został za to usunięty ze służby i musiał uciekać do Polski). W taki sposób Zakirow opisał spotkanie z Kiryłem Borodenką, do którego doszło w grudniu 1989 r.:

„Drzwi otworzył mi starzec, o oczach wodnistych, zimnych i wrogich. Wpuścił mnie do pokoju. Poczuję taki smród, że toaleta publiczna przegrałaby w porównaniu z nim. Zauważyłem w dolnej części brzucha gumową rurkę, którą mocz spływał do umocowanego niżej słoika po majonezie. Miałem przed sobą porzuconego przez wszystkich (także kolegów czekistów) weterana NKWD.

– Polskich oficerów w 1940 r. rozstrzelali koledzy: Iwan Stelmach, Gribow, Gwozdowski, Silczenkow.

Nazwisk pozostałych zapomniał. Raz się zapomniał i powiedział:

– Kiedy strzelaliśmy...

– To wy też strzelaliście? – zapytałem nie w porę.

Natychmiast się poprawił.

– Kiedy oni strzelali do polskich oficerów, to wypłacano im ze specjalnego tajnego konta pieniądze, poiono wódką. Była też dobra zakąska: jesiotr wędzony, luksusowe wędliny”.

NAD DOŁAMI ŚMIERCI

Stosunkowo największa – dzięki cytowanym powyżej szczegółowym zeznaniom Tokariewa – jest nasza wiedza o przebiegu eksterminacji polskich jeńców w Kalininie. Najwięcej znaków zapytania występuje natomiast w przypadku, wydawałoby się, najlepiej znanym. Czyli mordu na oficerach Wojska Polskiego, którzy zostali znaleźzeni w masowych mogiłach w Katyniu, letnisku NKWD położonym w pobliżu Smoleńska.

Najprawdopodobniej część ofiar zastrzelono nad dołami śmierci, a część

w podziemiach smoleńskiego NKWD przy ulicy Dierżyńskiego 13. Niewykluczone, że mordowanie w samym Katyniu zarzucono po tym, gdy jedna z ofiar wyrwała się oprawcom i długo biegła po lesie, wzywając pomocy. To właśnie w Katyniu znaleziono ciała pokłute bagnietami, oprawcy skrępowali również część polskich oficerów przy pomocy skomplikowanej pętli zaciśniętej wokół szyi i rąk. Wszelkie poruszenie dłońmi skutkowało podduszeniem.

Według jednej z wersji niektórzy oficerowie zostali uśmierceni w dacy NKWD na terenie Katynia. W momencie wykonywania egzekucji, aby stłumić odgłosy wystrzałów, zapuszczony miał być silnik traktora.

W zależności od miejsca istniały pewne różnice w sposobie uśmiercania. O ile zbrodniarze w Smoleńsku/Katyniu i w Kalininie strzelali ofiarom w potylicę, o tyle w Charkowie strzelali w kark – na wysokości dwóch–trzech pierwszych kręgów szyjnych. Robiono to pod kątem – w ten sposób, że kula przerywając kręgi, wychodziła okiem, jamą nosową lub ustami. „Zaletą” tego sposobu eksterminacji była mniejsza ilość krwi, która wypływała z rany.

Na kluczowych funkcjonariuszy zaangażowanych w „rozładowanie” obozów w Starobielsku, Ostaszkowie i Kozielsku posypał się deszcz sowieckich odznaczeń, wszyscy dostali premie. Osiemset rubli i równowartość jednej pensji.

W latach 1990–1992 rosyjska prokuratura przeprowadziła wiele przesłuchań Mitrofana Syromiatnikowa – kata z Charkowa. „Braliśmy szynele, czapki. Trzeba

było przecież przykrywać ich, trzeba było owijać czymś głowę. Rozumiecie. Żeby nie krwawiła. Owijaliśmy od razu po rozstrzelaniu. Braliśmy ich stamtąd i układaliśmy na samochodzie, na przemian. Jednego głową w jedną stronę, drugiego w przeciwną. I tak stopniowo, do brzegu” – opowiadał.

Ciała Polaków zamordowanych w więzieniu NKWD w Charkowie wywożone były do miejscowości Piatichatki, gdzie wrzucano je do dołów śmierci. Przed zasypianiem ziemią zamordowanych Polaków posypywano proszkiem, który miał przyspieszyć proces rozkładu.

Syromiatnikow w swoich zeznaniach ujawnił rzecz mrozącą krew w żyłach. Otóż w przeciwieństwie do Kalinina w Charkowie Polaków wyprowadzano z cel po kilku. Stali oni na korytarzu ze skrępowanymi rękami, oczekując na swoją kolej. Słyszeli strzały, którymi mordowano ich kolegów. Wszystko odbywało się taśmowo. Na specjalną komendę komendanta Timofiejewa Kuprija jedni strażnicy wprowadzali kolejnego Polaka, a inni wyciągali ciało z katowni.

Trudno sobie wyobrazić, jakie męki musieli przeżywać skazani.

BIAŁORUŚ I UKRAINA

Nie wiemy niemal nic o kulisach zamordowania polskich więźniów na sowieckiej Ukrainie i Białorusi. Czyli ludzi, których nazwiska znalazły się na tzw. liście ukraińskiej (3435 osób) i białoruskiej (3870 osób).

Jak pisze Nikita Pawłow, eksterminacji więźniów na Białorusi doglądał osobiście Wsiewołod Mierkułow, a na Ukrainie działał słynny czekista sadysta Borys Rodos. Człowiek, który podczas wielkiego terroru zasłynął stosowaniem niezwykle bestialskich metod przesłuchań.

Syn Rodosa w książce „Ja, syn kata” pisze, że ojciec niezwykle rzadko bywał w domu. „Budziłem się – jego już nie było, a gdy się kładłem, on jeszcze był w pracy. Wracał do domu koszmarnie zmęczony, wycieńczony i bardzo długo, co pół godziny, ciągle od nowa namydlał ręce, mył je w umywalce. Po same łokcie. Jak chirurg”.

W ramach zbrodni katyńskiej zamordowano ok. 22 tys. Polaków. Zabójców było grubo ponad 100. Byli to ludzie bardzo różni. Wszystkich jednak łączyło jedno – żaden z bolszewickich katów Polaków nie został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej za udział w zbrodni z 1940 r. Katyń pozostał zbrodnią bez kary.



Wasilij Blochin FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zbrodnia i kłamstwo



Radosław Wojtas

Pół wieku czekały rodziny ofiar zbrodni katyńskiej na przyznanie się Imperium Zła do winy i na okazanie choćby najmniejszej skruchy. Odwilż w sprawie Katynia nie trwała jednak długo. Rosja pod rządami zbrodniarza Władimira Putina wraca do dawnej, sowieckiej retoryki

Po tym, gdy 11 marca 1985 r. nadzwyczajne plenum KC wybrało Michaiła Gorbaczowa na sekretarza generalnego KC KPZR, w ręce tego 54-letniego wówczas aparatchyka partyjnego razem ze sterami Imperium Zła przekazano najważniejsze prerogatywy, kody do broni jądrowej oraz pilnie strzeżone tajemnice państwowe. Tajna, przechowywana w Archiwum KC KPZS tzw. teczka specjalna nr 1 kryła dowody – choć, jak dziś utrzymuje Rosja, nie są to dowody jednoznaczne – że za zbrodnię katyńską odpowiadają Sowietci.

Nowy przywódca ZSRS, chcąc ratować chwiejące się imperium, ogłaszał odcięcie się od swoich poprzedników, reformy, liberalizację życia w komunistycznym państwie, przebudowę systemu. Pieriestrojka odegrała dużą rolę także w dążeniu do prawdy o zbrodni katyńskiej, jednak musiało minąć aż pięć lat od objęcia władzy, by Gorbaczow przyznał wprost, kto ponosi odpowiedzialność za Katyń. Ruch Gorbaczowa trudno odczytywać jako akt dobrej woli. A jeśli już, to nie w kierunku rodzin katyńskich i wszystkich Polaków, ale raczej w stronę towarzyszy wciąż sprawujących nad Wisłą ważne funkcje.

13 kwietnia 1990 r. rosyjska Agencja TASS opublikowała komunikat, w którym przyznano wprost, że za zbrodnię katyńską odpowiedzialne jest NKWD. Z nazwiska wymieniono winnych: „Ujawnione materiały archiwalne w całości kształcie pozwalają na wniosek o bezpośredniej odpowiedzialności za zbrodnię w Lesie Katyńskim Berii, Mierkułowa i ich pomocników”.

Tego samego dnia przebywający u rosyjskich towarzyszy prezydent Wojciech Jaruzelski odebrał z rąk Michaiła Gorbaczowa kopie niektórych, wyselekcjonowanych dokumentów (m.in. wykaz akt ewidencyjnych jeńców wojennych, których wywieziono z obozu NKWD w Starobielsku, czy listy więźniów). Gorbaczow oficjalnie nakazał zbadanie zbrodni katyńskiej.

WYMUSZONE PRYZNANIE SIĘ DO WINY

Po pół wieku nieprzyznawania się do zbrodni katyńskiej najwyższe władze ZSRS uznały, że dalsze utrzymywanie tego stanowiska przyniesie im wyłącznie straty. Świat wiedział od dawna, kto pociągał za spust. W PRL kończył się czas milczenia. Rosnące

od lat 70. zainteresowanie Polaków sprawą Katynia w latach 80. osiągnęło apogeum. W roku 1978 powołano do życia, działający oczywiście nielegalnie, Instytut Katyński w Krakowie. Rok później w Warszawie z inicjatywy ks. Wacława Karłowicza i Stefana Melaka powstaje podziemny Komitet Katyński. Zaczynają zawiązywać się koła Rodzin Katyńskich. W drugim obiegu pojawia się coraz więcej książek demaskujących kłamstwa Rosjan.

Coraz częściej dochodzi do aktów sprzeciwu i prób upamiętniania ofiar. Z roku na rok przybywa okien, w których każdego 13 kwietnia zapala się świece. Są one nie tylko symbolicznym oddaniem hołdu ofiarom zbrodni, lecz także demonstracją wiedzy na temat Katynia. 31 lipca 1981 r. na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach za sprawą Komitetu Katyńskiego staje granitowy Krzyż Katyński ku czci zamordowanych (usunięty pierwszej nocy przez „nieznanych sprawców”). Najtragicznijszym aktem niezgody na kłamstwo był akt samospalenia byłego żołnierza Armii Krajowej Walentego Badyłaka.

W 1987 r. powstaje komisja polsko-rosyjska składająca się z polityków PZPR i KPZS, która podejmuje temat Katynia





FOT. ADRIAN STOK

i odrzuca sprawstwo Niemców. W roku 1989 r. pod wpływem publikacji wniosków polskich historyków zasiadających w komisji Jerzy Urban stwierdził publicznie, że zbrodni dokonali funkcjonariusze NKWD, jeszcze w tym samym roku, już w oficjalnym obiegu, zaczynają ukazywać się publikacje prezentujące ówczesną wiedzę na temat zbrodni katyńskiej. W dodatku zbliża się okrągła rocznica mordu w 1990 r.

– W Moskwie zauważono, że obstawanie przy „kłamstwie katyńskim” nie ma już sensu, że jest ono nie do utrzymania. Zrozumiano, że to przynosi więcej szkód. Przede wszystkim dezawuuje w oczach społeczeństwa polskiego ludzi lojalnych wobec Moskwy, którzy w dalszym ciągu zajmowali ważne funkcje i mieli udział we władzy, jak chociażby I sekretarz, a później prezydent Wojciech Jaruzelski, minister Kiszczak i tak dalej – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” dr hab. Witold Wasilewski, historyk specjalizujący się w dziejach nowożytnych, w tym zwłaszcza w zbrodni katyńskiej. – W dokumentach motyw ten jest potwierdzony. Kierownik Wydziału Międzynarodowego Komitetu Centralnego KPZS Walentin Falin ostrzegał w marcu 1989 r. kierownictwo sowieckie, że opozy-

cja w Polsce będzie posługiwać się sprawą katyńską, osłabiając pozycję Jaruzelskiego. Chodziło o to, aby mógł on zadośćuczynić żądaniom społecznym. Moskwa spodziewała się też wyjątkowo napiętej sytuacji już w związku z 50. rocznicą rozpoczęcia drugiej wojny, a później zbrodni. W marcu 1990 r. stwierdzono, zapewne zgodnie z sugestią Kiszczaka, że najlepszym rozwiązaniem będzie wręczenie pierwszych ujawnianych dokumentów Jaruzelskiemu, bo to wzmocni jego pozycję – dodaje.

Ludzie, którzy potrafili czytać między wierszami, natychmiast dostrzegają drugie dno. Badacz zbrodni komunistycznych Leonid Pocziwałow stwierdza, że przyznanie się do winy było wyartykułowane „tak jakby przez zęby”. „Od naszego prezydenta Michała Gorbaczowa można było oczekiwać większej emocji. Przecież po pomordowanych zostały rodziny, bliscy... Oni czekali na takie słowa” – dodaje.

Nie myli się. Szybko okazuje się, że Michał Gorbaczow jedną ręką wręcza pierwsze dokumenty w sprawie Katynia, a drugą wymierza Polakom policzek. We wrześniu 1990 r. Naczelną Prokuraturę Wojskową ZSRS podjęła śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej, ruszyły ekshumacje, a już na początku listopada Gorbaczow uruchomił maszynę mającą „równoważyć” Katyń. Rozporządzeniem z 3 listopada 1990 r. nakazał zbieranie archiwaliów dokumentujących wydarzenia z historii, w których Sowietci mogli być ofiarami strony polskiej. Informacje te miały na celu osłabienie komunikatu Agencji TASS i stworzenie przeciwwagi do zbrodni dokonanej na Polakach. Tak powstał mit tzw. Anty-Katynia.

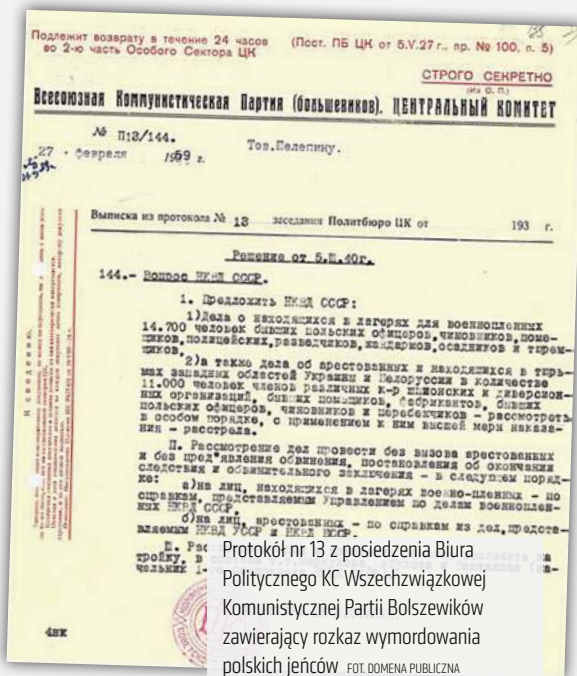
CHWILOWA ODWILŻ?

Po upadku ZSRS duży krok w sprawie Katynia wykonał Borys Jelcyń. Po poleceniu rosyjskiego prezydenta 14 października 1992 r. dyrektor Archiwum Państwowego Federacji Rosyjskiej prof. Rudolf Pichoją przekazał ówczesnemu prezydentowi RP Lechowi Wałęsie kopie dokumentów z tzw. pakietu specjalnego nr 1. Była wśród nich m.in. „Decyzja Katyńska” Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Ławrientija Berii z 5 marca 1940 r., nakazująca dokonanie zbrodni na polskich jeńcach

wojennych i więźniach, podpisana przez Stalina, Woroszyłowa, Mołotowa, Mikołajana, Kalinina oraz Kaganowicza. W dokumencie tym Beria nazywa wymienionych Polaków „[...] zawziętymi wrogami władzy sowieckiej”, żąda rozpatrzenia ich sprawy „[...] bez wzywania aresztowanych i bez przedstawiania zarzutów, decyzji o zakończeniu śledztwa i aktu oskarżenia” oraz „[...] z zastosowaniem wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania”.

Wśród przekazanych dokumentów była także kopia notatki szefa KGB Aleksandra Szeleпина z 3 marca 1959 r. Znalazła się w niej informacja o wymordowaniu na podstawie decyzji z 5 marca 1940 r. 21 857 polskich jeńców wojennych. Szelepin proponuje w niej I sekretarzowi Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego Nikicie Chruszczowowi zniszczenie teczek personalnych Polaków zamordowanych przez NKWD w 1940 r.

2 sierpnia 1993 r. ukazał się raport końcowy ekspertów działających przy Głównej Prokuraturze Wojskowej Federacji Rosyjskiej. Napisano w nim m.in.: „Zamordowanie w kwietniu–maju 1940 r. 14 522 jeńców z kozielskiego, starobielskiego i ostaszkowskiego obozu Zarządów NKWD obwodów smoleńskiego, kalinińskiego i charkowskiego oraz w tym samym czasie 7305 więźniów z aresztów śledczych NKWD Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, po którym nastąpiła masowa deportacja ich rodzin w głąb ZSRS, było najcięższą zbrodnią



przeciwko pokojowi, przeciwko ludzkości”. Oraz: „[winni] powinni ponieść odpowiedzialność sądową zgodnie z wewnętrznym ustawodawstwem za bezprawne nadużycie władzy – art. 171 kk RSFSR z 1929 r. – które doprowadziło do umyślnego zabójstwa – art. 102 kk RSFSR – na szczególnie wielką skalę, co powinno być traktowane jako ludobójstwo”.

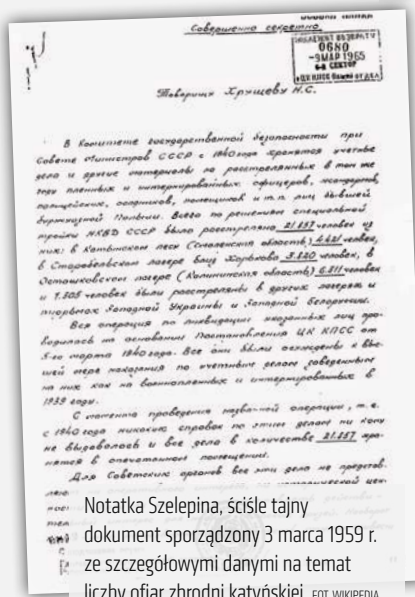
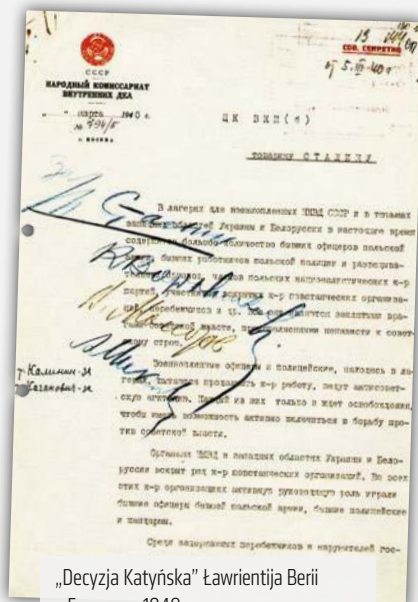
25 sierpnia 1993 r., podczas wizyty w Polsce, Borys Jelcyń złożył kwiaty pod Krzyżem Katyńskim na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. – Niewątpliwie Borys Jelcyń prowadził inną politykę niż jego poprzednicy, o czym świadczyło m.in. ujawnienie dokumentów z „pakietu specjalnego nr 1”. Chciał się rozliczyć z systemem komunistycznym, odciąć się od niego, trochę na takiej zasadzie, jak Chruszczow od stalinizmu. Była to jedyna próba dekomunizacji Rosji i na potrzeby tego procesu nastąpiło otwarcie niektórych archiwów – mówi dr hab. Witold Wasilewski.

Jednak rosyjskie śledztwo przez kolejne lata w zasadzie nie posuwało się naprzód. Nie uznano zbrodni katyńskiej za ludobójstwo, nikomu nie postawiono zarzutów. 21 września 2004 r. zostało ono umorzone. Po katastrofie smoleńskiej, w maju 2010 r., prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew przekazał wykonującemu obowiązki prezydenta marszałkowi Sejmu Bronisławowi Komorowskiemu 67 tomów akt śledztwa prowadzonego przez 14 lat przez Główną Prokuraturę Wojskową Federacji Rosyjskiej. Sto szesnaście tomów pozostało niejawnych. „Niewykluczone, że akta śledztwa w sprawie rozstrzelania polskich oficerów w ZSRS w 1940 r. nigdy nie zostaną odtajnione” – poinformowała agencja Interfax dwa lata później.

BIAŁE PLAMY

W sprawie Katynia wciąż nie udało się pozbyć wielu białych plam. Strona rosyjska nie ujawnia większości dokumentów. Nie wiemy nawet, czy zalecenia Szelepina z 1959 r. doczekały się realizacji i teczki polskich oficerów zostały zniszczone.

Jednymi z największych białych plam pozostają liczba ofiar i miejsca pochówku zamordowanych w więzieniach tzw. Zachodniej Białorusi. W tej samej uchwale politbiura NKWD ZSRS z 5 marca 1940 r., w której polecono rozstrzelać 14,7 tys. jeńców, zdecydowano również o likwidacji 11 tys. więźniów przetrzymywanych w więzieniach w tzw. zachodnich obwodach Ukrainy i Białorusi. Liczby dotyczące tzw. listy ukraińskiej są znane, ale w przy-



padku tzw. listy białoruskiej wciąż toczą się dyskusje. Szacuje się, że 3870 obywateli polskich zamordowano w więzieniu w Mińsku, a następnie pochowano w pobliskich Kuropatach. Nie są to jednak informacje potwierdzone. Do dziś żyją rodziny, które nie znają losów swoich bliskich. Nie wiedzą, ani kiedy zostali oni zamordowani, ani gdzie ich pochowano.

PRYKRYĆ KŁAMSTWA ZBRODNIARZA

Od lat niechęć Rosji do wypełnienia białych plam w sprawie zbrodni katyńskiej jest coraz bardziej wyraźna. Umorzenie śledztwa, nieprzyznanie, że za zbrodnię odpowiedzialność ponosi także Józef Stalin, nieudostępnienie stronie polskiej dokumentów, a w ostatnich latach powrót do przedjelcynowskiej retoryki pozwalają wyciągnąć przypuszczenie graniczące z pewnością, że w sprawie Katynia Rosja nie wykaże dobrej woli dopódy, dopóki na czele rosyjskiego reżimu stoi zbrodniarz wojenny Władimir Putin lub ludzie z jego otoczenia.

Wyraźny zwrot w podejściu do sprawy zbrodni katyńskiej widoczny jest od dawna. Dwa lata po tym, gdy w 2004 r. Federacja Rosyjska odmówiła uznania zbrodni katyńskiej za akt ludobójstwa, Generalna Prokuratura Wojskowa Rosji oświadczyła, że ofiary zbrodni katyńskiej nie były ofiarami represji stalinowskich. Rosja odmówiła zatem uznania zbrodni katyńskiej za mord masowy w świetle prawa międzynarodowego i wewnętrznego. Co więcej, reżim putinowski podejmował działania mające na celu wybielenie roli ZSRS, zmniejszając rangę zbrodni katyńskiej, a nawet ponownie lansując tezę o sprawstwie Niemców.

– Można powiedzieć, że już w połowie lat 90. reaktywatorzy kłamstwa katyńskiego, tacy jak Jurij Muchin, stwierdzili, że można w jeszcze bardziej niż dotychczas bezczelny sposób kłamać. Przeczyli nawet ujawnionym niedługo wcześniej dokumentom. Wrócili do starego kłamstwa, wzbogaconego o rzekomy antyrosyjski spisek Zachodu w sprawie katyńskiej i wewnętrznych zdrajców z przełomu lat 80. i 90., ponownie głosząc zarówno w Rosji, jak i w świecie wersję, że to jednak Niemcy mordowali – mówi dr hab. Witold Wasilewski.

Zadaniem Polski jest, by kłamstwa zbrodniczego reżimu Putina nie przykryły prawdy, o którą przez pół wieku walczyli Polacy. I za którą wielu zapłaciło najwyższą cenę. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Moskwa 13 kwietnia 1990 r. Prezydent Związku Sowieckiego Michaił Siergiejewicz Gorbaczow przekazuje kopie dokumentów zbrodni katyńskiej Wojciechowi Jaruzelskiemu

FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/PAP

Anty-Katyń Gorbaczowa



Maciej Pieczyński

Rosjanie przyznali się do zbrodni w Katyniu, a nawet za nią przeprosili. Wpisali ją jednak w fałszywy obraz symetrii win. Mord na polskich oficerach miał być rzekomo słusznym odwetem za „ludobójstwo”, którego nie było

W Związku Sowieckim przez pół wieku obowiązywała wersja o niemieckiej odpowiedzialności. Aż w opublikowanym 13 kwietnia 1990 r. komunikacie agencji TASS ogłoszono, że ujawnione „w ostatnim czasie” materiały „pozwalają na wniosek o bezpośredniej odpowiedzialności za zbrodnię katyńską” kierownictwa NKWD. Kreml postanowił jednak od razu zminimalizować straty wizerunkowe. Prezydent Michaił Gorbaczow polecił Akademii Nauk, prokuraturze, ministerstwu obrony i KBG, aby do 1 kwietnia 1991 r. wspólnie z innymi instytucjami państwowymi odnalazły w archiwach dowody na zbrodnie dokonane przez Polaków na obywatelach sowieckich. Dane te miały zostać „w razie konieczności” wykorzystane w rozmowach z Warszawą o problematyce „białych plam”.

Ostatni przywódca ZSRS, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, cieszący się na

■ Zachodzie ogromnym szacunkiem oraz opinią demokracji, liberała, przeciwnika cenzury, nie zamierzał zwyczajnie, bez żadnych zastrzeżeń, przyznać, że Sowietci mordowali Polaków. Gorbaczow postanowił zbudować fałszywą symetrię win. Pokazać, że również Polacy byli zbrodniarzami. Właśnie w okresie, gdy w Rosji panowała być może największa w dziejach wolność słowa, powstała fałszująca historię propagandowa koncepcja, znana jako anty-Katyń.

Dość szybko uznano, że idealną bronią do uderzenia w Polskę w kontekście pamięci historycznej może się okazać opowieść o tragedii jeńców sowieckich, wziętych do niewoli podczas wojny polsko-bolszewickiej. Jako „dowód” zbrodni wykorzystano protokoły rozmów pokojowych prowadzonych w Rydze.

Strona polska nie zamierzała jednak zadowalać się przeprosinami, lakonicznie wyrażonymi w komunikacie agencji TASS. Warszawa dążyła do ukarania sprawców zbrodni. I właśnie wtedy Rosja rządzona przez Jelcyna, podobnie jak Gorbaczow mylnie uważanego przez Zachód za liberalnego demokratę, użyła pałki anty-Katynia. Gdy Polska zażądała wszczęcia śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej, strona rosyjska odpowiedziała żądaniem wszczęcia śledztwa w sprawie losu sowieckich jeńców w polskiej niewoli. Tragedię czerwonoarmistów Moskwa wprost nazwała „ludobójstwem” dokonany na rozkaz polskich władz. Prokurator generalna Hanna Suchocka zaprotestowała przeciwko takiej kwalifikacji czynu. Argumentowała, że w odróżnieniu od

zmarło w polskich obozach głównie na choroby zakaźne lub z powodu fatalnych warunków bytowych. Pozostali zaciągnęli się do rosyjskich, białoruskich i ukraińskich formacji wojskowych, walczących z bolszewikami w sojuszu z Polską.

Brak dowodów na rzekome polskie ludobójstwo nie przeszkodził Rosjanom w dalszym propagowaniu bezpodstawnych oskarżeń. W 2005 r. zastępca sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej stwierdził, że jeśli Polska oczekuje przeprosin za Katyń, to najpierw sama powinna przeprosić za śmierć dziesiątek tysięcy czerwonoarmistów, którzy zginęli w polskich obozach koncentracyjnych. W kwietniu 2010 r., tuż przed uroczystościami katyńskimi oraz katastrofą smoleńską, Filip Igumen z wydziału kontaktów zagranicznych Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przyznał, że reżim Stalina odpowiada zarówno za zbrodnie na własnym narodzie, jak i za mord na polskich oficerach. Dodał jednak, że zbrodnią należy nazwać również to, co Polacy zrobili jeńcom sowieckim w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Gdy kilka miesięcy później deputowani do Dumy dyskutowali nad tekstem rezolucji potępiającej mord w Katyniu, jeden z działaczy Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej zaproponował, by ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew zażądał od Polaków wyjaśnień w sprawie losu rzekomo zabitych w niewoli czerwonoarmistów. W grudniu 2010 r. Miedwiediew spełnił ten postulat, mówiąc podczas wizyty w Polsce nie tylko o Katyniu, lecz także o jeńcach sowieckich, którzy „zginęli” w niewoli.

Gdy Polska zażądała wszczęcia śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej, strona rosyjska odpowiedziała żądaniem wszczęcia śledztwa w sprawie losu sowieckich jeńców w polskiej niewoli.

Tragedię czerwonoarmistów Moskwa nazwała „ludobójstwem”

Przedstawiciel sowieckiej delegacji Adolf Joffe stwierdził wtedy, że w polskich obozach jenieckich zmarło ok. 60 tys. czerwonoarmistów. O ich tragicznej sytuacji raportowała Stefania Sempołowska z Rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Operacja dezinformacyjna anty-Katyn ruszyła więc już na początku lat 90. Opracowana na polecenie Kremla narracja brzmiała mniej więcej następująco: Polacy dokonali masowego ludobójstwa na jeńcach sowieckich w czasie wojny lat 1919–1921, a mord w Katyniu był jedynie zemstą. I to zemstą nie tylko ogólnie na państwie polskim, lecz także na konkretnych sprawcach. Przekonywano, że w Katyniu rozstrzelano właśnie tych oficerów, którzy 20 lat wcześniej mordowali czerwonoarmistów. Tę tezę forsowali zarówno poważni historycy, eksperci ds. wojskowości, jak i publicyści czy dziennikarze. Polskie obozy jenieckie nazywano „obozami koncentracyjnymi” lub „obozami śmierci”, co wywoływało oczywiście skojarzenia ze zbrodniami hitlerowskimi.

PAŁKA JELCYN

Dwa lata po przyznaniu się do winy Polskę oficjalnie przeprosił Boris Jelcyn.

winnych zbrodni katyńskiej Sowietów Polacy nie stosowali żadnych specjalnych środków, które miałyby doprowadzić do zagłady jeńców. Zaproponowała również Rosjanom, aby sami przeprowadzili kwerendę w polskich archiwach i na własne oczy przekonali się, że nie ma żadnego rozkazu likwidacji czerwonoarmistów. Przez kilka lat nie było odpowiedzi na tę propozycję.

Rosjanie postanowili jednak w końcu poszukać argumentów na rzecz swojej narracji również nad Wisłą. W 2002 r. z inicjatywy Władimira Putina powstał zespół historyków z obu krajów. Rosyjscy badacze przeanalizowali kilka tysięcy dokumentów w polskich archiwach, do których mieli nieograniczony dostęp. Uważna, żmudna lektura dokumentów nie przyniosła oczekiwanych na Kremlu propagandowych rezultatów. Historycy rosyjscy nie znaleźli dowodów na to, że do śmierci czerwonoarmistów doszło wskutek odgórnie zaplanowanej, zorganizowanej akcji polskich władz. Z ich ustaleń wynikało, że spośród 115 tys. jeńców sowieckich, wziętych do polskiej niewoli w latach 1919–1920, 67 tys. wróciło do Rosji w ramach wymiany jeńców, a ok. tysiąca pozostało w Polsce. Niecałe 19 tys.

ZEMSTA STALINA

Władimir Putin niezmiennie się w tę narrację wpisywał. W 2001 r. stwierdził publicznie, że należy, co prawda, pamiętać o sowieckiej odpowiedzialności za Katyń, ale jednocześnie nie można zapominać o „polskich obozach koncentracyjnych w Tucholi i Puławach, Strzałkowie i Baranowiczach, gdzie [...] barbarzyńsko wymordowano 80 tys. wziętych do niewoli czerwonoarmistów i gdzie stosowano tortury przerastające swym okrucieństwem te, które uprawiali zbrodniarze w Oświęcimiu”. Do sprawy tej Putin odniósł się również podczas obchodów 70. rocznicy Katynia, 7 kwietnia 2010 r. „Wstyd się przyznać, ale nie wiedziałem, że w 1920 r. w wojnie polsko-sowieckiej dowodził osobiście Stalin [...]”. I wówczas,

jak wiadomo, Armia Czerwona poniosła porażkę. Do niewoli zostało wziętych wielu czerwonoarmistów. Według ostatnich danych z głodu i chorób w polskiej niewoli zmarło ich 32 tys. [...] Przepuszczam, powtarzam, to moje osobiste zdanie, że Stalin czuł osobistą odpowiedzialność za tę tragedię. I, po drugie, rozkazał wykonać tę egzekucję, powodowany poczuciem zemsty” – powiedział Putin na wspólnej z Donaldem Tuskiem konferencji prasowej. Dodał jednak przy tym, że nawet jeśli Stalin kierował się uczuciem zemsty, to nie sprawia to, iż zbrodniczy akt staje się mniej zbrodniczy. „Przez dziesięciolecia cynicznych kłamstw próbowano ukryć prawdę o katyńskich egzekucjach, ale byłoby takim samym kłamstwem zrzucać odpowiedzialność za te zbrodnie na naród rosyjski” – zaznaczył ówczesny rosyjski premier.

„Katyńska zemsta Stalina” – artykuł pod takim tytułem ukazał się w lutym 2011 r. na łamach „Komsomolskiej Prawdy”, najpoczytniejszej gazety w Rosji, ulubionej bulwarówki Putina. Autor, pisarz i publicysta Nikołaj Dobriucha przekonywał, że klęskę w wojnie z Polską Stalin odebrał jako swoją osobistą porażkę. „Ścisłe rzecz ujmując, to starcie przegrał przyszły marszałek Tuchaczewski pod wojskowym zwierzchnictwem Trockiego, jednak pod względem politycznym nadzieje na zwycięstwo w tej wojnie Lenin (jako szef sowieckiego rządu) wiązał w pierwszej kolejności ze Stalinem. Mało tego, że Polacy podbili wówczas istotną część rosyjskiego terytorium. Jeszcze większą tragedią był fakt, że białopolacy wzięli do niewoli dziesiątki tysięcy najwierniejszych Stalinowi »czerwonych opriczników« (w tym z 1. Armii Konnej Budionnego), skazując ich na męczeńską śmierć w obozach koncentracyjnych” – przekonywał Dobriucha.

Pisząc o „istotnej części rosyjskiego terytorium” podbitym przez Polaków, publicysta miał na myśli Kresy Wschodnie, które Rosja Sowiecka traktowała jako swoją własność, należną jej w spadku po imperium carów. Dobriucha stwierdził, zgodnie z obmyśloną jeszcze w latach 90. narracją, że „w Katyniu rozstrzelani zostali przede wszystkim oficerowie i żandarmi, którzy przejawiali sadyzm wobec obywateli sowieckich w latach 1919–1922”. NKWD, kierując się kluczem klasowym, oszczędziło za to zwykłych żołnierzy. Według autora, „Stalin nie byłby sobą, gdyby zapomniał

W historii anty-Katynia fałszywa jest nie tylko teza o tym, że Polacy mordowali jeńców, lecz także przekonanie, że Katyń mógł być aktem odwetu. Czerwonoarmistów, którzy dostali się do niewoli, Stalin traktował jako zdrajców

polskim oficerom, z jakim zezwierzęceniem znęcali się nad jego towarzyszami broni. Ma się rozumieć, że tych fałszywych oficerów powinien sądzić sam polski naród, nie zaś NKWD. Ma do tego zresztą dziś pełne prawo! Tym bardziej że Rosja dała przykład, przepraszając za swoje zbrodnie, budując miejsce pamięci w Katyniu. Rosja już się pokajała. I kaja się dalej. Teraz czas na Polskę!”

Pomimo prób relatywizowania zbrodni i rozmywania odpowiedzialności za nią w Gniezdowie niedaleko Katynia w latach 1999–2000 powstał Polski Cmentarz Wojenny, na którym co roku odbywały się uroczystości rocznicowe z udziałem przedstawicieli polskich władz. Jednak w 2017 r. nawet tam dotarła antykatyńska narracja. Tuż przed kolejnymi obchodami na terenie nekropolii Rosjanie ustawili tablice „informacyjne”, poświęcone „tragicznym faktom z okresu wojny polsko-sowieckiej”. „Jak zaświadcza sprawozdania Czerwonego Krzyża, raporty i relacje polskich władz, świadectwa Amerykańskiego Stowarzyszenia Młodzieży Chrześcijańskiej oraz inne dokumenty, warunki utrzymania jeńców w obozach były koszmarnie. Wilgotne i niedocieplone baraki i półziemianki, złe i nieregularne żywienie, brak obuwia i odzieży, choroby zakaźne, brutalne i okrutne traktowanie jeńców, samowola administracji obozowej – to wszystko doprowadziło do zagłady dziesiątek tysięcy czerwonoarmistów” – głosiła treść tablic.

KŁAMSTWA MUCHINA

W lutym 2018 r. zastępca przewodniczącego komisji spraw zagranicznych Dumy Dmitrij Nowikow napisał obszerny esej, w którym udawał, że niepodległa Polska powstała dzięki Rosji. Przeanalizował dzieje obu krajów. Stwierdził m.in., że gdyby nie „złodziejskie” postanowienia traktatu ryskiego (w ich wyniku Rosja została „okradziona” z ziem włączonych do Polski), historia wzajemnych relacji potoczyłaby się zupełnie inaczej. Wówczas „nie byłby potrzebny pakt Ribbentrop-Mołotow ani

Marsz Wyzwoleńcy Armii Czerwonej [czyli napaść ZSRS na Polskę 17 września 1939 r. – przyp. red.]. Nie doszłoby do tragedii katyńskiej, której korzeni należy szukać w polskich obozach śmierci dla czerwonoarmistów”.

Warto dodać, że poza głównym nurtem opinii publicznej w Rosji pojawiają się głosy już nie tyle relatywizujące, ile negujące sowiecką winę za Katyń. Najbardziej znanym ich przedstawicielem jest Jurij Muchin, z zawodu inżynier metalurg, z zamiłowania – stalinista i autor „demarkatorskich” książek pseudohistorycznych, w których „udowadnia”, że do polskich oficerów jednak strzelali Niemcy. To margines, ale coraz szerszy. Kreml oficjalnie nie popiera też negacjonistów, ale powracający w ostatnich latach i po cichu akceptowany przez władze kult Stalina sprawia, że negacjonizm katyński zyskuje na znaczeniu. Część radykałów, takich jak stalinista Aleksandr Prochanow, nie tyle kwestionuje winę ZSRS, ile uważa za wielki błąd przyznanie się do niej.

Tak czy inaczej, dominująca narracja pozostaje taka sama – Katyń to zbrodnia sowiecka, ale dokonana w zemście za polskie zbrodnie. A zemsta z reguły jest sprawiedliwa. Oficjalny przekaz Moskwy sugeruje więc, że „ludobójstwo” na jeńcach sowieckich było wręcz czymś gorszym moralnie niż Katyń. To Polacy „pierwsi rzucili kamieniem”, to oni są winni. Tyle że w historii anty-Katynia fałszywa jest nie tylko teza o tym, że Polacy mordowali jeńców, lecz także przekonanie, że Katyń mógł być aktem odwetu. Czerwonoarmistów, którzy dostali się do niewoli, Stalin traktował jako zdrajców. Tak było nie tylko w czasie drugiej wojny światowej. Jak ustalili historycy ze stowarzyszenia Memoriał, jeńcy sowieccy, którzy wrócili z polskich „obozów śmierci” do ZSRS, zostali oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Polski. Poddano ich represjom w ramach tzw. operacji polskiej NKWD. Rzeczywiście, Stalin zemścił się za osobistą porażkę 1920 r. Ale nie na polskich oficerach, tylko na własnych żołnierzach.

Jednym z mitów założycielskich PRL było „kłamstwo katyńskie”. Władze narzucone Polsce przez Moskwę na każdy możliwy sposób blokowały prawdę – początkowo przerzucały odpowiedzialność za zamordowanie ok. 22 tys. oficerów, lekarzy, nauczycieli i kapłanów na Niemców (w okresie stalinowskim); podejmowano próby negocjowania mordu, ostatecznie uznano, że pamięć o ofiarach trzeba wymazać i zamilczeć. I choć częściowo komunistyczne metody odnosiły skutek, to dzięki grupie odważnych ludzi ofiary nie zostały zapomniane. Dziś nikt nie ma wątpliwości, kto odpowiada za wymordowanie polskiej elity, a pamięć przekazywana jest nowym pokoleniom.

W latach 1945–1946 udawało się publikować w prasie, np. w dziale z drobnymi ogłoszeniami, krótkie informacje o zaginionych polskich oficerach, którzy trafili do obozów w Starobielsku, Kozielsku oraz Ostaszkowie. W lipcu 1945 r. w „Dzienniku Zachodnim” ukazało się ogłoszenie o następującej treści: „Halszka Kuźdrowska poszukuje męża Kazimierza, który przebywał w Starobielsku do kwietnia 1940 r. Ktoby cokolwiek wiedział o dalszym jego losie, proszony jest o wiadomość na adres Opole, Krakowska 33”. Odniesień do zbrodni nie zabrakło także podczas referendum z czerwca 1946 r. i wyborów ze stycznia 1947 r. Na budynkach i słupach pojawiały się wtedy poświęcone Katyńowi plakaty i ulotki. Polacy, mimo propagandy władz, wiedzieli, kto jest winien zbrodni. Oczywiście aparat komunistyczny z całą surowością karał za te „przestępstwa szczególnie niebezpieczne w okresie odbudowy państwa” (na mocy art. 22 dekretu z 13 czerwca 1946 r.). To jednak nie zrażało patriotów.

Za prawdę o sowieckim mordzie z 1940 r. szło się do więzienia. W ten sposób skazano m.in. o. Tadeusza Ruska i ks. Leona Musielaka (więźnia Kozielska), którzy głośno mówili o prawdziwych winnych zbrodni. Za kratki wsadzano także działaczy organizacji młodzieżowych. Jako przykład można przytoczyć Białych Banitów z Wrześni. Kolportowali oni ulotki o takiej treści: „Bracia Rodacy, dnia 5 marca minęła rocznica śmierci kata polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. Zastępcą jego jest Malenkow. Podziemie”. Do więzienia trafiali też nauczyciele, którzy zdecydowali się przekazywać swoim uczniom prawdę. Cenę w wysokości pięciu lat więzienia zapłaciła Maria Odyniec, nauczycielka Zasadniczej Szkoły Budowy



XIV Katyński Marsz Cieni, Warszawa, 19 września 2021 r. FOT. SŁAWEK KASPER/IPN

Katyń

– pamięć wczoraj i dziś



Zuzanna Dąbrowska

W PRL za upamiętnianie ofiar zbrodni katyńskiej można było trafić do więzienia. Dziś Polacy licznie biorą udział w biegach i koncertach przypominających o tym tragicznym dla naszego narodu wydarzeniu. Jak zmieniał się sposób podtrzymywania pamięci o polskiej elicie wymordowanej w 1940 r. przez rosyjskie NKWD?

Okrętów w Gdyni przy Stoczni im. Komuny Paryskiej. Szykanowane były też rzecz jasna rodziny pomordowanych w Katyniu (w 1993 r. zrzeszyły się w ramach Federacji Rodzin Katyńskich).

W okresie PRL polską elitę upamiętniano najczęściej na murach i poprzez ulotki. Od marca 1968 r. masowo malowano na

murach hasła antykomunistyczne, w tym: „Pomścimy Katyń”. Wcześniej, w październiku 1967 r., z okazji rocznicy rewolucji bolszewickiej, w Strzegomiu ktoś wykonał napis na jednym z murów: „50 lat rewolucji to 50 lat dyktatury, to masakra w Katyniu, Budapeszcie oraz Sybir”. Polacy nie chcieli i nie mogli zapomnieć.

W 1978 r. Adam Macedoński, Andrzej Kostrzewski i Stanisław Tor założyli w Krakowie Instytut Katyński, który wydawał „Biuletyn Katyński”. Dzięki pracy organizacji udało się przetłumaczyć z angielskiego, niemieckiego i rosyjskiego oraz przygotować do druku wiele dokumentów, wśród nich „Raport Komisji Specjalnej Kongresu Stanów Zjednoczonych do Zbadania Mordu w Katyniu”.

Temat zbrodni (która zgodnie z uchwałą polskiego Sejmu nosi znamiona ludobójstwa) był podnoszony przez rządzącą się opozycję antykomunistyczną. W 40. rocznicę mordu katyńskiego na terenie całego kraju upamiętniano ofiary. Odbywały się konferencje oraz prelekcje i mimo starań SB żadnego z wydarzeń nie udało się zablokować. Służby zatrzymały wtedy 72 osoby.

Już od lat 70. 1 listopada oraz 1 sierpnia w Dolince Katyńskiej na warszawskich Powązkach odbywały się nielegalne uroczystości patriotyczne poświęcone ofiarom zbrodni katyńskiej. W lipcu 1981 r. członkowie Komitetu Obywatelskiego Budowy Pomnika Katyńskiego (komitet powołali w 1979 r. ks. Wacław Karłowicz oraz Stefan Melak) ustawili w Dolince pierwszy w Polsce pomnik katyński. To kamienny, ponadczterometrowy krzyż z datą 1940 oraz tablicą z napisem „Katyń”, literami „WP” i orłem w koronie, a także ze słupkami z nazwami obozów. Jednak już tej samej nocy SB zdemontowała i wywoziła krzyż. Pomnik społeczny ustawiono ponownie w Dolince Katyńskiej w 1995 r. W 1988 r. na cmentarzu Rakowickim w Krakowie ustawiono z kolei wysoki na dwa metry brzozy krzyż, na którym zawieszono biało-czerwoną szarfę z napisem „Ofiarom mordu katyńskiego”.

Co niemniej ważne, w ciemnych czasach PRL prawdę o zbrodni przekazywano w rodzinach i Kościele. Duszpasterzem Rodzin Katyńskich był ks. Stefan Niedziela – zamordowany za swoją działalność w styczniu 1989 r. przez „nieznanych sprawców”. Rolę nie do przecenienia w walce o pamięć i prawdę odegrał też inny kapłan, ks. Zdzisław Peszkowski. 30 października 1988 r. odprawił on mszę św. pod Krzyżem Katyńskim. Przyrzekł wtedy, że „nie spocznie, dopóki w tym miejscu nie stanie cmentarz wojskowy i sanktuarium Miłosierdzia Bożego i Matki Bożej Pojednania”. Ksiądz Peszkowski brał udział w ekshumacjach pomordowanych polskich jeńców. W październiku 1989 r. wszedł w skład Rady Honorowej

Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej. Z inicjatywy kapłana rok 1995 został ogłoszony Rokiem Katyńskim. Ksiądz Zdzisław Peszkowski zaangażował się w powstanie cmentarzy wojskowych w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Dzięki jego pracy udało się postawić liczne pomniki i ustanowić miejsca pamięci ku czci zamordowanych oficerów, także poza granicami kraju.

Koniec PRL i wejście w erę III RP oznaczały wolność mówienia i pisania o zbrodni katyńskiej. Upamiętnianie zaczęło nabierać coraz bardziej instytucjonalnego charakteru. W 1993 r. na terenie Cytadeli w Warszawie otwarto Muzeum Katyńskie. Placówka gromadzi pamiątki po zamordowanych w Katyniu, Miednoje, Charkowie i Bykowni, wydobyte podczas prac ekshumacyjnych. Zbiory wzbogacają artefakty przekazane przez rodziny katyńskie.

Uchwałą z 14 listopada 2007 r. Sejm RP ustanowił przez aklamację dzień 13 kwietnia Dniem Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Jednocześnie Sejm i Senat podejmowały uchwały rocznicowe. 10 kwietnia 2010 r., z okazji 70. rocznicy mordu, do Katynia zmierzała delegacja z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Jej członkowie mieli uczcić pamięć pomordowanych. Jednak w wyniku katastrofy samolotowej wszyscy zginęli.

Każdego 13 kwietnia odbywają się obchody z udziałem najważniejszych osób w państwie. W miastach uroczystości organizują samorządowcy. Jednocześnie z biegiem czasu pojawiły się nowe formy upamiętniania pomordowanych polskich jeńców. Obok tradycyjnych pomników i tablic w ramach programu „Katyń... ocalić od zapomnienia” sadzone są Dęby Pamięci – każde z posadzonych drzew stanowi uczczenie konkretnego Polaka zamordowanego przez NKWD w Katyniu, Miednoje, Twerze lub Charkowie. W dziesiątkach miast i miejscowości organizowane są niezwykle popularne biegi katyńskie – biegają dzieci, dorośli i seniorzy, na symbolicznym dystansie 1940 m. O upamiętnianie pomordowanych dba Instytut Pamięci Narodowej. Każdego roku IPN przygotowuje szeroki program obchodów, za które odpowiadają oddziały wojewódzkie. I tak w tym roku sam tylko warszawski oddział IPN zorganizował 15 różnych wydarzeń – wśród nich wystawy, wykłady oraz koncerty. W szkołach przeprowadzane są lekcje tematyczne, a uczniowie otrzymują materiały edukacyjne. Na dzieci czekają też konkursy z nagrodami.

Fundacja Mówią Wieki, przy wsparciu MSZ, uruchomiła platformę multimedialną poświęconą zbrodni z 1940 r. Z zawartych na stronie www.katyn.eu materiałów można korzystać w językach polskim, angielskim i rosyjskim. W szerzenie wiedzy zaangażował się także Instytut Pileckiego – na czas nauki zdalnej spowodowanej pandemią instytucja przygotowała pakiet edukacyjny do wykorzystania przez nauczycieli. Pałac Prezydencki organizuje lekcje historii dla dzieci z całej Polski. Z inicjatywy marszałek Sejmu Elżbiety Witek od trzech lat odbywa się cieszący się dużym zainteresowaniem konkurs „Polskie serce pękło. Katyń 1940”. Młodzież szkolna może sprawdzić się w czterech kategoriach: literackiej, plastycznej, tekstualnej oraz na przygotowanie scenariusza lekcji.

Mniej obecną w naszej narodowej świadomości, a dokonaną również przez Rosjan w latach 40. zbrodnią jest „Mały Katyń”. Na przełomie lat 1944 i 1945 NKWD oraz żołnierze Informacji Wojskowej LWP mordowali w Kąkolewnicy żołnierzy formacji niepodległościowych oraz cywilów. W tym roku w uroczystościach upamiętniających ofiary wziął udział wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski. – Pamięć to jedna z najważniejszych rzeczy, którą możemy uczynić. To najważniejsza wartość w stosunku do tych, którzy oddali swoje życie, abyśmy mogli żyć w wolnym, suwerennym państwie. Organizatorzy tych uroczystości od lat kultywują tę pamięć, aby kształtować naszą tożsamość narodową i bronić wolności, suwerenności na przyszłość. Ostatnie tygodnie, miesiące pokazały, że historia się nie skończyła – powiedział minister Romanowski.

O upamiętnianie „Małego Katynia” dba społeczny komitet. – Czerwcową uroczystość gromadzi co roku ok. 300 uczestników: miejscowej ludności i rodzinom ofiar towarzyszą goście z całego województwa lubelskiego i całej Polski, a uroczystość od 2019 r. odbywa się pod patronatem prezydenta RP Andrzeja Dudy. Tutaj pamięć o ofiarach dramatu na uroczysku – które pod względem ludobójczej „rutyny” dorównuje zbrodni katyńskiej – ciągle trwa – mówi przewodnicząca komitetu dr Anna Jeleszuk. Jak podkreśla, kultywowanie pamięci to spełnienie moralnego obowiązku. – W ten sposób budujemy rzeczywistość pozwalającą rozwijać pasje poznawcze młodego pokolenia, a z takiej gleby wyrasta patriotyzm młodego pokolenia – dodaje.



Marek Jurek

Każda partia polityczna za granicą powinna prowadzić politykę Rzeczypospolitej. Tak nakazują racja stanu i porządek rzeczy, jeśli partia (zgodnie z nazwą) ma być częścią wspólnoty politycznej narodu, a nie grupą interesu wykorzystującą państwo. Tak zresztą jest w Niemczech. Fundacje partyjne, finansowane z federalnego budżetu, za granicą budują wpływy, które potem służą polityce Niemiec jako takiej. Są naprawdę e pluribus unum, ich pluralizm pozwala niemieckiej polityce na szerszy zasięg i oddziaływanie na podmioty, na które rządowi bezpośrednio wpływać byłoby trudno

Z tej perspektywy polityka Prawa i Sprawiedliwości wobec narodowo-konserwatywnych partii w Europie stanowi modelowy przykład realizacji racji stanu poprzez ideowe związki za granicą.

ŚLADAMI KSIĘCIA ADAMA

Od wielu lat powtarzałem, że fakt, iż Rosja, wykorzystując kryzys naszej cywilizacji, próbuje manipulować konserwatywną opinią na Zachodzie – to tylko powód, by podjąć politykę księcia Adama i zwalczać wpływy Rosji tam, gdzie chce sobie zbudować oparcie. Tym bardziej że polskie społeczeństwo dało autentyczne dowody zaangażowania i sukcesów w obronie cywilizacji chrześcijańskiej, w przeciwieństwie do zakłamaney krytyki zachodniego liberalizmu ze strony Moskwy. I to wyszło. Gdy w styczniu tego roku premier Morawiecki wziął udział w Madrycie w szczycie europejskiej prawicy – jego pierwszym sukcesem było wykluczenie Alternatywy dla Niemiec z tego porozumienia. AfD bowiem nie tyle stanowiła „alternatywę”,

ile radykalną wersję prorosyjskiej polityki Republiki Federalnej. I mimo że partia ta współpracowała na forum Parlamentu Europejskiego z częścią reprezentowanych tam partii – z planu szerszej współpracy została wyłączona. Polska partia rządząca potrafiła pokazać, że to ona definiuje kształt europejskiej prawicy. I dotyczyło to również polityki międzynarodowej.

Odbývająca się prawie miesiąc przed wybuchem wojny następna konferencja europejskiej prawicy zakończyła się deklaracją, że „działania wojskowe Rosji na wschodnich granicach Europy doprowadziły nas na skraj wojny”, więc „solidarność, determinacja i współpraca w dziedzinie obrony między narodami Europy są wobec takiego zagrożenia niezbędne”. Marine Le Pen, prowadząca wówczas kampanię prezydencką, jako

jedyna nie podpisała tego oświadczenia, od razu jednak zaznaczając, że nie chce tej deklaracji składać w chwili, gdy prezydent Republiki (a jej kontrkandydat) podejmuje starania pokojowe w imieniu Francji. Reszta partii – szczególnie przedstawiciele największych krajów UE, Włosi, Hiszpanie – zajęła stanowisko zdecydowanie atlantyckie.

Za tymi deklaracjami poszły czyny. Już w pierwszych dniach wojny Santiago Abascal, przywódca hiszpańskiego VOX, zarzucił premierowi Sánchezowi, że w jego rządzie „zasiadają sojusznicy Putina”. Przywołał deklarację Grupy Puebla z początku wojny, która wzywała do „odrżucenia interwencji militarnej i jednostronnych sankcji ekonomicznych wobec Rosji”. Grupa Puebla to lewicowe forum, w którym uczestniczą minister Irena Montero, Adriana Lastra, liderka



Wracając

Lider partii VOX Santiago Abascal i premier RP Mateusz Morawiecki na wiecu w Madrycie FOT. VOX ESPANA

z Madrytu

socjalistów w parlamencie, i sam były premier José Luis Rodríguez Zapatero. Abascal piętnował też proputinowską politykę prowadzoną przez Niemcy, prowadzącą do uzależnienia od gazu rosyjskiego nie tylko ich kraju, lecz także całej Europy.

Podobne stanowisko zajmowała Giorgia Meloni, przywódczyni Fratelli d'Italia, zarówno jako liderka opozycji, jak i jako premier. Pierwszym kontaktem jej ministra spraw zagranicznych był szef ukraińskiej dyplomacji Dmytro Kułeba. Atlantycznych przekonań obecnej włoskiej premier nie kwestionował nikt poważny. Fratelli d'Italia i VOX w Parlamencie Europejskim domagały się też energiczniejszej reakcji Unii Europejskiej na prześladowania religijne i polityczne, które w Nikaragui rozpętał po sfałszowanych wyborach latynoski Łukaszenka,

jeden z najwierniejszych sojuszników Putina, Daniel Ortega.

NIE OGLĄDAJĄC SIĘ NA RACJĘ STANU

Inne ugrupowania powinny podobnie działać dla Polski w swoich europejskich federacjach. Jednak w sytuacji, w której każdy dojrzały przywódca wzięby w nawias swoje partyjne namiętności, efektywną politykę PiS zaczął atakować Donald Tusk. Dlaczego? Żeby odwrócić uwagę od swych zaniechań. Tusk nie podjął żadnej reakcji na przychylne interesom Rosji wypowiedzi nestorów jego europejskiej federacji – Silvia Berlusconi czy Angeli Merkel. Wolał za to wykorzystać na planie wewnętrznym swe niebanalne umiejętności w zakresie odwoływania się do niewiedzy i uprzedzeń, krótko mówiąc – obskurantyzmu swych zwolenników.

Oczywiście był również motyw ogólniejszy, europejski. Tusk zaatakował zagraniczną politykę PiS właśnie dlatego, że była efektywna. Unijny establishment nie toleruje żadnej opozycji wobec swej władzy. Im bardziej więc prawica w Europie będzie się konsolidować, tym bardziej będzie rosła agresja unijnej klasy rządzącej.

Gdy w ubiegłym miesiącu premier Morawiecki pojechał do Madrytu na spotkanie VOX, na wielotysięcznym wiecu mówił o obronie Ukrainy jako najmocniejszej manifestacji uczuć narodowych we współczesnej Europie. O potrzebie wsparcia ich oporu i ich społeczeństwa. O uwiedzeniu elit europejskich „taniami kontraktami gazowymi i iluzją, że Moskwa jest partnerem godnym zaufania”. O dzisiejszych skutkach tamtej politycznej beztroski dla całej Europy. I przestrzegał przed ewolucją Unii: „Europe tworzą suwerenne narody i siła ich tradycji, a nie brukselska biurokracja. UE inwestuje w biurokrację, jej instytucje poszerzają swoje kompetencje, na co nie możemy pozwolić. Oni mogą stworzyć »transnarodowego potwora« bez wartości tradycyjnych, bez ducha, sztuczny twór bez tożsamości narodowej. Taki twór nie ma jednak przyszłości i może doprowadzić do chaosu i głębokiego kryzysu duchowego przyszłych pokoleń”.

Tusk skomentował to krótko: „Morawiecki bredzi na zlocie proputinowskich partii o Unii Europejskiej jako »transnarodowej bestii«”. Dla Tuska krytyka ewolucji Unii Europejskiej to „brednie”. To mówi polityk, który (oddajmy Cezarowi, co cesarskie) za rządów SLD nie mógł zrozumieć, jak Polak sprawujący władzę może popierać Konstytucję dla Europy. Dziś w nowej normalności Tuska doskonale mieści się zwalczająca VOX minister Montero (właśnie ta z Grupy Pueblo, patrz wyżej), według której „wszystkie dzieci w tym kraju: chłopcy, dziewczęta, dzieci niebinarne mają prawo wiedzieć, że mogą kochać się lub uprawiać stosunki seksualne z kimkolwiek zechcą, oczywiście za uprzednio wyrażoną zgodą”. Takich poglądów ani rządu, którego politykę definiują, Tusk nie atakuje. Atakuje VOX, który broni przed nimi Hiszpanii i Europy, więc również – Polski.

Teraz jednak warto przede wszystkim zastanowić się nad funkcją tuskowo-putinowskich insynuacji. Tusk przez lata wspierał prorosyjską politykę Niemiec i Unii Europejskiej. Polityka ta łączyła

rytualne protesty w obronie dysydentów z milczeniem o sowieckich źródłach systemu Putina i z robieniem kolosalnych interesów z Rosją. Z zasady wykluczyła jakiegokolwiek mocne wsparcie dla zaatakowanej w 2008 r. Gruzji, nie wykazała żadnego zainteresowania konfiskatą polskiego samolotu prezydenckiego po katastrofie smoleńskiej, reakcję na aneksję Krymu ograniczyła do formalnych protestów. Angela Merkel forsowała budowę Nord Stream 2, który (mówiłem o tym wielokrotnie w Parlamencie Europejskim) służył przede wszystkim energetycznej i politycznej izolacji Ukrainy. Swoje stanowisko najprecyzyjniej, bo praktycznie, zdefiniował premier Tusk w czasie katastrofy smoleńskiej.

„DOBRA WOLA ROSJI”

Już w pierwszym przemówieniu sejmowym po katastrofie uznał, że należy tak działać, aby „wykluczyć niektóre najbardziej drastyczne, radykalne, czasami zdumiewające hipotezy”. Nie chodziło więc o to, by ustalić, czy postsowieckie władze Rosji przyczyniły się do katastrofy, ale żeby to „wykluczyć”, ponieważ samo założenie, że byłoby do tego zdolne, Tusk uznał za „drastyczne” i „zdumiewające” już w ciągu pierwszych dni po katastrofie.

Z charakterystycznym dla siebie prawnym relatywizmem Tusk wyjaśniał też, że „z polskiego punktu widzenia samolot był państwowy, a z punktu widzenia strony rosyjskiej katastrofa miała charakter cywilny”. Ów prawny relatywizm był jedynie punktem wyjścia. Tusk zaraz potem oświadczył, że nie będzie – jak mówił – demonstrować od razu, z definicji, nieufności wobec państwa rosyjskiego i żądać czegoś, czego i tak nie otrzymamy. Wobec takiego podejścia Polska nie miała żadnych perspektyw na odzyskanie (i w efekcie nie odzyskała) głównego dowodu w śledztwie smoleńskim, a Tusk mimo to w Sejmie zapewniał, że „nie zdarzyło się nic, co pozwoliłoby zakwestionować dobrą wolę i gotowość strony rosyjskiej do pełnej współpracy”.

W swej ostatniej książce Tusk jeszcze dziś broni tej polityki. Opowiada, że Putin na miejscu katastrofy „sprawił wrażenie wstrząśniętego”, a przekonanie o udziale Rosjan w katastrofie uparcie nazywa „kłamstwem smoleńskim”. Milczy natomiast o najoczywistszym smoleńskim kłamstwie, o którym ja sam mogę osobiście zaświadczyć. Dwie godziny po katastrofie zadzwonił do

Dla żadnych doraźnych korzyści, nawet największych i najpilniejszych, nie można poświęcać traktatowych praw Polski

mnie TVN, byłem akurat w mieście, na spotkaniu, nie zdążyłem się nawet przebrać. Pojechałem od razu, uważając, że w tym momencie nikt z nas nie powinien zamykać się w sobie. Czekając na wywiad w studiu, dowiedziałem się o czterech podejściach, o uporze, z jakim prezydencki samolot próbował lądować, zanim doszło do katastrofy. Powtórzę – dezinformacja zaczęła obiegać świat dosłownie w pierwszych nawet nie godzinach, ale kwadransach po katastrofie. A przecież znamy dokładnie jej źródło. Zaraz po katastrofie „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung” przekazał „informację” podaną przez gen. Siergieja Razygrajewa, zastępcę dowódcy rosyjskich sił powietrznych, że „pilot wykonał cztery podejścia do lądowania”. Ten wymysł stanie się natychmiast uzasadnieniem „teorii nacisków”. Tusk do dziś milczy o rosyjskiej premedytowanej dezinformacji, która niezależnie od wszystkich hipotez jest najpewniejszym faktem dotyczącym katastrofy.

Stanowiska Tuska nie należy jednak sprowadzać do jego osobistej taktyki, ukrycia odpowiedzialności za przyznanie Putinowi roli gospodarza obchodów 70-lecia zbrodni katyńskiej. Zasadnicze założenia polityki gabinetu Tuska – nieprzypisywanie „złych intencji” Rosji, budowanie relacji między reżimem Putina a Europą – doskonale wpisywały się w narrację dominującą w proputinowskiej (jak mówi Tusk) polityce Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych pod rządami Baracka Obamy. W ten sposób Tusk budował swoją europejską wiarygodność.

RACJA STANU, NIE PARTII

Nie piszę tego wszystkiego, by popierać politykę zagraniczną obecnych władz. Decyzje oddające europejską „praworządność za pieniądze” uważam za najdalej idącą nieodpowiedzialność. Dla żadnych, powtórzę – żadnych doraźnych korzyści, nawet największych i najpilniejszych, nie można poświęcać traktatowych praw Polski, więc – zgadzać się

na zewnętrzną kontrolę polityką naszego kraju. To samo dotyczy zgody na inne elementy budowy Państwa Europa, takie jak europejskie podatki czy uwspólniony dług.

Wyrazem obojętności wobec społecznej przyszłości Polski jest utrzymywanie w mocy ratyfikowanej przez rząd pani Kopacz genderowej konwencji stambulskiej. A jeszcze bardziej – brak zainteresowania tym, czy opór państw Unii Europejskiej, które ją ratyfikowały, będzie trwał czy zostanie złamany. Największym zaś przejawem tego indyferentyzmu jest bierne przyglądanie się skutecznym naciskom Brukseli na Ukrainę, by ratyfikowała pakt genderowy, którego nie przyjmowała tak długo.

Wszystkie te błędy i zaniechania nie zmieniają jednak tego, że działania podjęte przez Prawo i Sprawiedliwość na rzecz wzmocnienia opinii konserwatywnej w Europie leżą ze wszech miar w interesie naszego kraju. Na ile mogłem, na tyle byłem promotorem tej polityki. Zaraz po ostatnich wyborach europejskich zwróciłem uwagę na zastąpienie w Grupie Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim brytyjskich neotorysów przez hiszpański VOX i Fratelli d'Italia i pytałem na moim wideokanale „Czy PiS stanie na czele europejskiej prawicy?”. Na początku ubiegłego roku, w publikowanym na tych łamach artykule „Czas prawicy w Europie”, zachęcałem do przekroczenia w Brukseli barier między grupami Konserwatystów i Reformatorów z jednej, a Tożsamością i Demokracją z drugiej strony. Ten proces ruszył i nie można go cofać. Wściekłość, jaką budzi, jest tylko dowodem na skuteczność wyzwania, które rzucił tym, którzy chcą konfiskaty suwerenności państw narodowych.

Polska nie może być izolowana i potrzebuje – jako oparcia – zorganizowanej i silnej opinii konserwatywnej w Europie. Jej konstruowanie będzie wywoływać ataki, tym bardziej że w izolacji polskiego rządu opozycja widzi największą szansę na dojście do władzy. Jest partią zagranicy w najgłębszym sensie tego słowa: dzieli perspektywę zagranicy i chce reprezentować zagranicę.

Wobec dwóch przeciwstawnych tendencji – budowania oparcia dla Polski w Europie i podporządkowania Polski tym, którzy dziś w Europie dominują – nikt, dla kogo polska racja stanu stanowi wartość, nie powinien pozostać neutralny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdy w maju 2021 r. Franciszek ogłosił, że Kościół wchodzi na permanentne tory synodalne, część komentatorów – w tym niżej podpisany – podejrzewała, że mamy do czynienia z jakąś potężną manipulacją. Mając w pamięci przebieg synodów organizowanych przez Ojca Świętego w latach 2014–2019 (o rodzinie, o młodzieży, o Amazonii), można było się spodziewać, że i tym razem papież zechce pod pozorem chwytliwych haseł pchnąć naprzód proces nakierowany na ukryte cele: dalsze rozbitcie spójności doktrynalnej Kościoła, wprowadzenie chaosu pojęciowego, tak, by obrona tradycyjnej nauki stała się jeszcze trudniejsza. W efekcie katolicyzm XXI w. miałby stać się niczym glina w rękach rewolucjonistów, którzy ulepią z niego coś zupełnie nowatorskiego, bez względu na dogmaty, tradycję i całą przeszłość, stwarzając Kościół na miarę własnej wyobraźni, a może raczej – ideologii.

27 października organ Watykanu odpowiedzialny za organizację Synodu o Synodalności, Sekretariat Synodu, opublikował „Dokument roboczy dla fazy kontynentalnej”. Tym, którzy nie są na bieżąco z przebiegiem procesu synodalnego, przypomnę, że w ubiegłym roku Franciszek zarządził rozpoczęcie ogólnoświatowego procesu synodalnego, co w praktyce stanowi jakby postmodernistyczny erzac Soboru Powszechnego, w którym kluczową rolę mają odgrywać ludzie świeccy jako „głos” Ducha Świętego. Oficjalnie proces ma doprowadzić do odnowy Kościoła, a to w czterech etapach. Pierwszy trwał od października 2021 r. do wiosny 2022 r.; polegał na organizowaniu debat między biskupami, księżmi i świeccymi w diecezjach na całym świecie. Drugi wiąże się z obradami biskupów i świeckich w grupach „kontynentalnych” – zaczyna się właśnie teraz, a potrwa do marca roku 2023. Następnie, na etapie trzecim, odbędą się dwa spotkania biskupów w Rzymie, jesienią 2023 i 2024 r. Wreszcie w etapie czwartym i ostatnim, który nie ma już żadnych ram czasowych, nastąpi „implementacja” postanowień synodalnych, tak by Kościół zaczął się trwale zmieniać. Opublikowany teraz dokument będzie podstawą debat w grupach kontynentalnych.

NOWE BUTELKI, TE SAME ETYKIETY

Przy tym nikt nie wie, czym jest sama synodalność. Pojęcie jest programowo

niezdefiniowane: wszyscy watykańscy oficjele przyznają, że zadanie zrozumienia, czym ona jest, leży dopiero przed nami; mówi o tym nawet ogłoszony właśnie dokument. Już choćby to wskazuje na fałsz: Jakim cudem Kościół ma stać się synodalny, jeżeli w teorii nie wiadomo, o co w tym chodzi? W 2018 r. obszerny dokument na ten temat sporządziła na

skrywa typowe modernistyczne postulaty prezentowane przez progresistów od lat 70. XX w.: demokracja, partycypacja, udział we władzy, kobiety na wszystkich urządach, diakonat i ewentualne kapłaństwo kobiet, rewizja moralności seksualnej odnośnie do relacji pozamałżeńskich, ponowne małżeństwa, homoseksualizm, odejście od stawiania kapłana w centrum

Papież realizuje niemiecki plan



Paweł Chmielewski

Synod o Synodalności krok po kroku realizuje z góry założone cele: otworzyć Kościół katolicki na wpływ ducha czasu, dokładnie tak, jak wymyślili to sobie progresywni kardynałowie i biskupi z Europy, zwłaszcza z Niemiec

polecenie papieża Międzynarodowa Komisja Teologiczna, dochodząc do wniosku, że czegoś takiego jak synodalność w zasadzie nie ma. Cóż, to woda na młyn propagatorów tej idei: tym łatwiej wśród pojęciowego mętliku przemycić to, o co chodzi naprawdę.

Zgrabnie ujął to w jednym z artykułów jeden z nielicznych normalnych hierarchów w Kościele niemieckojęzycznym Marian Eleganti, emerytowany biskup pomocniczy Chur w Szwajcarii. Według niego „synodalność” jest zasłoną, która

liturgii itd. „Znamy to wszystko. Te postulaty są nieustannie wlewane w nowe butelki, na które przykleja się takie etykiety jak »słuchanie«, »inkluzywność«, »otwartość«, »różnorodność«, »równość« – jak w kampanii marketingowej, która sprzedaje to, co wczorajsze, jako świeże” – napisał, dodając, że ci, którzy stawiają tego rodzaju postulaty, powołując się przy tym na wolę samego Boga, po prostu Stwórcę instrumentalizują. To niesamowicie ciężki zarzut – ale bardzo adekwatny, o czym czytelnik zaraz sam się przekona.



■ Nie ma sensu zajmować się tu szczególnie prezentacją kontynentalnego dokumentu z 27 października. Kto jest nim zainteresowany, znajdzie go w całości na oficjalnej stronie watykańskiej (www.synod.va), a szerokie jego omówienie opublikowałem na portalu PCh24.pl. W istocie bowiem rzecz sprowadza się do prostego triku: kierownicy Synodu o Synodalności przedłożyli w dokumencie kontynentalnym cały standardowy pakiet rewolucyjny (tak mniej więcej, jak ujął to bp Marian Eleganti), udając jednak, że nie jest to ich własne zdanie, ale wola... samego Boga, który „szepcze” przez świeckich uczestniczących w procesach synodalnych.

W największym skrócie, według kontynentalnego dokumentu z Watykanu: należy przestać „osądzać osoby” LGBTQ+ i zacząć akceptować je w Kościele; trzeba otworzyć się szerzej na rozwodników w nowych związkach oraz na poligamistów (casus Afryki); konieczne jest wprowadzenie sakramentalnego diakonatu kobiet, dopuszczenie kobiet do głoszenia kazań i rozważenie kapłaństwa

kobiet; trzeba powierzyć znaczną część władzy w Kościele w ręce osób świeckich, zarówno mężczyzn, jak i przede wszystkim kobiet; należy przemyśleć możliwości aktywności seksualnej księży; należy zmienić liturgię tak, aby miała jeszcze bardziej „ludowy” wymiar i jeszcze mniej „koncentrowała się” na kapłanie. Stały czytelnik tygodnika „Do Rzeczy” zauważył z pewnością, że wymienione postulaty zawarte w dokumencie Stolicy Apostolskiej są w 100 proc. zgodne z tym, co proponowała Kościołowi niemiecka „droga synodalna”. Nie jest to przypadek, ale efekt skrupulatnie realizowanego planu. Spróbuję teraz pokazać, jak przebiegał proces urabiania Watykanu tak, by przyjął powyższe postulaty – i jak wielka obojętność hierarchii Kościoła w Polsce towarzyszy tym przerażającym wydarzeniom.

Te same pomysły, oczywiście z wyjątkiem kwestii LGBTQ+, która wówczas jeszcze nie istniała, zostały pierwszy raz całościowo zgłoszone przez biskupów, księży i świeckich podczas Niderlandzkiego Soboru Duszpasterskiego obradującego w Holandii w latach 1966–1970. Iden-

tyczny katalog, w nieco tylko złagodzonej formie, zaproponowali następnie biskupi z Niemiec, którzy obradowali w ramach Synodu Würzburgskiego w latach 1971–1975. Trzon obu tych zgromadzeń stanowili ludzie, którzy plan totalnej „modernizacji” Kościoła zgłaszali już w czasie Soboru Watykańskiego II i którzy uważali, że soborowy impet należy wykorzystać do tego, by za sprawą kilku błyskawicznych ciosów pogodzić Kościół katolicki ze światem nowoczesności zrodzonym na gruncie rewolucji francuskiej, filozofii idealistycznej i marksizmu.

Papieże wszelako ich propozycje odrzucili; idee przecież przetrwały. Rewolucjoniści w latach 90. uformowali pod kierunkiem kard. Carla Marii Martiniego niesławną grupę z Sankt Gallen, która podjęła się zadania doprowadzenia do osadzenia na Tronie Piotrowym papieża sprzyjającego wskazanym zmianom. Udało się to osiągnąć w roku 2013; Franciszek kilkakrotnie publicznie deklarował, że jest przywiązany do „wizji zmian” prezentowanych przez kard. Martiniego. Pierwotny pomysł polegał na realizacji



FOT. MONDADORI PORTFOLIO/CETTY IMAGES

cowując szczegóły projektu. W grze byli cały czas hierarchowie z Ameryki Łacińskiej, personalnie i finansowo powiązani z Niemcami i Austrią. W efekcie w maju 2021 r. Franciszek ogłosił globalny Synod o Synodalności, którego struktura ściśle odpowiada niemieckim życzeniom.

„PROJEKCJA STRACHÓW PRAWICY”

W Polsce te wydarzenia nie budziły większego zainteresowania. Wkrótce po ogłoszeniu przez papieża swoich decyzji przeprowadziłem rozmowy z dwiema najważniejszymi osobami oddelegowanymi przez KEP do tematów synodalnych w Polsce. Moi rozmówcy, biskup i świecki, uważali, że niebezpieczeństwo wpływu niemieckiej „drogi synodalnej” na globalny proces synodalny jest żalosną projekcją strachów prawicy. Taka linia została przyjęta w Kościele katolickim w Polsce jako oficjalna. Stowarzyszenie ks. Skargi próbowało to zmienić, przygotowując kilkudziesięciostronicową broszurę, która przedstawiła w rozbudowanej formie to, co opisałem skrótowo wyżej. Wiele osób ze środowiska stowarzyszenia wzięło udział w konsultacjach synodalnych, starając się w bezpośrednich rozmowach z biskupami wskazać na zagrożenia. W kolejnych miesiącach sam Watykan dawał jasno do zrozumienia, że rzeczy idą w „niemieckim” kierunku. Za głębokimi zmianami, również doktrynalnymi, opowiadał się relator generalny Synodu o Synodalności, kard. Jean-Claude Hollerich. Sekretariat Synodu nieustannie publikował materiały wskazujące na jego przychylność wobec rewolucji. W Polsce, podobnie zresztą jak w mainstreamie innych krajów, nie zwracało to jednak wciąż żadnej uwagi.

Znalazło to swój wyraz w głęboko nieporadnym kształcie krajowej syntezy synodalnej, którą KEP opublikowała we wrześniu 2022 r. Wynikało z niej, że w Polsce największym problemem Kościoła jest klerykalizm. Było widoczne, że synteza stanowi doskonałą podkładkę dla rewolucjonistów z Watykanu, którzy mogliby na przykładzie Polski pokazać, jak źle funkcjonuje „tradycyjny” Kościół. W prasie mainstreamowej wciąż nie było krytycznych głosów. Jeszcze 20 października 2022 r. ukazał się na łamach „Gościa Niedzielnego” wywiad z przewodniczącym KEP abp. Stanisławem Gądeckim, w którym ten zapewniał, że synodalność

jest zupełnie niegroźna. „Dotychczasowe głosy świadczą o tym, że istnieje głębokie pragnienie poprawy sposobu funkcjonowania Kościoła, nie zaś zmiany doktryny czy struktury” – zapewniał metropolita Poznania. Tydzień później ukazał się watykański dokument kontynentalny. Treść: przejęcie niemieckiej agendy, mnóstwo postulatów dotyczących zmian doktrynalnych i strukturalnych. W dokumencie rzeczywiście wykorzystano syntezę z Polski, by pokazać, jak źle funkcjonuje nasz „tradycyjny” przecież Kościół.

NARZUCONA REWOLUCJA

Piszę te słowa ponad tydzień po publikacji dokumentu Watykanu. Jak dotąd w głównych mediach kościelnych w naszym kraju nie znalazłem ani jednego artykułu, który zwracałby uwagę, że wszystko zmierza w niepokojącym kierunku. Ktoś mógłby powiedzieć, że tego rodzaju poprawność polityczna jest wręcz nierealna, że za tym musi coś się kryć. Kto wie, Stolica Apostolska w okresie poprzedzającym start Synodu o Synodalności ukarała kilku biskupów, pokazując, jakie silne ma narzędzia dyscyplinowania Polaków. Być może ta groźba zadziałała.

Wiosną 2020 r. biskupi z Niemiec ogłosili, że chcieliby, aby papież poprosił cały Kościół o refleksję nad ich pomysłami

tej wizji za pomocą synodów biskupów. Z powodu strukturalnych problemów i dużego oporu w środowiskach konserwatywnych cele zostały osiągnięte tylko w niewielkiej części.

Dlatego w Niemczech i Ameryce Łacińskiej wymyślono proces synodalny, który miałby pozwolić na łatwiejsze przeprowadzenie zmian. W 2019 r. za Odrą rozpoczęła się „droga synodalna” o znanych nam założeniach. Analogiczne procesy trwały w krajach latynoamerykańskich. Wiosną 2020 r. biskupi z Niemiec ogłosili, że chcieliby, aby papież poprosił cały Kościół o refleksję nad ich pomysłami. Miałoby to nastąpić w trzech krokach: niemiecka „droga synodalna” byłaby poziomem pierwszym, który przygotowuje zasadnicze idee; następnie miałby odbyć się synod w Europie, który pozwoliłby na przyjęcie tych idei na kontynentalnym szczeblu; wreszcie w Rzymie zebrałby się Synod Biskupów, który zadekretowałby niemiecką wizję jako obowiązującą dla całego świata.

W ciągu roku Niemcy prowadzili z Watykanem intensywny dialog, opra-

W efekcie progresywna rewolucja zostanie nam po prostu narzucona. Dziś przeciwko manipulacjom Synodu o Synodalności nie wypowiada się w Polsce żaden hierarcha. Katolik w Polsce, który chciałby usłyszeć jednoznaczne nauczanie biskupów dotyczące manowców synodalności, musi wsłuchiwać się dziś w głosy hierarchów zagranicznych – z Niemiec, Kazachstanu, Afryki. Nie ma się chyba co łudzić, że to się zmieni. Nad Wisłą panuje wokół największych wyzwań i sporów martwa cisza.

Kościół katolicki w Polsce, który na przestrzeni wieków wydał całą rzeszę wspaniałych świętych, stał się Kościołem wielkiego milczenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

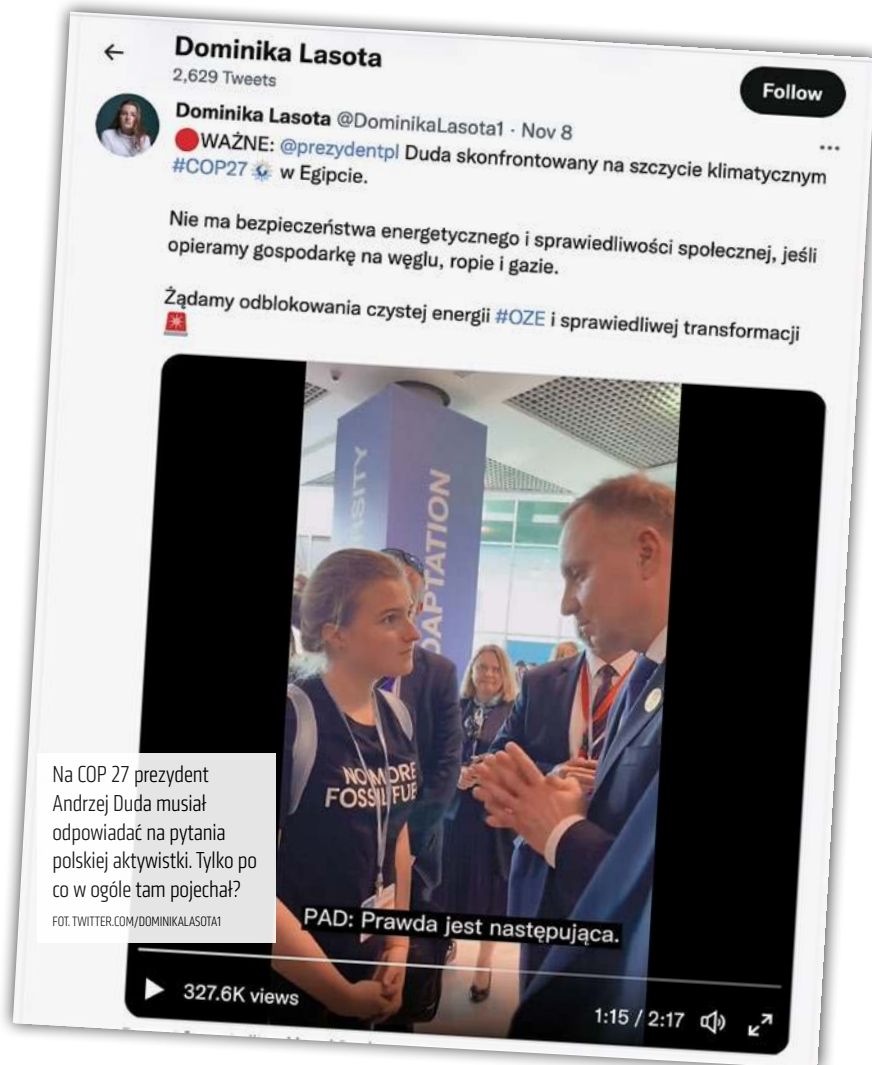


Łukasz Warzecha

Klimatycy stają się coraz bardziej sfanatyzowani i skrajni

Podczas szczytu klimatycznego COP 27 w Szarm el-Szejk w Egipcie prezydenta Andrzeja Dudę dopadła polska aktywistka klimatyczna, 21-letnia Dominika Lasota. Trochę ponad dwuminutowa rozmowa odbyła się na korytarzu i była raczej spokojna. Nie było oczywiście mowy o żadnym porozumieniu czy uzgodnieniu stanowisk. Obie strony wyraziły swoje życzenia co do tego, jak powinna wyglądać rzeczywistość. Dominika Lasota oznajmiła, że chciałaby, żeby kryzysu klimatycznego nie było, i że to jej życzenie właściwie jest w dużej mierze spełnione, bo rzekomy kryzys istnieje głównie w głowach osób takich jak ona. Pan prezydent z kolei wyraził życzenie, żeby na nizinach było ciepło, a w górach zimno (może to mieć jakiś związek z pasją narciarską głowy państwa). Tu już bywa różnie, ale sytuacja nie jest beznadziejna. Po tej owocnej wymianie zdań wszyscy udali się do swoich zadań, a pani Lasota wrzuciła do mediów społecznościowych film ze spotkania z panem prezydentem.

Wiele osób zadawało sobie pytanie, w jaki sposób pani Lasota dostała się do egipskiego kurortu. Jako szczerą i oddaną towarzyszką z obozu klimatystycznego powinna była dojechać na rowerku, ale niestety, takiej determinacji nie wykazała. Przez kilka dni podróżowała pociągami i autobusami przez Europę, po czym ostatni etap pokonała samolotem. Wobec tak niefrasobliwego namnożenia śladu węglowego miejmy nadzieję, że wracała wpław. Choć uważna analiza mediów społecznościowych pani Lasoty (znajdziemy tam zresztą cały zestaw obowiązkowy, czyli m.in. strajk kobiet albo zachwyt nad szczepieniami przeciw COVID) nie daje tutaj raczej wielkich nadziei. Jej konto na Instagramie pełne jest zdjęć z różnych wydarzeń w różnych miejscach świata, nie ma natomiast zdjęć dokumentujących, że aktywistka docierała tam wszędzie rowerkiem bądź żaglówką. Mało tego – znajdziemy nawet fotografię z 2018 r., na której pani Lasota radośnie pozuje na Lotnisku Chopina w Warszawie, szykując się do odlotu na



Zieloni Khmerzy atakują

miesięczne wakacje. Cóż, być może było to, jeszcze zanim młoda bojownicza o klimat doznała oświecenia i przyswoiła sobie „flygskam”, czyli wynaleziony w Szwecji i propagowany przez Gretę Thunberg „wstyd przed lataniem”.

Jedno trzeba pani Lasocie przyznać: wybrała bardziej cywilizowaną metodę działania niż inna towarzyszką klimatystką z Wielkiej Brytanii, należąca do głośnej ostatnio grupy Just Stop Oil – tej samej, która zaczęła atakować dzieła

sztuki w europejskich muzeach. Dwudziestoczteroletnia aktywistka była jedną z osób, które w godzinach porannego szczytu w ubiegłym tygodniu wspięły się na pomosty nad autostradą M25, powodując zatrzymanie ruchu i gigantyczne korki. Korki, jak wiadomo, bardzo sprzyjają ochronie klimatu i znacząco redukują zanieczyszczenie powietrza.

Na opublikowanym na Twitterze filmie dziewczyna w stanie ewidentnej hysterii, stojąc na kratownicy nad drogą,

na przemian łka i krzyczy, że protestuje, ponieważ jej pokolenie nie ma przyszłości, a rząd wydaje nowe koncesje na wydobywanie gazu i ropy. „Przestaniemy [protestować], kiedy rząd skończy z wydawaniem nowych pozwoleń” – deklaruje dziewczyna. Następnie stwierdza, że to akt obywatelskiego sprzeciwu, i apeluje, żeby do ruchu dołączały kolejne osoby, co brzmi jak wezwanie rekrutacyjne do terrorystycznej jaczajki.

Można się z tego wszystkiego śmiać, ale sprawa jest wbrew pozorom poważna: klimatysty stają się coraz bardziej sfanatyzowani i skrajni. Amerykański publicysta, określający się jako eko-modernista (wierzący w to, że daje się pogodzić postęp technologiczny z ochroną środowiska), Michael Schellenberger, pokazując na Twitterze film z historyzującą dziewczyną z autostrady M25, napisał, że fanatycy klimatystyczni używają do swoich działań ludzi z zaburzeniami. Faktycznie, patrząc na zachowanie 24-latki oraz słuchając oświadczeń innych członków Just Stop Oil, wygłaszanych podczas ich ataków na dzieła sztuki, można odnieść wrażenie, że ma się do czynienia z osobami o poważnych problemach psychicznych. Pytanie brzmi, jakie jest ich źródło. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z powiększającą się grupą młodych osób, którym klimatystyczna indoktrynacja zrobiła pranie mózgu i zniszczyła psychikę (na tym tle polska aktywistka jawi się jako względnie zrównoważona).

SEKCIARSKIE NASTROJE

Niedawno „Gazeta Wyborcza” zrobiła rozmowę z Pheobe Plummer, aktywistką klimatystyczną (i „osobą LGBT”, jak sama się przedstawia), która oblała zupą „Słoneczniki” Vincenta van Gogha. Pytana o źródła swojego klimatystycznego zapachu, panna Plummer odpowiedziała: „Stałam się bardziej świadoma tematu kryzysu klimatycznego, ok. czterech–pięciu lat temu. Zawsze lubiłam przyrodę, przebywanie w naturze, kemping. Kiedy dowiedziałam się o tym, jak poważnym zagrożeniem są zmiany klimatu, robiłam wszystko, co wtedy wydawało się w moim zasięgu: przeszedłam na weganizm, zaczęłam kupować tylko używaną odzież, przestałam latać samolotem, chodziłam na protesty, pisałam do parlamentarzystów”. To świadectwo spuszczenia psychicznego i sposób zachowania przypominający ten typowy dla sekt,

kiedy ich guru domaga się od członków, aby radykalnie zmienili swój sposób życia. Zresztą ruchy klimatystyczne mają wiele cech sekt milenarystycznych. Tak jak milenaryści – nie tylko zresztą chrześcijańscy – żywią się perspektywą rzekomo bliskiego i nieuchronnego w najbliższym czasie nadejścia Królestwa Bożego, tak klimatysty żywią się w swoich obsesjach perspektywą rzekomo nieuchronnej katastrofy klimatycznej. A im bardziej widzą ją jako nieuchronną, tym gwałtowniejsze i bardziej desperackie stają się ich poczynania.

Ogromną zasługę w tworzeniu sekciarskich nastrojów mają politycy, w tym, niestety, również rządzący dzisiaj w Polsce. Prorokinią, dzisiaj nieco już zapomnianą (może się odnajdzie w jakiejś nowej sekcji), klimatystycznych fanatyków była Szwedka Greta Thunberg. Jej medialna atrakcyjność wygasła w momencie, gdy nie dało się jej już pokazywać jako rozpaczonej dziewczynki z warkoczami, bo za bardzo podrosła – a na tym opierał się jej wizerunek i prowadzona wokół niej operacja PR-owska. Lecz to ona wprowadziła na salony klimatystyczną histerię, której motywem przewodnim stało się jej nachalnie emocjonalne wystąpienie na szczycie klimatycznym ONZ w Nowym Jorku w 2019 r. ze słynnym okrzykiem: „How dare you?!”. To Thunberg zachęcała do gry na emocjach, oznajmiając: „Chcę, żebyście się bali!”, zarazem dyskredytując normalną, racjonalną, spokojną dyskusję. Stąd się wzięła postawa, prezentowana i przez panią Lasotę, i przez wszystkich właściwie klimatystycznych aktywistów, polegająca na stawianiu radykalnych żądań przy całkowitym braku refleksji nad możliwością ich spełnienia i ich skutkami. Wspomniana Pheobe Plummer domaga się np., żeby w ciągu ośmiu lat, na które jej zdaniem wystarczą Wielkiej Brytanii obecnie obowiązujące koncesje na wydobywanie surowców, kraj przeszedł całkowicie na odnawialne źródła energii, a za transformację miałaby zapłacić „miliarderzy i korporacje”. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak bardzo jest to oderwane od rzeczywistości.

Tyle że Greta Thunberg czy pani Lasota nie wzięły się znikąd. Na początku medialnej kariery szwedzkiej nastolatki zaproszeniem jej na szczyt klimatyczny COP 24 w Katowicach chwalił się późniejszy minister klimatu Michał Kurtyka. Dzisiaj Kurtyka ma ciepłą posadkę jako doradca organizatorów COP 27 i w re-

lacji dla serwisu BiznesAlert biadolił, że z powodu kryzysu spotkanie może się zakończyć niczym.

Jedynym znaczącym europejskim przywódcą, który – zgodnie ze zdrowym rozsądkiem – chciał COP 27 zbojkotować, był nowy brytyjski premier Rishi Sunak, ale w końcu ugiął się pod naciskiem zielonego lobby. Szkoda, bo być może jego przykład pociągnąłby za sobą innych.

CO NA TO POLSKI RZĄD?

W tym kontekście można zadać pytanie o faktyczny kurs obecnej polskiej ekipy. Trudno zrozumieć, po co imprezę swoją obecnością legitymizuje pan prezydent, lecz może łatwiej to pojąć, zadając sobie pytanie, czy na którymkolwiek etapie – czy to w dziedzinie unijnej, czy globalnej (szczyty COP należą do tej drugiej) – obecny rząd zdecydowanie sprzeciwił się klimatystycznej narracji i konkretnym decyzjom. To, rzecz jasna, pytanie retoryczne. To również ten rząd stworzył Młodzieżową Radę Klimatyczną, której członkowie reprezentują poglądy podobne do poglądów pani Lasoty, a więc wpuścił młodych histeryków na salony.

Po co zresztą patrzeć na Thunberg, Lasotę czy Plummer, skoro wystarczy spojrzeć na Antonia Guterresa, sekretarza generalnego ONZ, który w Szarm el-Szejk opowiada, że „świat jest na drodze do klimatycznego piekła”? Jedyną odpowiednią reakcją szanującego się i odpowiedzialnego przywódcy na ten poziom demagogii i rozhisteryzowania powinna być nieobecność w tym cyrku. Niestety, z jakiegoś powodu Pałac Prezydencki uznał inaczej.

O działaniach na rzecz ochrony środowiska oraz o kwestiach polityki energetycznej oczywiście rozmawiać trzeba. I nie tylko rozmawiać – trzeba też podejmować decyzje i je realizować. Jednak punktem odniesienia powinno tu zawsze być dobro obywateli, koszt, jaki mieliby ponieść, oraz zachowanie swobód i wolności. Partnerami w tej rozmowie nie mogą być fanatycy, którzy wysuwają żądania dalece przekraczające jakąkolwiek racjonalną miarę. To zwykli szkodnicy, a często ludzie potrzebujący po prostu pomocy psychologicznej. Ich wkład do debaty jest zerowy, za to ich rola w przestrzeni publicznej – skrajnie szkodliwa. Czas na zerwanie z dziwaczną poprawnością polityczną i potraktowanie fanatyków tak, jak na to zasługują.



29 sierpnia 1949 r. na poligonie w Semipalatyńsku dokonano pierwszej próbnej eksplozji sowieckiej bomby atomowej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niechciana bomba



Piotr Włoczyk

Potężny arsenał jądrowy ugruntował pozycję Rosji jako mocarstwa, ale początkowo Stalin kompletnie zlekceważył broń atomową. Sowiecki dyktator uważał, że jest to jedynie kolejna, niezbyt znacząca nowinka techniczna. Po ataku na Hiroszimę Kreml desperacko próbował nadrobić stracony czas

Do lata 1945 r. w sowieckim projekcie atomowym zatrudnionych było mniej niż tysiąc osób, wliczając w to cały niezbędny personel pomocniczy, jak kierowcy czy personel biurowy. Realnie nad sowiecką bombą atomową pracowała garstka naukowców, która przy takim zaangażowaniu środków zakończyłaby prace w perspektywie kilku dekad. W tym samym czasie w ramach Projektu Manhattan zatrudnionych było ok. 130 tys. ludzi. Nawet borykające się z ogromnymi

problemami technicznymi programy atomowe III Rzeszy i Japonii były zakrojone na większą skalę niż badania prowadzone w ZSRS. Naukowcy budujący dla Stalina bombę atomową doskonale zdawali sobie sprawę z niszczycielskiej mocy nowej broni, ale wyglądało na to, że Kreml nie do końca był zainteresowany powodzeniem tego projektu. Dlaczego Stalin przeznaczał tak małe środki na swój program atomowy?

– Stalin do lata 1945 r. raczej nie rozumiał, jak potężna jest broń atomowa i jak

wielką rolę strategiczną odegra. Sowiecki dyktator uważał, że to po prostu kolejny nowy wynalazek, jak radar, rakiet czy napęd odrzutowy. Na Zachodzie wojna opierała się na wysokich technologiach, tymczasem ZSRS walczył bardzo tradycyjnie, stawiając na rzucanie mas żołnierzy i sprzętu – powiedział „Do Rzeczy” prof. David Holloway, amerykański sowietolog, autor książki „Stalin i bomba”, który jako pierwszy z zachodnich historyków zaczął odkrywać sekrety programu atomowego Związku Sowieckiego. – Wywiad dostarczał Stalinowi informacje, z których wynikało, że amerykańska bomba będzie miała moc ok. 5 tys. ton trotylu. W związku z tym Kreml uznał, że nie jest to aż tak wielki przełom. Tymczasem bomba zrzucona nad Hiroszimę miała moc 13 kT, a ta zdetonowana nad Nagasaki aż 20 kT.

BERIA NA CZELE

Wiadomości, które zaczęły napływać z Hiroszimy, wstrząsnęły Stalinem i całym kierownictwem sowieckim.

Okazało się, że jeden bombowiec jest w stanie obrócić w ruinę duże miasto. Błyskawicznie zwołano na Kremlu pilną naradę komunistycznej wierzuszki. W jej wyniku Stalin zarządził przekształcenie sowieckiego projektu atomowego w gigantyczne przedsięwzięcie, które zyskało absolutny priorytet i niemal nieograniczony budżet.

Przez poprzednie cztery lata programem tym kierował Wiczesław Mołotow. Wierny towarzysz Stalina, który jednak był człowiekiem nieprzejawiającym własnej inicjatywy. Postawienie go na czele zespołu budującego bombę atomową siłą rzeczy nie wróżyło dobrze tej inicjatywie. Sytuacja się zmieniła, kiedy Mołotowa zmienił na tym stanowisku Ławrientij Beria, szef NKWD.

– Trzeba przyznać, że Beria potrafił zarządzać i wymuszać pożądaną efekt. Do dyspozycji miał własny, ogromny rezerwuariat siły roboczej zamkniętej w Gułagu. Mógł użyć tych niewolników do prac w kopalniach oraz do prowadzenia olbrzymich projektów budowlanych niezbędnych dla powodzenia programu atomowego – mówi prof. Holloway, zaznaczając jednocześnie, że Beria – wbrew swojemu charakterowi – musiał bardzo dobrze traktować naukowców pracujących przy budowie bomby. – Nie mógł przy nich rządzić po swojemu, musiał ich wysłuchiwać i obchodzić się z nimi jak z jajkiem. To musiało być dla niego coś nowego. Przy projekcie atomowym pracowało wielu naukowców pochodzenia żydowskiego. Beria oczywiście chronił ich przed skutkami „kampanii antykosmopolitycznej” z końca lat 40. Lew Landau, sowiecki fizyk teoretyczny, żartował, że pierwszym przykładem skuteczności odstraszenia nuklearnego było właśnie ocalenie żydowskich fizyków pracujących w ZSRS...

Sowieckim odpowiednikiem Roberta Oppenheimera wcale nie był najczęściej kojarzony z bombą Stalina Igor Kurczatow, ale Julij Chariton. To właśnie ten fizyk jądrowy odpowiada za budowę ośrodka w Sarowie, który odgrywał rolę sowieckiego Los Alamos. W latach 1946–1991 miejscowość ta skrywana była przed światem zewnętrznym pod nazwą Arzamas-16.

Przedstawiciele Związku Sowieckiego przez wiele lat utrzymywali, że zdetonowany w 1949 r. ładunek atomowy był efektem ich własnych prac. Bomba Stalina miała być czysto komunistyczną

bombą. W rzeczywistości jednak była to jak najbardziej kapitalistyczna bomba, ponieważ była to w zasadzie wierna kopia ładunku plutonowego zrzuconego nad Nagasaki. Bez szpiegostwa sowiecka bomba atomowa powstałaby o wiele później, ponieważ naukowcy zamknięci w ośrodku w Sarowie nie byli w stanie szybko samodzielnie uporać się z całą masą ogromnych wyzwań technicznych.

FUCHS SOWIETÓW

– Sowieci mieli bardzo dobrych fizyków, ale informacje wywiadowcze wykradzione z Los Alamos były absolutnie kluczowe dla tak szybkiego tempa prac. Już pod koniec 1941 r. zaczęły docierać do sowieckich fizyków informacje o postępach Amerykanów i Brytyjczyków w badaniach nad bombą atomową. Słynny fizyk Klaus Fuchs, który pracował wówczas w Wielkiej Brytanii, wybrał się do ambasady Sowietów w Londynie i poinformował ich o wszystkim. Fuchs znalazł się następnie w składzie brytyjskiej delegacji pracującej przy Projekcie Manhattan. Będąc w USA, przekazywał Sowietom kluczowe informacje na temat budowy bomby plutonowej – mówi prof. Holloway, który na początku lat 90., gdy zbierał w Rosji materiały do swojej



książki, poznał osobiście „sowieckiego Oppenheimera” i odbył z nim wiele rozmów na temat kulis sowieckiego programu atomowego. – To Fuchs był najważniejszym źródłem informacji. Chariton opowiadał mi, że po wszystkim chciał załatwić Fuchsowi jakieś ważne sowieckie odznaczenie, ale odpowiedź „góry” była negatywna. W tamtym okresie Moskwa nie chciała bowiem przyznać, że sowiecka bomba atomowa była pracą niesamodzielną.

Sytuacja zmieniła się jednak, gdy wraz z upadkiem żelaznej kurtyny funkcjonariusze KGB zapragnęli publicznego uzna-

nia i zaszczytów za pracę, którą wykonali na początku zimnej wojny.

– Skończyłem pisać książkę w 1993 r. Tuż przed zakończeniem prac Rosjanie upublicznili duży pakiet dokumentów, w których znalazły się m.in. opinie Kurczatowa na temat danych wywiadowczych z USA. Efektem tego była niecodzienna sytuacja: swego rodzaju awantura między fizykami a KGB. Ludzie służb ogłosili bowiem wówczas, że to oni są prawdziwymi autorami atomowego sukcesu Związku Sowieckiego, a nie fizycy! I to im należały się te wszystkie odznaczenia, dacje i pobyty, które dostali fizycy! W 1999 r. Putin docenił pracę „swoich” ludzi ze służb i odznaczył orderami najważniejszych szpiegów, którzy wspomagali sowiecki program atomowy.

Pierwszy test upragnionej przez Stalina bomby wywołał szok w Waszyngtonie. Amerykański wywiad szacował bowiem, że wyniszczony w drugiej wojnie światowej Związek Sowiecki będzie potrzebował nawet 20 lat, by opanować technologię nuklearną. W związku z tym w Waszyngtonie pojawiły się opinie, że być może najlepiej uderzyć na przeciwnika właśnie teraz, gdy nie dysponuje on jeszcze odpowiednio dużym arsenałem jądrowym.

– W amerykańskim wojsku słychać było głosy, że to okno możliwości w końcu się zamknie i jeżeli Ameryka miałaby walczyć z Sowiecami, to właśnie teraz jest najlepszy ku temu czas. Jednak w Białym Domu nie było to brane na poważnie. Pamiętajmy, że nawet w czasie wojny koreańskiej Truman był przeciwny używaniu bomb atomowych, mimo że Sowieci mieli ich wówczas bardzo niewiele – mówi prof. Holloway. I dodaje: – W 1949 r. powstał amerykański raport, który stwierdzał, że same bomby atomowe nie będą w stanie wygrać wojny ze Związkiem Sowieckim. Amerykanie liczyli się z tym, ZSRS mimo uderzeń nuklearnych mógłby wyprzeć wojska USA z Europy swoimi gigantycznymi siłami konwencjonalnymi. To byłaby powtórka z drugiej wojny światowej, ale tym razem powrót na kontynent byłby dla Amerykanów jeszcze trudniejszy. Sowieci pod koniec lat 40. szacowali, że naloty strategiczne na Niemcy byłyby równe detonacji ok. 300 bomb atomowych z Hiroszimy. Kierownictwo kremlowskie wychodziło z założenia, że będzie w stanie przetrwać takie uderzenie.

Święty Zygmunt Szczęśny Feliński

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Rok 2022 jest w Kościele polskim poświęcony Zygmuntovi Szczęsnemu Felińskiemu. Prelekcje, konferencje, konkursy i inne wydarzenia, takie jak koncerty muzyki oratoryjnej „Mówiono o nim, że przegrał... 11 obrazów z życia świętego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego” (słowa na podstawie pism Felińskiego ułożył Bartłomiej Włodkowski, a muzykę skomponował Jerzy Cembrzyński), mają ożywić pamięć o tym mało znanym i niedocenianym świętym i jego duchowej spuściznie.

Każdego, kto poznaje bliżej tę postać, musi dziwić to, że Zygmunt Szczęśny Feliński praktycznie nie istnieje w zbiorowej świadomości Polaków. Jak zauważył ks. Ogrodnik na konferencji zorganizowanej przez KAI 14 czerwca, prawdopodobnie nie ma do dziś w całej Polsce żadnej parafii pod jego wezwaniem, nie stawia mu się pomników, a jego imieniem nie nazywa ulic w stolicy, która tyle mu zawdzięcza (ulica Alojzego Felińskiego w Warszawie przywołuje bowiem pamięć jego stryja, poety i dramaturga). Tak jakby św. Zygmunt Szczęśny Feliński nie do końca pasował do pantheonu polskich bohaterów narodowych i czczonych w naszym kraju świętych.

PRZYJACIEL SŁOWACKIEGO

W życiu Zygmunta Szczęsnego Felińskiego jak w zwierciadle odbija się cały tragizm czasów, w których przyszło mu żyć i działać. Urodził się na Wołyniu w Wojutynie, w ziemiańskim majątku rodziców, gdzie od najmłodszych lat uczył się, szczególnie od matki i babki, pobożności i patriotyzmu. Mając 11 lat, stracił ojca, a niespełna pięć lat później jego matka za udział w tzw. spisku Konarskiego została aresztowana i zesłana na Sybir, skąd powróciła dopiero po pięciu latach. Opuszczonym i pozbawionym wszelkich środków do życia Zygmuntem i jego pięciorgiem rodzeństwa zajęli się znajomi i przyjaciele rodziny.

Feliński trafił do domu Zenona Belina-Brzozowskiego, zamożnego polskiego ziemianina, który sfinansował jego studia – najpierw na wydziale matematyki w Moskwie, potem na humanistycznych fakultetach na Sorbonie i w Collège de France. W czasie swoich francuskich studiów Feliński nawiązał bliskie stosunki z czołowymi działaczami emigracji polskiej, w tym z samym przywódcą obozu konserwatywno-liberalnego Hotel Lambert Adamem Czartoryskim, poznał

też m.in. Adama Mickiewicza. Prawdziwa i wielka przyjaźń połączyła go jednak z Juliuszem Słowackim (ich matki były również przyjaciółkami, a Feliński przez kilka lat mieszkał w domu Słowackiego w Krzemieńcu, podczas gdy ten był już na emigracji). O 13 lat starszy Słowacki z wielkim szacunkiem pisał o swoim młodym przyjacielu w listach do znajomych i – jak na wieszczą przystało – przeczuwał, że jego życie będzie niezwykle, mówiąc, że „widział wielką gwiazdę świecącą nad jego głową i rozmodlone tłumy, klęczące u jego stóp w świątyni”.

narodowi w drodze ku odrodzeniu kraju, która dokonać się może tylko poprzez jego moralny wzrost. Tym samym Feliński zaczął dystansować się od romantycznego etosu walki zbrojnej i mesjanistycznej roli przypisywanej Polsce przez romantycznych twórców, w tym przez samego Słowackiego. W swych pamiętnikach napisze po latach: „Przejrzałem jasno, że jakkolwiek naród mój stał się ofiarą okrutnego bezprawia, nie poszedł jednak na męczeństwo ani dobrowolnie, ani bez grzechu, jak nasz Odkupiciel i wstępujący w Jego ślady męczennicy, że

Patron na ciężkie czasy



Agnieszka Golańska-Bault

Dwieście lat temu przyszedł na świat arcybiskup Warszawy – św. Zygmunt Szczęśny Feliński. Jeden z najznamienszych Polaków XIX w., pobożny kapłan, patriota, przenikliwy myśliciel, skuteczny organizator, płodny i zdolny pisarz

Z kolei to właśnie relacji Felińskiego zawdzięczamy wiedzę o ostatnich chwilach Słowackiego, gdyż był on obecny przy jego śmierci. W istocie odejście Juliusza Słowackiego, które było ciosem dla Felińskiego, stało się również momentem zwrotnym w jego życiu. Sam wyznał po latach, że to u grobu wieszczą rodziło się jego powołanie kapłańskie. Po rozczarowujących doświadczeniach zbrojnej walki o odzyskanie niepodległości Polski (Feliński brał udział w potyczkach powstania poznańskiego w 1848 r.), w wyniku negatywnej oceny moralnej Wiosny Ludów oraz zniesmaczenia waśniami skłóconej, patriotycznej emigracji polskiej, które Feliński z bliska obserwował w Paryżu, posługa kapłańska jawiła mu się jako jedyna sensowna droga służby

uwzględniając winy i błędy narodowe, słuszniej jest nazwać Polskę oplakującą grzechy swe Magdaleną niżli Chrystusem narodów”.

FRANCISZKANKI RODZINY MARYI

W 1851 r. rozpoczął naukę w seminarium duchownym w Żytomierzu, a potem w Petersburgu. Wkrótce po święceniach kapłańskich objął posadę ojca duchownego petersburskiej Akademii Duchownej, zyskał też uznanie jako rekolekcjonista i spowiednik. W Petersburgu dał też początek wielkiemu dziełu, które trwa do dziś i jest niezwykle bogactwem Kościoła, szczególnie w Polsce. Na prośbę swojego przyjaciela ks. Łubieńskiego objął tymczasową opiekę nad przytułkiem Rodziny Maryi, który w carskiej

■ Rosji, gdzie zakazane było fundowanie zgromadzeń zakonnych, miał być przykrywką dla działającego w konspiracji zakonu klauzurowego. Feliński rzucił się w wir pracy charytatywnej, do sierocińca przyjmował coraz to nowe dzieci, osoby ubogie, zakład rozrastał się dzięki zmysłowi organizacyjnemu młodego kapłana, zgromadzenie zaczęło świetnie prosperować, a siostry, niejako zmuszone do zajmowania się potrzebującymi, zmieniły regułę swojej posługi. Tak powstało Zgromadzenie Franciszkanek Rodziny Maryi, które wraz z Felińskim przywędrowało do Polski i do dziś prowadzi tu swoje rozliczne dzieła: szkoły, przedszkola, domy dziecka, okna życia, a w okresie drugiej wojny światowej wstawiło się ratowaniem żydowskich dzieci. To dzięki bohaterskiej postawie zakonnic, w szczególności matki Matyldy Getter, Sprawiedliwej wśród Narodów Świata, udało się ocalić od pewnej śmierci co najmniej kilkadziesiąt istnień ludzkich.

W 1862 r. Zygmunt Szczęsny Feliński decyzją papieża Piusa IX został wybrany na arcybiskupa metropolitę warszawskiego. Rzecz jasna, decyzja papieża musiała zyskać aprobatę cara, który do kandydatury Felińskiego nie zgłaszał zastrzeżeń i z pewnością liczył, znając jego dystans do spraw bieżącej polityki, że nowy biskup będzie starał się wpłynąć na uspokojenie nastrojów rewolucyjnych we wrzącej Warszawie.

Feliński zdawał sobie sprawę ze swojego trudnego położenia, wiedział, że będzie w Warszawie podejrzewany o kolaborację. Przybył do miasta głęboko podzielonego. Stronnictwu białych złożonemu z ziemiaństwa i burżuazji, upatrzącym drogę walki o niepodległość w pracy organicznej, budowaniu silnej polskiej gospodarki, pokojowych manifestacjach i negocjacjach z zaborcami, przeciwstawiło się stronnictwo czerwonych, spisująca, rewolucyjna młodzież, wśród niej liczni księża, praca do zbrojnego powstania. Przybywający do Warszawy Feliński był przez nich postrzegany jako człowiek cara, przyjęty został nieufnie, a nawet wrogo. Tymczasem nowy metropolita z energią i w całkowitym zawierzeniu Boskiej Opatrności podjął swoje, jak sam je nazywał, „niemożliwe posłannictwo”.

„Polakiem jestem, Polakiem umrzeć pragnę, bo tego chce Boskie i ludzkie prawo, uważam nasz język, naszą historię, nasze obyczaje narodowe za drogocenną spuściznę po przodkach, którą następcom

W sposobie, który bł. Stefan Wyszyński i św. Feliński wybrali do realizacji swojego posłannictwa, dostrzec można wiele analogii

naszym święcie przekazać powinniśmy, wzbogaciwszy skarbnicę narodową własną pracą” – pisał w jednym z pierwszych listów do wiernych. Nie wiedział jeszcze, że jego misja zakończy się szybko, bo w zaledwie 16 miesięcy. W tym czasie rekuncyliował i otwierał sprofanowane i zamknięte kościoły, poświęcał się z oddaniem pracy duszpasterskiej, formacji seminarzystów, popularyzował odmawianie nabożeństwa majowego, fundował zgromadzenia opiekujące się najbiedniejszymi mieszkańcami Warszawy, wstawał się za prześladowanymi przez carat patriotami.

Nie opowiadając się po stronie zwolenników insurekcji, jako polityczny realista przeciwstawiając się bezsensownemu rozlewowi krwi i przewidując wzmożenie prześladowań ze strony bezwzględnej władzy w przypadku kolejnego zrywu, nie był w stanie powstrzymać rewolucyjnych dążeń, także wśród nierozumiejącego jego intencji duchowieństwa. Gdy w 1863 r. wybuchło powstanie styczniowe, stanął po stronie zbuntowanych rodaków. W odważnym liście do cara Aleksandra II apelował: „Krew płynie wielkimi strumieniami, a represje zamiast uspokoić umysły, jeszcze bardziej je rozdrażniają. W imię miłosierdzia chrześcijańskiego i w imię interesów obu narodów błagam Waszą Cesarską Mość, abyś położył kres tej wyniszczającej wojnie... Polska nie zadowolona się autonomią administracyjną, ona potrzebuje bytu niepodległego”.

Na skutek swej bezkompromisowej postawy wobec cara i narastających konfliktów z władzami zaborczymi 14 czerwca 1863 r., na wezwanie Aleksandra II, pod wojskową eskortą wyjechał z Warszawy do Petersburga, aby nigdy już do niej nie wrócić. Został bowiem skazany na wieloletnie wygnanie, pozbawienie tytułu metropolity warszawskiego i dożywotni zakaz wjazdu na teren diecezji. W Jarosławiu nad Wołągą przyszło mu dzielić los powstańców styczniowych, których przecież próbował od walki odwozić – stał się ich duchowym opiekunem na długie 20 lat.

Po powrocie z wygnania Zygmunt Szczęsny Feliński zamieszkał w galicyjskiej wsi Dźwiniacze, gdzie do końca życia poświęcał się z ogromnym zaangażowaniem pracy duszpasterskiej wśród ludności wiejskiej oraz pisarstwu. Ciało zmarłego w 1895 r. w Krakowie świętego biskupa spoczywa dziś w katedrze św. Jana w Warszawie.

AKTUALNOŚĆ I MOC

Jego duchowy testament, pozostawiony Polakom tuż przed udaniem się na wygnanie, nic nie stracił ze swej aktualności i mocy. W przededniu wyjazdu z Warszawy wołał do swych kapłanów: „Strzeżcie praw Kościoła świętego. Pilnujcie gorliwie świętej wiary naszej. Przeciwnościami się nie zrażajcie. Miejcie Pana Boga w pamięci i sercu. Jeżeli was by kto namawiał do takiego czynu, którego popełnić się nie godzi bez uchybienia prawom Bożym i prawom Kościoła, odpowiadajcie każdy: »non possumus«”.

To, że słowa „non possumus” („nie możemy”) wybrzmiały niemal 100 lat później z równą siłą z ust kard. Stefana Wyszyńskiego, nie jest dziełem przypadku. Dla błogosławionego Stefana Wyszyńskiego życie i dzieło Felińskiego były bowiem ważnym źródłem inspiracji, a w okolicznościach, w których przyszło im kierować polskim Kościołem, w sposobie, który wybrali do realizacji swojego posłannictwa, oraz w rysie ich maryjnej pobożności dostrzec można wiele analogii. To zresztą właśnie kard. Wyszyński doprowadził do wszczęcia procesu wyniesienia Zygmunta Szczęsnego Felińskiego na ołtarze, którego zwieńczeniem była msza kanonizacyjna odprawiona przez Benedykta XVI w Watykanie 11 października 2009 r. W ten oto sposób wypełniło się proroctwo Juliusza Słowackiego o niezwykłej przyszłości przyjaciela. W kazaniu wygłoszonym z okazji otwarcia procesu beatyfikacyjnego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego w 1965 r. bł. kard. Stefan Wyszyński prosił wiernych: „Idźcie do Katedry, [...] pochylcie swoje głowy u jego sarkofagu, a zobaczycie: tam leży Człowiek, o którym mówiono, że przegrał, a to jest Zwycięzca!”.

Można potraktować te słowa jako zachętę i dla nas, gdyż Zygmunt Szczęsny Feliński może być nie tylko świętym patronem na czas historycznych prób i naszych ludzkich niepowodzeń, lecz także inspirującym głosem w ocenie współczesnych dylematów politycznych, społecznych i moralnych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Męczennik Mokotowa

Wśród panteonu polskich bohaterów powstania antykomunistycznego (które nastąpiło wraz ze wznowieniem okupacji sowieckiej po 1944 r.) kilku jest mi szczególnie bliskich. Należy do nich por. Jan Kaim „Filip”, „Wiktor”. Był to przedwojenny działacz Młodzieży Wszechpolskiej i Stronnictwa Narodowego, student Politechniki Lwowskiej (na Wydziale Inżynierii Lądowej i Wodnej) i prezes Bratniej Pomocy.

Urodził się 17 września 1912 r. w Starosiedlicach (powiat iłżecki) w wielodzietnej rodzinie rolników. Pęd do wiedzy i wybitnie w społeczeństwie powodował, że mimo przeszkód materialnych ukończył szkołę średnią i dostał się na studia. Utrzymywał się głównie z korepetycji oraz pracy zarobkowej, przedłużając okres studiów. Lwów był jednym z organizacyjnych bastionów przedwojennego ruchu narodowego i grupował wybitnych przedstawicieli tego kierunku politycznego. Jan Kaim – obok nauki – poświęcił się pracy organizacyjnej i ideowej, nawiązując wiele kontaktów, nie tylko na szczeblu lokalnym. Podczas wojny obronnej w 1939 r. był m.in. obrońcą twierdzy Brześć, a następnie uczestnikiem walk z Niemcami i bolszewikami w ramach SGO „Polesie” gen. F. Kleeberga.

Szybko znalazł się w konspiracji. Od listopada 1939 r. był m.in. szefem organizacyjnym NOW w powiecie starachowickim, ale pełnię możliwości rozwinął jako dowódca oddziału dywersyjnego „Filip”, podejmując bezpośrednią

walkę z Niemcami. Następnie dowodził oddziałem (plutonym) specjalnym „Wiktor” przy KG NOW-AK. Przejściowo działał też w NSZ.

Kaim był usilnie poszukiwany przez Niemców, co zakończyło się jego aresztowaniem w czerwcu 1944 r. Po bardzo ciężkim śledztwie na Pawiaku trafił do KL Gross-Rosen, następnie do Mauthausen i Linz III. Po uwolnieniu przez armię USA i koniecznej rekonwalescencji powrócił do kraju i działalności politycznej.

Został kurierem SN do Londynu, gdzie przekazał wszelkie istotne informacje o działalności konspiracyjnej w Polsce pod panowaniem komunistów. Zgodził się tam na powrót do kraju, z misją polityczną i wojskową. Po wykonaniu zadań ponownie dotarł do polskich ośrodków emigracyjnych w czerwcu 1946 r. Ponad rok później ponownie udał się do Polski, tym razem z ostatnią misją. Podczas jej wykonywania został aresztowany przez UB. Miał bardzo okrutne śledztwo: aż 71 przesłuchań, bezsenne nocy i stójek, sąd określenie „męczennik Mokotowa”. Po paradii tzw. procesu kiblowego miał być skazany na karę dożywotniego więzienia, ale szef warszawskiego sądu rejonowego ppłk Aleksander Warecki (Warenhaupt) nakazał, że ma być kara śmierci. I była... Jan Kaim został zamordowany strzałem w tył głowy 18 lipca 1949 r. w więzieniu na Mokotowie. Jego szczątki odnaleziono 23 maja 2013 r. przez IPN na powązkowskiej „Łączce”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koniec krwawego Felka

Gdy w Polsce upadał komunizm, a niedawni wielbiciele Kremla z zapalem stroili się w piórka socjaldemokratów, w kraju rozpoczęto demontaż pomników minionego ustroju. Jako jeden z pierwszych usunięto monument Feliksa Dzierżyńskiego ze stołecznego placu jego imienia, który zresztą w tym czasie oficjalnie powrócił do dawnej nazwy (pl. Bankowy).

Pomnik odsłonięto 21 lipca 1951 r. i od samego początku był nienawidzony przez warszawiaków. Niebawem figurze pomalowano ręce na czerwono, a choć władze natychmiast przystąpiły do jej renowacji, to monument od tej pory nazywany był krwawym Felkiem. Natomiast w lutym 1982 r. 16-letni Emil Barchański wraz z kolegami oblał pomnik farbą i usiłował go podpalić, a niespełna miesiąc później został aresztowany przez SB. Zmaltretowanego chłopaka wprowadzono na wolność, ale kilka tygodni później jego ciało wyłowiono z Wisły.

WWarszawie nigdy nie ustawiono pomnika Lenina, zatem monument Dzierżyńskiego był ważnym symbolem komunizmu i panowania sowieckiego nad Polską. Nic zatem dziwnego, że zdecydowano się go względnie szybko zdemontować, tym bardziej że niepilnowany już przez służby porządkowe był celem działalności domorosłych graffitiarzy. Na cokole wyrażali oni zresztą nie tylko

nienawiść do poprzedniego ustroju, lecz także bardziej przyziemne potrzeby. W tej sytuacji, 16 listopada 1989 r., na placu pojawili się pracownicy Wojewódzkiej Dyrekcji Dróg Miejskich, przygotowując się do usunięcia monumentu, co zaplanowano na dzień następny. Faktycznie, nazajutrz, w otoczeniu tłumów warszawiaków, prasy i kamer akcją przeprowadzono, ale nie przebiegła w sposób do końca planowy. Koparka (z zakładów im. Waryńskiego ze stosownym napisem!) uniosła figurę, która niespodziewanie rozpadła się na kilka części. Okazało się bowiem, że postać szefa Czecha wykonano z typowo komunistyczną niedbałością, czyli nie z brązu, lecz z betonu pokrytego cienką blachą. Wprawiło to zresztą w doskonały nastrój widzów, którzy ruszyli zabierać na pamiątkę szczątki „krwawego Felka”, a największą popularnością cieszył się nos bolszewika.

Kilka tygodni później, wracając bardzo późno w nocy z pracy, przejeżdżałem przez pl. Bankowy. Ku swojemu osłupieniu dostrzegłem oświetloną figurę Dzierżyńskiego stojącą ponownie na cokole. Nie pomogło szczypanie się w udo, postać szefa Czecha wciąż tam była. Zdezorientowany włączyłem radio i na szczęście usłyszałem, że była to tylko makieta z pomalowanego styropianu ustawiona na potrzeby kręcenia filmu, a nie powrót bolszewików nad Wisłę... ©©

Nie ma Rosji bez Putina



Maciej Pieczyński

Jeśli w Moskwie dojdzie do zmiany władzy, to na pewno nie przejdzie ona w ręce prozachodnich demokratów. Antyputinowska opozycja, snująca pod Warszawą plany zabicia Putina, to w najlepszym wypadku naiwni marzyciele. W najgorszym – prokremlowscy prowokatorzy

Zjazd Deputowanych Ludowych w Jabłonnii pod Warszawą wzbudził zrozumiałe zainteresowanie mediów. Oto bowiem rosyjscy opozycjoniści spotykają się, by zdecydować, jak ich kraj powinien wyglądać po obaleniu dyktatury. Tworzą coś na kształt alternatywnego, emigracyjnego rządu.

Wiele o charakterze tego przedsięwzięcia mówi postać głównego organizatora i zarazem twarzy zjazdu. Ilja Ponomariow, biznesmen i polityk o poglądach lewicowych i wielkich ambicjach. U schyłku ZSRS aktywista komsomolski. W Rosji postsowieckiej działacz m.in. Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej czy partii Sprawiedliwa Rosja. To ostatnie ugrupowanie opuścił, gdy z prawdziwej opozycji stało się ono systemową opozycją, tylko z pozoru sprzeciwiającą się władzy. Był aktywnym działaczem antyputinowskim. W 2013 r.

postawiono mu zarzuty o udział w defraudacji pieniędzy należących do fundacji Skolkowo. Na jej koszt Ponomariow miał przeprowadzić wiele wykładów w Stanach Zjednoczonych. Nie był to jedynie element represji politycznych ze strony Kremla. Nawet Aleksiej Nawalny, nieprzypadający zresztą za Ponomariowem, sugerował, że honoraria za wykłady były podejrzanie wysokie.

„ORGANIZATOR ANTYPUTINOWSKIEGO TERRORU”

W 2014 r. Ponomariow był jedynym deputowanym do Dumy, który zagłosował przeciwko aneksji Krymu. Co istotne, uważał, że Krym jest rosyjski i powinien być do Rosji włączony, ale na zasadach dobrowolności, w ramach wspólnego, rosyjsko-ukraińsko-białoruskiego państwa. Zaakceptował nawet wyniki pseudoreferendum, argumentując, że przecież większość mieszkańców półwyspu to Rosjanie. Jego zdaniem należało zająć Krym, ale nie w tak beceremonialny sposób, jak to zrobił Putin, narażając Rosję na wojnę z Ukrainą i Zachodem. Po prostu trzeba było cierpliwie i pokojowo przeciągać Kijów na swoją stronę. Podobnie jak Putin uważał perspektywę wejścia Ukrainy do NATO za zagrożenie dla Rosji. Niemniej sam sprzeciw sprawił, że Ponomariow musiał w końcu Rosję opuścić. Najpierw wyjechał do Stanów, następnie na Ukrainę, gdzie robił interesy z amerykańskimi inwestorami. W 2019 r. otrzymał od Petra Poroszenki obywatelstwo ukraińskie.

Po wybuchu pełnowymiarowej wojny zaangażował się w tworzenie u boku Ukrainy oddziałów wojskowych, złożonych z rosyjskich jeńców i dezertersów. W sierpniu zrobiło się wokół niego głośno w związku ze śmiercią Darii Duginy. Do zamachu przyznała się wówczas Narodowa Armia Republikańska (NAR) – rosyjski ruch partyzancki, którego celem jest obalenie Putina. Przyznała się za pośrednictwem Ponomariowa, który ogłosił, że nawiązał kontakt z partyzantami. Przymiotnik „republikański” nawiązuje do tradycji Nowogrodu jako średniowiecznej republiki miejskiej. Tę tradycję biorą na sztandary ci Rosjanie, którzy usiłują dowieść, że ich kraj nie zawsze był despotią. Biało-niebiesko-białe barwy Nowogrodu stały się barwami części antywojennej opozycji w Rosji, Rosjan walczących po stronie Ukrainy oraz samego Zjazdu Deputowanych Ludowych.

Tak czy inaczej, poza Ponomariowem nikt o NAR nigdy nie słyszał. Pojawiły się głosy, że organizacja ta jest elementem gry rosyjskich służb specjalnych, a opozycjonista – tych służb nieświadomym narzędziem, jeśli nie świadomym współpracownikiem. Niezależnie od tego, kto naprawdę zabił Duginę, pochwała zamachu na bądź co bądź cywila nieuczestniczącego bezpośrednio w działaniach wojennych (a jedynie te działania popierającego) spotkała się z potępieniem ze strony umiarkowanego (większościowego) skrzydła opozycji, które nie podziela radykalizmu Ponomariowa.

Pozycjonuje się on jako rewolucjonista, organizator antyputinowskiego

terroru. Człowiek czynu, który dąży do siłowej zmiany władzy w Rosji. Choćby z pomocą Ukraińców, choćby poprzez zamachy terrorystyczne. To nie do końca podoba się sporej części rosyjskiej opozycji. Nawet niektórym uczestnikom Zjazdu Deputowanych Ludowych. Ponomariow już na początku inwazji zaofiarował milion dolarów nagrody za głowę władcy Kremlu. Jednym z postanowień zjazdu była deklaracja przeprowadzenia lustracji. Mieliby jej uniknąć ci, którzy pełnili funkcje państwowe przed aneksją Krymu, a także osoba, która „zabije Putina”. Hasło fizycznej likwidacji prezydenta Rosji było otwarcie podnoszone przez zgromadzonych. Ale nie przez wszystkich. Zdaniem części „deputowanych” należy wybrać bardziej cywilizowaną drogę niż zamach i skazać Putina przed międzynarodowym trybunałem.

REWOLUCJI NIE BĘDZIE

Nawet zatem w ramach zjazdu rosyjska opozycja jest podzielona. I to nie tylko w sprawach ideowych. Ponomariow części „deputowanych” nie dopuszczał do głosu, według relacji uczestników samowolnie wprowadzał poprawki do uchwalanych podczas obrad dokumentów, manipulował wynikami głosowań. Gdy takie zarzuty postawiła mu „deputowana” Nina Bielajewa, nazwał ją „osobą z problemami psychicznymi”. Nic dziwnego, że kremłowska propaganda nie tylko skrytykowała zjazd, lecz także z satysfakcją wyśmiała. W państwowych mediach rosyjskich przedstawiono obraz „klaunów”, „marionetek”, „własowców”, „samozwańców”, którzy, podobnie jak Żełenski czy Cichanouska, są pieskami na smyczy Waszyngtonu, ale przy tym są niegroźni, bo skłóceni i żałośni.

Drugi Zjazd Deputowanych Ludowych wstępnie planowany jest na luty 2023 r. Okazją mają być rocznice – inwazji Rosji na Ukrainę oraz rewolucji lutowej. Zwłaszcza to drugie wydarzenie działa na wyobraźnię Ponomariowa i jego współpracowników. Ale trzeba być naiwnym, aby wierzyć, że radykalna część antyputinowskiej opozycji rozpęta w Rosji rewolucję, która doprowadzi do zmiany reżimu. Po pierwsze, twarz i zarazem lider tego ruchu jest postacią zbyt kontrowersyjną nawet wśród przeciwników Putina. Po drugie, brakuje mu charyzmy, charakteru i popularności Nawalnego. Po trzecie, jak pokazał zjazd w Jabłonnie, nie potrafi trwale skonsolidować nawet niewielkiej

grupy działaczy wokół swoich idei. Nie ma więc wystarczającego zaplecza politycznego. Po czwarte, przypadek Swiatłany Cichanouskiej pokazał, że emigracja oznacza koniec walki o władzę w swoim kraju. To ryzyko rozumiał Nawalny, dlatego wrócił do Rosji, woląc być więźniem reżimu (i bohaterem w przypadku zmian na Kremlu) niż „berlińskim pacjentem”, ukrywającym się na „wrażym” Zachodzie.

A i tak Cichanouska miała lepszą sytuację niż Ponomariow – bo po kryzysie 2020 r. na Zachód uciekła część oficerów białoruskich służb, tworząc w Polsce organizację BYPOL, która dzieliła się swoją wiedzą na temat reżimu i mogła potencjalnie stanowić podstawę do realnej walki z Łukaszenką. To i tak nie pomogło – zbiegli siłowicy nagłaśniali znane im zbrodnie władz w Mińsku, informowali o szczegółach operacji „Śluza”, ale nic poza tym. Z kolei kapitałem Ponomariowa są wspomniani już rosyjscy jeńcy i dezertrzy, walczący jako Rosjanie w szeregach ukraińskich. To jednak kropla w morzu potrzeb wrogów Putina. Jak na razie armię rosyjską dziesiątkują przede wszystkim żołnierze Żełenskiego, a nikt nie potwierdził istnienia rzekomej partyzanckiej armii Ponomariowa, która jest raczej wytworem akcji PR-owskiej ambitnego opozycjonisty. Ewentualnie – personifikacją myślenia życzeniowego niespełnionego rewolucjonisty.

Porównania do roku 1917 są ahistoryczne. Wtedy cara do abdykacji zmusili przedstawiciele elity władzy, którzy osiódłali społeczny bunt. Parlamentarzyści. Deputowani do Dumy o poglądach demokratycznych i liberalnych. Dziś takich w Moskwie już nie ma. Parlament w zasadzie od czasów Jelcyna (który spory konstytucyjne z władzą ustawodawczą rozstrzygał przy pomocy czołgów) jest potulną wobec prezydenta maszynką do głosowania, w epoce Putina zaś nawet tacy samotni opozycjoniści jak Ponomariow są wypychani na margines polityki. Jeśli ktoś usunie gospodarza Kremlu, to nie będzie to ani prozachodni liberał, ani demokracja, tylko jeden z prowójennych jastrzębi, ewentualnie jeden z nadwornych technokratów. Na pewno nie będzie to wirtualna partyzantka.

Szczególnie że w Rosji zwyczajnie nie ma obecnie nastrojów rewolucyjnych. To również powód, dla którego część opozycjonistów – w tym znany ekonomista Władisław Inozemcew – odmówiła udziału w podwarszawskim zjeździe.

Radykalna retoryka nie ma tymczasem szans trafić na podatny grunt w Rosji. Świadomi tego są nawet współpracownicy Ponomariowa. Uczestnik zjazdu Andriej Sidielnikow w rozmowie z rosyjskojęzycznym portalem Gołos Amieriki, finansowanym przez USA, nakreślił bardzo pesymistyczny dla przeciwników Putina obraz. Po 24 lutego ponad milion Rosjan uciekło z kraju. Mimo to nie słychać, żeby organizowali oni wielotysięczne antywojenne demonstracje tam, do kąd wyemigrowali. A przecież za granicą nie grozi im już odpowiedzialność karna. To zaś oznacza, że absolutna większość Rosjan nie zamierza z Putinem walczyć. Nie zamierza go odsuwać od władzy. Największy exodus i największe protesty zarazem odnotowano po ogłoszeniu częściowej mobilizacji. Rosjanom putinowska dyktatura jest więc raczej obojętna dopóty, dopóki nie są zmuszani umierać na froncie za swojego dyktatora. Nie sprzeciwiają się wojnie, tylko swojemu bezpośredniemu udziałowi w niej.

PUTIN WIECZNIE ŻYWY

Każda informacja o działaniach rosyjskiej opozycji czy o problemach Putina ze zdrowiem wywołuje w polskiej i zachodniej opinii publicznej mniej lub bardziej euforyczną falę optymizmu. Tymczasem nic nie wskazuje na to, by w najbliższych miesiącach zmienić się gospodarz Kremla. Putin wydaje się wiecznie żywy w tym sensie, że jego ewentualny następca będzie kontynuował politykę zagraniczną poprzednika. Zaproponowany przez Zjazd Deputowanych Ludowych powrót do granic sprzed aneksji Krymu wydaje się równie nierealny jak istnienie Narodowej Armii Republikańskiej. Ponadto, jak kiedyś powiedział mi w wywiadzie bliski współpracownik Nawalnego Władimir Miłow, ten, kto po zdobyciu władzy w Rosji ogłosi oddanie Krymu Ukrainie, nazajutrz tę władzę straci. Jeśli kiedyś Rosja nie będzie antyzachodnią despotią, to raczej nie stanie się demokratyczną republiką parlamentarną hołdującą tradycji nowogrodzkiej bardziej niż moskiewskiej. Pisarz postmodernistyczny, moralny autoritet opozycji Wiktor Jerofiejew niedawno powiedział, że Rosja potrzebuje nowego Piotra Wielkiego. Czyli prozachodniego, nowoczesnego, ale jednak wciąż imperialnego i wciąż despoty. I to jest jedyna, mało prawdopodobna, ale jednak możliwa, alternatywa dla antyzachodniego systemu Putina.



Triumf izraelskich rasistów

O ile sam powrót Beniamina Netanjahu nie wzbudza entuzjazmu obecnych władz USA, o tyle perspektywa wejścia do izraelskiego rządu kahanistów budzi przerażenie nie tylko w Białym Domu, lecz także wśród znacznej części żydowskiej diaspory, w tym w szczególności amerykańskiej. Warto przy tym przypomnieć, że



Witold Repetowicz

Największym zwycięzcą izraelskich wyborów parlamentarnych nie jest Beniamin Netanjahu i jego Likud, lecz Itamar Ben-Gvir, który chce stworzenia dla siebie ministerstwa bezpieczeństwa publicznego. Kilkanaście lat temu izraelski sąd skazał go za wspieranie terroryzmu i rasizm. Ben-Gvir reprezentuje bowiem ideologię kahanizmu, uznawaną czasem za żydowski faszyzm



Itamar Ben-Gvir, lider Oetzma Yehudit (Żydowska Siła), wygłasza przemówienie po wyborach 2 listopada 2022 r.

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Wizyta amerykańskiego prezydenta w Izraelu w lipcu br. była również wyrazem politycznego wsparcia dla ówczesnego premiera Ja'ira Lapida i jego liberalnego ugrupowania Yesh Atid, które opowiada się za świeckim państwem, co ustawia je na kursie kolizyjnym z ortodoksyjnymi Żydami i ich reprezentacją polityczną w postaci tradycyjnych sojuszników Netanjahu, tj. partii Szas oraz Yahadut Ha Tora. To jednak nic w porównaniu ze stosunkiem do Itamara Ben-Gvira, którego w Izraelu wszyscy na lewo od Likudu uznają za terrorystę i faszystę.

EKSTREMISTYCZNA IDEOLOGIA

W 2007 r. sąd w Jerozolimie uznał Ben-Gvira winnym głoszenia rasizmu oraz wspierania organizacji terrorystycznej. Mimo że za te przestępstwa groziło mu łącznie osiem lat więzienia i nie był to ani jego pierwszy, ani też ostatni wyrok, to Ben-Gvir za krótki czas trafił. Podstawą wyroku z 2007 r. były jego nawoływanie do wydalenia wszystkich Arabów z Izraela oraz pochwała poglądów rabina Me'ira Kahane. Ben-Gvir rozpoczął swoją karierę jako nastoletni aktywista w stworzonej przez Kahane w 1971 r. partii Kach, której największym sukcesem wyborczym było zdobycie 1,2 proc. głosów i jednego mandatu (deputowanym został Kahane) w 1984 r. W kolejnych wyborach Kach już nie mogła startować, bo zakazał tego sąd. Me'ir Kahane głosił bowiem, że Izrael powinien anektować całe terytorium Palestyny i wygnąć z niego wszystkich Arabów, a państwo żydowskie powinno mieć charakter religijny z prawem opartym na wynikającym z Talmudu systemie Halacha, na podstawie jego XII-wiecznej kodyfikacji

dokonanej przez sefardyjskiego uczonego Majmonidesa.

Kahane do Izraela wyemigrował z USA, gdzie wcześniej zdążył zostać skazany przez nowojorski sąd na pięć lat więzienia za gromadzenie materiałów wybuchowych. W 1990 r. karierę Me'ira Kahane przerwał w nowojorskim hotelu arabski terrorysta El Sayyid Nosair, który wpakował w izraelskiego fundamentalistę kilka kulek ze swojego Magnum Smith & Wesson. Cztery lata później członek partii Kach Baruch Goldstein dokonał masakry muzułmanów modlących się w Grocie Patriarchów w Hebronie, zabijając 29 i raniąc 125. O ile większość Izraelczyków uważa Goldsteina za niezrównoważonego, a ortodoksyjni liderzy szybko się od niego odcięli, o tyle partia Kach poparła ten zamach. W rezultacie sąd w Izraelu zakazał jej działalności, a kahanizm

został uznany za ideologię ekstremistyczną.

Zdjęcie Goldsteina wisiało w salonie Ben-Gvira do 2020 r. i wielu sądzi, że zdjął je z przyczyn taktycznych, by zwiększyć swoje szanse w wyborach parlamentarnych. Jeszcze niedawno niewiele zapowiadało, by Ben-Gvir mógł odgrywać jakąś znaczącą rolę w izraelskiej polityce. Gdy miał 18 lat, nie przyjęło go nawet do izraelskiego wojska (IDF) ze względu na ekstremistyczne poglądy. Jak opowiadał mi jeden z jego współpracowników (który później zerwał z kahanistami i z obawą o swoje życie wyemigrował z Izraela, zmieniając poglądy na lewicowe), бойówki dowodzone przez Ben-Gvira łączyły mafijny charakter z ekstremistyczną agendą, dokonując licznych aktów kryminalnych, takich jak pobicia i zabójstwa. Bazą kahanistów byli mieszkańcy nielegalnych osiedli

REKLAMA



NARODOWE CENTRUM NAUKI

KONKURS NA STANOWISKO DYREKTORA NARODOWEGO CENTRUM NAUKI

Rada NCN, działając na podstawie art. 4 ust. 1 ustawy z dnia 30 kwietnia 2010 r. o Narodowym Centrum Nauki (Dz.U. z 2019 r. poz. 1384 z późn. zm.), ogłasza **nabór kandydatów na stanowisko Dyrektora Narodowego Centrum Nauki**.

Konkurs przeprowadzany jest zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 7 grudnia 2010 r. w sprawie konkursów na stanowiska Dyrektora i zastępcy Dyrektora Narodowego Centrum Nauki (Dz.U. nr 238, poz. 1585) i składa się z dwóch etapów obejmujących:

- ocenę formalną zgłoszeń do konkursu oraz ocenę kwalifikacji zawodowych kandydatów na podstawie przedstawionych dokumentów;
- ocenę kandydatów na podstawie rozmowy kwalifikacyjnej.

Wymagania:

Kandydatem na stanowisko Dyrektora Narodowego Centrum Nauki może być osoba, która:

- korzysta z pełni praw publicznych;
- nie była skazana prawomocnym wyrokiem za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe;
- posiada co najmniej trzyletnie doświadczenie na stanowiskach kierowniczych w sektorze naukowym lub badawczo-rozwojowym;
- posiada co najmniej stopień naukowy doktora;
- posiada znajomość języka angielskiego w stopniu pozwalającym na swobodne porozumiewanie się.

Zgłoszenie kandydata powinno zawierać:

- koncepcję funkcjonowania Narodowego Centrum Nauki opracowaną w formie pisemnej lub w formie multimedialnej na elektronicznym nośniku danych;
- informację o dotychczasowym przebiegu pracy zawodowej, w tym o zakresie obowiązków związanych z zajmowanymi stanowiskami i pełnionymi funkcjami, okresie ich pełnienia, liczbie podległych pracowników oraz osiągnięciach zawodowych;
- poświadczoną za zgodność z oryginałem kopię dokumentów potwierdzających:
 - przebieg pracy zawodowej,
 - wykształcenie, w tym posiadanie stopnia lub tytułu naukowego,
 - ukończenie kursów i szkoleń mających znaczenie dla oceny kwalifikacji zawodowych, wiedzy oraz predyspozycji kandydata do zarządzania dużymi zespołami ludźmi, budowy i rozwoju instytucji oraz do rozwoju kapitału ludzkiego zespołów pracowniczych;
- oświadczenie o niekaralności za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe;
- oświadczenie o korzystaniu z pełni praw publicznych;
- oświadczenie, o którym mowa w art. 7 ust. 1 ustawy z dnia 18 października 2006 r. o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów (tj. Dz.U. 2007 r. nr 63, poz. 425, z późn. zm.);
- oświadczenie o wyrażeniu zgody na przetwarzanie danych osobowych w ramach konkursu;
- poświadczoną za zgodność z oryginałem kopię dowodu osobistego lub innego dokumentu potwierdzającego tożsamość.

Wszelkie oświadczenia, które należy dołączyć do zgłoszenia, dostępne są na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej NCN w zakładce „Praca w NCN”.

Termin i sposób składania zgłoszeń:

Zgłoszenia z dopiskiem „Dyrektor NCN – konkurs” należy złożyć w terminie do 31 grudnia 2022 r. osobiście w siedzibie NCN lub przesłać na adres: Narodowe Centrum Nauki, ul. Twardowskiego 16, 30-312 Kraków (decyduje data stempla pocztowego, a w przypadku wysłania za pośrednictwem kuriera – data wpływu do NCN).

Informacje o konkursie, w tym materiały informacyjne dotyczące funkcjonowania Narodowego Centrum Nauki, dostępne są na stronie internetowej ncn.gov.pl

Zgłoszenia niekompletne, niespełniające wymogów formalnych oraz przekazane po terminie nie będą rozpatrywane. O dalszych etapach konkursu kandydaci zostaną powiadomieni drogą pisemną i elektroniczną. Informacja o wynikach konkursu zostanie opublikowana na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej NCN oraz w siedzibie Centrum.

Netanjahu miał bardzo dobre relacje z Donaldem Trumpem, lecz gdy Biden wygrał wybory, to błyskawicznie pośpieszył z gratulacjami dla nowego prezydenta. Biden nie odwdziaczył się jednak Bibiemu tym samym i po zaprzysiężeniu przez cztery tygodnie zwlekał z pierwszym telefonem do premiera kluczowego sojusznika USA na Bliskim Wschodzie.

żydowskich na terytorium palestyńskim, którzy atakowali Palestyńczyków i dążyli do zniewolenia procesu pokojowego.

Po delegalizacji partii Kach część jej członków z Michaeliem Ben-Arim na czele założyła Żydowską Ligę Narodową, która w 2009 r. weszła w koalicję z kilkoma innymi skrajnie prawicowymi partiami w ramach bloku Unia Narodowa. Zdobył on raptem 3,34 proc. głosów i cztery miejsca w Knesecie, z których jedno przypadło Ben-Ariemu, a jego asystentem został Ben-Gvir. W 2012 r. stworzyli oni nowe ugrupowanie o nazwie Otzma Yehudit (Żydowska Siła), ale Ben-Ari został wyeliminowany przez Sąd Najwyższy, który zakazał jego startu w kolejnych wyborach. Nowym liderem został Ben-Gvir, ale Otzma w 2013 r. zdobyła zaledwie 1,76 proc. głosów. Przed wyborami w 2020 r. lider prawicowej koalicji Yamina Naftali Bennett zablokował przystąpienie do niej Otmym i w rezultacie kahanieści nie zdobyli nawet 0,5 proc. Wydawało się więc, że pozostaną oni egzotyczno-kryminalną ciekawostką izraelskiej polityki. W poprzednich wyborach, tj. w marcu 2021 r., Ben-Gvir zdobył jednak mandat, starując w koalicji z fundamentalistami ortodoksyjno-syjonistycznymi z partii Tkuma Bezalela Smotricha.

KARA ŚMIERCI DLA PALESTYŃCZYKÓW?

Smotrich uważany jest za nieco bardziej cywilizowanego od Ben-Gvira, niemniej również sugerował zabijanie Palestyńczyków oskarżonych o terroryzm oraz wprowadzenie w Izraelu prawa opartego na Torze. W 2019 r., na niespełna rok, został ministrem transportu, bo Netanjahu potrzebował każdego głosu w Knesecie, by utrzymać się na funkcji premiera i uniknąć postępowania karnego za

korupcję. Bibi nie był jednak aż tak szalony, by dać Smotrichowi tekę ministra sprawiedliwości, której się ów domagał. Obecnie sytuacja uległa jednak diametralnej zmianie, gdyż poparcie dla bloku Smotricha i Ben-Gvira wystrzeliło w górę, podczas gdy Likudu pozostało na niezmiennym poziomie. Obecnie Religijni Syjoniści dysponują w 120-osobowym Knesecie 14 mandatami, z których sześć przypada Otmie. Bibi nie ma szans na stworzenie rządu bez nich, a Ben-Gvir zapowiada zmiany prawne, które ostatecznie zamkną temat postępowania karnego wobec Netanjahu. Oczywiście „coś za coś”, czyli, jak to określił jeden z izraelskich komentatorów, można się spodziewać, że teraz ogon będzie machał psem.

Ben-Gvir chce utworzenia nowego resortu, tj. ministerstwa bezpieczeństwa publicznego, na którego czele stanąłby oczywiście on. Smotrich miałby natomiast objąć tekę ministra obrony. Lider kahanistów zapowiada przy tym, że więzienia w Izraelu przestaną być w zasadzie potrzebne, bo palestyńskich terrorystów czeka kara śmierci (którą planuje przywrócić w tym samym pakiecie nowelizacji kodeksu karnego, która ma dać immunitet Bibiemu), a izraelscy żołnierze otrzymają immunitet. Ponadto planuje masowe deportacje (oczywiście do Europy) nielegalnych wobec państwa Arabów, w tym Aymana Odeha, lidera arabskiej partii Hadash (pięć miejsc w Knesecie). To i tak wersja soft programu Ben-Gvira, gdyż – jak sam podkreśla – zrezygnował z postulatu wygnania wszystkich Arabów. Ben-Gvir i Smotrich chcą zwalczać jeszcze jednego wroga, tj. reformowanych judaistów. To nurt bardzo popularny w USA, zwłaszcza w żydowskich kręgach Partii Demokratycznej. A zatem jeszcze jeden powód,

by relacje między nowym rządem Netanjahu a administracją Bidena weszły w erę lodowcową.

Netanjahu liczy zapewne, że przejęcie Kongresu przez republikanów spowoduje, że relacje USA – Izrael nie ulegną pogorszeniu. Ale koalicja z Ben-Gvirem może również skomplikować relacje Izraela z państwami arabskimi, z którymi dopiero co znormalizował on relacje w ramach Porozumień Abrahamowych, np. Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Paradoksem jest przy tym to, że to za rządów Netanjahu zostały one podpisane, tyle że wówczas w rządzie nie było ani Ben-Gvira, ani Smotricha. Już obecnie młode pokolenie Palestyńczyków

polskich Żydów w judaistyczną wersję Arabii Saudyjskiej jest już na wyciągnięcie ręki, tylko zamiast szariatu będzie halacha. Religijni Syjoniści oraz dwie partie ortodoksyjne zdobyli łącznie w ostatnich wyborach 25 proc. głosów i jest to rekordowa liczba w historii Izraela.

Tymczasem demografia pracuje na ich korzyść. Przyrost naturalny w Izraelu wynosi 1,9 proc., ale tylko 1,2 proc. u Żydów nieortodoksyjnych, podczas gdy 5 proc. wśród ortodoksów (haredi), a 2,1 proc. wśród Arabów. Odsetek Arabów od dwóch dekad pozostaje na niezmiennym poziomie 21 proc., jednakże ich aktywność polityczna rośnie

Bibi może teraz odegrać rolę izraelskiego Hindenburga, przecierając drogę kahanistom do pełni władzy

jest na krawędzi rozpoczęcia nowej intifady. Zapowiadany przez Ben-Gvira terror, wspieranie żydowskiej kolonizacji Palestyny i całkowite odrzucenie procesu pokojowego będzie rzuceniem zapalniczki do beczki z prochem. Antyarabskość kahanistów oznaczać będzie też konflikt nie tylko z Palestyńczykami, lecz także z izraelskimi Arabami. Państwa arabskie, jakkolwiek by chciały, nie będą w stanie przymknąć na to oka.

W DRODZE DO PEŁNI WŁADZY

Bibi może teraz odegrać rolę izraelskiego Hindenburga, przecierając drogę kahanistom do pełni władzy, zwłaszcza że wzrost przemocy między stronami arabską, i palestyńsko-żydowską będzie służył wzrostowi ich poparcia i to kosztem Likudu. Przekształcenie Izraela z demokracji tworzonej przez

i w ostatnich wyborach partie arabskie zdobyły łącznie 10 proc. głosów. Natomiast odsetek ortodoksów wzrósł z 4 proc. w 1980 r. do 13 proc. w 2021 r. i to mimo emigracji zlaicyzowanych Żydów rosyjskich po upadku ZSRS, którzy obecnie stanowią ok. 16 proc. mieszkańców Izraela. Ale lider partii rosyjskojęzycznych Żydów Awigdor Lieberman ma troje dzieci, podobnie jak Lapid, a Ben-Gvir ma ich pięcioro, Smotrich – siedmiu, lider partii Szas Aryeh Deri – dziewięciuro, a lider Yahadut Ya Tora Itzhak Goldknopf – dziesięciuro. Do 2030 r. odsetek nieortodoksyjnych Żydów (w tym konserwatywnych, tradycyjalistycznych, a także niereligijnych nacjonalistów) w Izraelu ma spaść do ok. 58 proc., a ortodoksi będą stanowić 28 proc. żydowskiej populacji Izraela.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NIEMIECKIE DOSTAWY, ROSYJSKIE BOMBOWCE

Dziennikarskie śledztwo „Der Spiegel” i ZDF wskazało, że niemiecka firma Wintershall Dea (należy do koncernu BASF) dostarczała paliwo, które Rosja wykorzystywała do bombowców. W odpowiedzi firma napisała, że „związek między dostawami paliwa a rosyjskimi atakami należy uznać za wymyślony”, a także nie wykluczyła jednak, iż wydobywane surowce są w jakiś sposób wykorzystywane „do celów wojskowych”. Przedsiębiorstwo skwitowało to jednak stwierdzeniem, że „nie ma na to żadnego wpływu”.

PRZYKUCI DO ODRZUTOWCÓW

Po oblewaniu obrazów zupą i przyklejaniu się do nich w galeriach sztuki aktywiści ekologiczni wykonali inną brawurową akcję. Kilka osób z organizacji Greenpeace oraz Extinction Rebellion wtargnęło na teren lotniska Schiphol w Amsterdamie. Na rowerach dojechali do samolotów i przykuli się łańcuchami do ich kół. Część przytwierdziła się do samolotu kanadyjskich sił powietrznych, inni do prywatnego odrzutowca. Z powodu akcji aktywistów na lotnisku nie mógł wylądować samolot z ciężko chorym pacjentem.



FOT. THEO WARGO/VIEWMAGE/GETTY IMAGES

MUSK ZWOLNIŁ LUDZI PRZEZ POMYŁKĘ

Elon Musk kupił Twittera. W związku z tym postanowił od razu wprowadzić porządek wśród pracowników i niektórych zwolnić. Zwolnił więc połowę załogi. Problem w tym, że geniusz zarządzania tym razem nie objawił się w pełni u Muska – część osób, którym wysłano e-maile z wypowiedzeniami, okazała się jednak niezbędna do sprawnego funkcjonowania serwisu. Wyrzucono m.in. osoby techniczne, bez których Musk nie wprowadzi swoich zmian, takich jak płatność za wyróżnione konta. Dlatego teraz wysłano do zwolnionych prośby o powrót do firmy.

DZIESIĘĆ CZERWONYCH KARTEK

W meczu o Superpuchar Argentyny sędzia piłkarski pokazał zawodnikom aż 10 czerwonych kartek. W dodatku wszystkie kartki pokazał w doliczonym czasie gry. Tak wielkie napięcie było w meczu Boca Juniors kontra Racing Club. Przy stanie 1:1 z boiska wyrzucono po jednym graczu obu zespołów (czerwony kartonik dostał też trener Boca). A potem, gdy gracz Racingu cieszył się przed trybuną kibiców rywali z gola

na 2:1, doszło do bijatyki, w którą włączyli się także rezerwowi. Spotkanie zakończyło się rozdaniem kolejnych siedmiu czerwonych kartek.

LEKI ZA SEKS

Lekarz z St. Augustine w USA – Scott Hollington – specjalizował się w leczeniu uzależnień. Jednak, jak poinformowało biuro szeryfa hrabstwa St. Johns, miał wręczać pacjentom recepty na substancje psychoaktywne bez wskazań medycznych i... w zamian za usługi seksualne. Lekarzowi grozi do 20 lat więzienia. ©© **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump przegrał w USA

Inflacja i aborcja były najważniejszymi czynnikami motywującymi amerykańskich wyborców do oddania głosu – wynika z sondażu exit poll Edison Research dla amerykańskich mediów. To powinna być świetna wiadomość dla Partii Republikańskiej, bo prezydent Joe Biden i Partia Demokratyczna fatalnie radzą sobie w walce z rekordowym tempem wzrostu cen.

Niestety, wyniki wyborów z 8 listopada nie są wcale aż tak pozytywne, jak można się tego było spodziewać. Starcie przy urnach było bardzo wyrównane. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”,

wiadomo było, że republikanom prawdopodobnie udało się odbić Izbę Reprezentantów. Losy kontroli nad Senatem były wciąż niejasne.

Na pewno nie było jednak tzw. czerwonej fali (Partia Republikańska tradycyjnie oznaczana jest czerwonym kolorem, m.in. dlatego, że słowo „red”, czyli „czerwony”, zaczyna się tak samo jak „republikanie”, z kolei demokraci oznaczani są kolorem niebieskim), czyli ogromnej przewagi republikanów nad demokratami. To fatalna wiadomość dla sympatyków konserwatystów. I ważny sygnał przed kluczowymi dla przyszłości Ameryki wyborami w roku 2024.

Fakt, że porażkę poniosło wielu republikańskich kandydatów wspieranych przez Donalda Trumpa, jasno pokazuje, że były prezydent odstrasza wielu Amerykanów.

Aby za dwa lata obóz konserwatystów mógł odebrać liberałom nie tylko Kongres, lecz także Białą Dom, warto już teraz postawić na innego kandydata (mógłby to być np. Ron DeSantis czy Greg Abbott). Start Trumpa znacząco zwiększy bowiem ryzyko na kolejne cztery lata lewicowych rządów w USA. Pytanie tylko, kto zdoła wytłumaczyć byłemu prezydentowi, że interes Ameryki może być tym razem ważniejszy od jego własnego ego. ©©

Nowe stare oblicze podatku Belki



Jakub Wozinski

Proponowane kosmetyczne zmiany w tzw. podatku Belki pokazują, że rząd wciąż nie jest gotowy na to, aby pomóc obywatelom realnie chronić się przed inflacją

Jak mawiał bohater Giuseppe Tomasi, „trzeba wiele zmienić, żeby wszystko zostało po staremu”.

Z przykrością należy stwierdzić, że oddaje ono istotę wielu zmian dokonywanych w ostatnich latach w polskim systemie podatkowym. Od czasu, gdy za sterami polskich finansów stanął najpierw jako minister, a później jako szef rządu Mateusz Morawiecki, mieliśmy już do czynienia z niezliczonymi pakietami reform, które zapowiadane jako przełomowe przynosiły koniec końców niewiele znaczące modyfikacje. Wystarczy wspomnieć o „100 zmianach dla firm”, Konstytucji Biznesu czy też wiecznie poprawianym „estońskim” podatku CIT. W ten schemat wpisał się także Polski Ład, którego najważniejszym skutkiem

okazało się jeszcze dalej idące skomplikowanie systemu podatkowego oraz ożywienie w branży doradców podatkowych (co prawda, zgodnie z pierwotnymi zapowiedziami jego autorów, do 2030 r. Polacy mają żyć na takim samym poziomie jak reszta Europy, ale dziś niewiele się już na ten temat słyszy).

DWADZIEŚCIA LAT Z BELKĄ

Kolejnym elementem strategii ogłaszania wielkich zmian przynoszących odwrotnie proporcjonalne skutki w bilansie budżetowym okazuje się zapowiedź długo oczekiwanej modyfikacji podatku Belki. Rząd zapowiadał chęć dokonania zmian już w wakacje, ale na pierwsze konkrety trzeba było czekać aż do jesieni. W tym roku mija już 20 lat, od kiedy postkomunistyczny minister finansów Marek Belka wprowadził podatek od dochodów kapitałowych, który początkowo obejmował jedynie odsetki od depozytów i lokat bankowych. W 2004 r. rozszerzono jego obowiązywanie także na dochody z inwestycji kapitałowych. Środek tymczasowy, przyjęty w celu zasypania „dziury Bauca”, nie został jednak nigdy wycofany i przez lata skutecznie ograniczał skłonność obywateli do oszczędzania oraz inwestowania. Na dodatek kolejne rządy uznały jednogłośnie, że jego stawka nie odbiega zaledwie od

standardów panujących w innych krajach i dlatego nie wymaga żadnych zmian.

Szkodliwość podatku Belki stała się szczególnie dokuczliwa, gdy na początku 2021 r. do Polski zawitała ponownie wysoka inflacja. Okazało się wówczas, że wszelkie depozyty czy lokaty nie dość, że są obciążone podatkiem od dochodów kapitałowych, to na dodatek zjada je drugi podatek – wszechobecny wzrost cen. Rządzący wyciągnęli do obywateli rękę i zaoferowali bijące latem rekordy popularności obligacje o zmiennym oprocentowaniu opartym na stopie referencyjnej NBP. Mieli w tym jednak oczywisty interes własny związany z chęcią ściągnięcia z rynku nadmiaru pieniędzy, które sami w dobie pandemii wpuszcili w znacznych ilościach do gospodarki. Oprócz tego już od wiosny trwa przeciąganie liny między bankami a rządem, który chce je skłonić do znaczących podwyżek lokat. Obecnie oprocentowanie to wynosi przeciętnie 7–8 proc., co przy inflacji sięgającej już 17,9 proc. nadal nie tworzy szczególnej zachęty do oszczędzania.

Jako że banki wciąż nie podnoszą oprocentowania lokat do dużo wyższych poziomów, rząd zdecydował się ogłosić wreszcie intencję zmian w podatku Belki. Zgodnie z zapowiedziami od 1 stycznia 2024 r., a może nieco



Potencjalna likwidacja podatku Belki (lub przynajmniej zdecydowana jego obniżka) przyczyniłaby się także do zwiększenia poziomu oszczędności i działałaby antyinflacyjnie. Z oczywistych względów rząd nie pali się jednak do realizacji takiego scenariusza, ponieważ groziłby on pewnym spadkiem przychodów budżetu i koniecznością dokonania pewnych cięć po stronie wydatków. Rządzący od samego początku swoich rządów przyzwyczaili nas do tego, że zdecydowanie bardziej preferują występowanie w roli rozdających pieniądze obywateli niż pozwalających na to, aby to oni sami decydowali, co się z nimi dzieje.

NAJNIŻSZY WYMIAR KARY

Przez ostatnie lata podatek Belki w połączeniu z zenująco niskim oprocentowaniem lokat sprawił, że coraz więcej Polaków decydowało się przenieść swoje oszczędności na giełdę. Tam jednak od początku roku trwa zjazd w dół (podobnie jak na większości parkietów na świecie), przez co znacząco zawężyło się pole możliwości ucieczki przed inflacją. Podatek Belki w obecnym kształcie jest więc tak szkodliwy, jak chyba jeszcze nigdy dotąd. Pragnący zabezpieczyć się przed inflacją obywatele powinni mieć przynajmniej możliwość wyboru najniższego wymiaru kary, lecz tego im się nie ułatwia.

Wprowadzenie kosmetycznych zmian do konstrukcji podatku Belki pokazuje również jednocześnie prawdziwy stosunek rządzących do powiększania majątku przez obywateli i deklarowanej oficjalnie chęci budowania silnej klasy średniej. W krajach rozwiniętych jednym z filarów tejże jest czerpanie dochodów z wielu źródeł jednocześnie, w tym przede wszystkim z inwestycji kapitałowych. Polacy nie nadgonią nigdy dystansu dzielącego ich od zamożnych sąsiadów tylko w oparciu o dochody z pracy. Aby bogactwo mogło się kumulować, Polska nie może mieć takich samych stawek podatkowych jak kraje bogate, lecz niższe i zachęcające do pomnażania stanu posiadania.

Konstrukcja zmian w podatku Belki pokazuje wyraźnie, że rząd żyje w swego rodzaju rozdwojeniu jaźni. Z jednej strony bowiem wiele mówi się o szybkim nadganiu poziomu zarobków krajów „starej Unii”, a z drugiej ustawia się kwotę wolną od podatku na poziomie zaledwie 10 tys. zł rocznie. Jeśli zgodnie z obietnicami znajdujemy się właśnie na ścieżce szybkiej konwergencji z dochodami

naszych zachodnich sąsiadów, to czemu w systemie podatkowym wpisywane są progi i kwoty ukazujące zupełnie inną rzeczywistość?

PODATKOWA ŻONGLERKA

Ważnym elementem w całej układance jest niewątpliwie to, że obecnie zwolnione z podatku Belki są środki oszczędzane m.in. w ramach indywidualnych kont emerytalnych. Ewentualna radykalna obniżka podatku Belki zlikwidowałaby jedną z podstawowych zachęt do uczestnictwa w nich, a także po raz kolejny (po katastrofie OFE) zniszczyłaby wiarygodność państwa w zakresie tworzenia długofalowych programów emerytalnych. W pewnym sensie rządzący mają więc związane ręce, lecz fałszem byłoby też stwierdzenie, że nie mają pola manewru. Zmiany w podatku Belki mogłyby przyjąć zupełnie inny kształt, który ukazywałby autentycznie szczerą wolę przyjsia Polakom w sukurs w momencie, gdy ich wieloletnie oszczędności topnieją w coraz bardziej alarmującym tempie.

Podatkowa żonglerka rządu tradycyjnie już sprowadza się głównie do przekładania środków z kieszeni jednych obywateli do kieszeni drugih. Planowana przez Ministerstwo Finansów modyfikacja zakłada tak naprawdę sfinansowanie kwoty wolnej od podatku dla mniej zasobnej większości przez bardziej zamożną mniejszość. Taka sama była istota głównych zmian wprowadzanych w ramach Polskiego Ładu. Pora jednak, aby rząd zauważył wreszcie, że największym problemem nie są wcale nierówności w dochodach, lecz jego własne, niekończące się wydatki, które mają silne działanie proinflacyjne. Wprowadzenie zmian sprowadzających się do niewielkich przetasowań na korzyść drobnych inwestorów nie da praktycznie nic, jeśli rządzący nie zaczną na poważnie dbać o dyscyplinę budżetową i nie zastąpią obecnego wszechobecnego rozdawnictwa nową polityką podatkową premiującą oszczędność, inwestycje oraz produktywność.

Niechęć rządu do likwidacji czy nawet poważnej redukcji podatku Belki jest tym bardziej nieuzasadniona, że roczne przychody z jego tytułu wynosiły w ostatnich latach ok. 3–4 mld zł. Ich zniknięcie nie wiązałoby się tym samym z katastrofą budżetową, za to w przypadku wielu tysięcy osób pozwoliłoby ograniczyć skutki osobistych katastrof związanych z galopującą coraz szybciej inflacją.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

wcześniej, możliwe byłoby zwolnienie z podatku Belki kwoty do 10 tys. zł, choć przy podniesieniu stawki podatku z 19 do 20 proc. Jak otwarcie przyznał wiceminister finansów Artur Soboń, całe rozwiązanie miało być neutralne budżetowo.

BEZ REALNEJ ULGI

Nietrudno zauważyć, że propozycja Ministerstwa Finansów sprowadza się do tego, aby osoby o wyższych dochodach z różnego rodzaju inwestycji kapitałowych złożyły się na odrobinę wyższe zyski osób zarabiających zdecydowanie mniej. Takie rozwiązanie z pewnością wpisuje się w modny dziś na całym świecie model „wypłaszczania krzywej przychodów” społeczeństwa, lecz mocno chybia oficjalnie ogłoszonemu celowi przyniesienia ulgi nękanym przez inflację Polakom.

Zachowanie rządu jest niestety trudne do wytłumaczenia, ponieważ uchylając się od wzięcia odpowiedzialności za rozpędzenie inflacji do najwyższego od lat poziomu, nie chce on jednocześnie pozbawić obywatelom nawet jednej z furtek do możliwej ucieczki przed jej dewastującymi efektami. Ogłoszenie zmian w podatku Belki z pewnością dobrze sprzeda się w mediach, lecz nie wniesie żadnych istotnych i oczekiwanych zmian.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Nowotwór budżetowy

Czy Polska jeszcze kiedykolwiek będzie miała normalny budżet? Czyli taki, jaki mają cywilizowane państwa? Budżet, w którym odzwierciedlone będą wszystkie (albo prawie wszystkie) dochody państwa i wszystkie (albo prawie wszystkie) wydatki państwa?

Niestety, na razie nie tylko się na to nie zanoszi, lecz także tzw. budżet Morawieckiego – czyli ogromna „szara strefa budżetowa” – z roku na rok coraz bardziej się rozrasta, niczym nowotwór tocząc budżet państwa. I kompletnie przy tym zaburzając stan finansów publicznych, właściwie wprost je fałszując, a przez to psując państwo i jego instytucje.

Jak wynika z niedawno ogłoszonej strategii zarządzania długiem, w 2026 r. państwowy dług Polski liczony metodą krajową ma co prawda spaść do 39,9 proc. PKB – z 43,1 proc. PKB na koniec roku 2021, lecz już ten sam dług liczony metodą unijną ma wzrosnąć z 53,8 proc. PKB do 55,7 proc. PKB. A to oznacza, że różnica między długiem liczonym metodą krajową a tym samym długiem liczonym metodą unijną wzrośnie z 10 proc. PKB do aż 15 proc. PKB.

Czyli właśnie o tyle – o 10 proc. PKB – znowu rozrośnie się nasza i tak już gigantyczna „szara strefa budżetowa”. Nazywana „budżetem Morawieckiego” i „budżetem pozabudżetowym Morawieckiego” nie przez przypadek, lecz dlatego, że nie kto inny, jak właśnie obecny premier, w „twórczy” sposób i na ogromną – przemysłową – skalę zaczął korzystać

z podwójnej księgowości budżetowej, wcześniej używanej w nieporównanie mniejszym stopniu. I dzięki temu, mimo że faktyczny deficyt w finansach państwa w 2023 r. mocno przekroczy 200 mld zł, premier może w projekcie ustawy budżetowej mieć posłów i obywateli, że będzie to „tylko”... 68 mld zł.

Do prowadzenia tej podwójnej księgowości służy dziś polskiemu rządowi już aż 126 funduszy pozabudżetowych, które są zupełnie nieznane w 20 spośród 27 państw UE, a które w Polsce mnożą się ostatnio niczym grzyby po deszczu. Jak wiadomo, wydatki z nich nie podlegają kontroli parlamentu, co jest rządzącym pewnie tak samo na rękę, jak to, że mogą dzięki nim w pozakonstytucyjny sposób omijać konstytucyjny zakaz zadłużania polskiego państwa ponad limit ustalony na poziomie 60 proc. PKB.

A wiadomo – zepsuć coś, w tym instytucje państwa, jest dużo łatwiej niż je potem naprawić. Zresztą o konieczności naprawy nie wspomina w tym przypadku ani słowem nie tylko rząd, lecz także opozycja, która zapewne, gdyby przejęła władzę, chętnie skorzystałaby z tych wszystkich 126 pozabudżetowych funduszy, dających wszak przy okazji wielkie możliwości urządzania własnych ludzi.

W każdym razie w tym kontekście hasło „KONS-TYTUCJA!” – tak chętnie przywoływane przez opozycję z intencją wskazania, że jest łamana i należy bezwzględnie powrócić do jej stosowania – dziwnym trafem nie pada... ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Artykuł 41 Kodeksu wykroczeń

Wstosunku do sprawcy czynu można poprzestać na zastosowaniu pouczenia, zwróceniu uwagi, ostrzeżeniu lub na zastosowaniu innych środków oddziaływania wychowawczego” – tak mówi artykuł 41 Kodeksu wykroczeń. Od jego numeru wzięła nazwę akcja protestacyjna, którą rekomenduje NSZZ Policjantów. Ci bowiem – tradycyjnie – wykorzystują sytuację tuż przed 11 listopada do wywarcia nacisku na władzę, żeby wymusić ustępstwa płacowe i emerytalne.

Planu nie uda się wykonać pouczeniami. Trzeba wymierzać mandaty

Jedno zastrzeżenie: wiem, że w polskiej policji są funkcjonariusze naprawdę solidni, porządni, odważni i ciężko pracujący. Tacy, dla których hasło o pomaganiu obywatelom jest prawdziwą regułą, a nie tylko pustym frazesem. Ilu takich jest – nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że bardzo wielu jest takich, którzy w tej służbie być nie powinni. Którzy leczą swoje kompleksy, są niedoszkoleni, chamscy, brutalni albo bez szemrania wykonują najbardziej absurdalne i sprzeczne z policyjnym ślubowaniem polecenia władzy – tej czy

innej. Ci, którzy potrafili w czasie lockdownów ścigać staruszkę, która weszła do parku za psem, który jej uciekł. Albo którzy 11 listopada 2020 r. używali policyjnych tonf do bicia dziennikarzy i przypadkowych osób. I tym nie tylko żadna podwyżka się nie należy, ale policja powinna zostać z nich oczyszczona.

Akcja 41 jest w istocie kpiną z obywateli. Bo przecież jej założeniem nie jest łamanie prawa przez funkcjonariuszy. Wszystko odbywa się w jego ramach. A to oznacza – czego niemal nikt nie dostrzega – że policjanci mogliby identycznie działać na co dzień. Nie musieliby wlepieć mandatów za byle głupotę, mogliby korzystać właśnie z artykułu 41 Kodeksu wykroczeń. Jeśli tego nie robią, to jedynie dlatego, że rządzący wyznaczają im plan finansowy do zrealizowania, a tego planu nie uda się wykonać pouczeniami. Trzeba wymierzać mandaty.

Uruchomienie akcji protestacyjnej policjantów pokazuje, w jak patologicznym układzie funkcjonujemy: naczelnym zadaniem policji nie jest faktyczne chronienie obywateli, ale najzwyczajniej ściąganie od nich kasy pod byle pretekstem. I teraz policjanci, żeby z kolei ściągnąć kasę od rządu, złośliwie nie będą przez jakiś czas robić za swego rodzaju poborców podatkowych Ministerstwa Finansów. Ale kiedy tylko się z MSWiA dogadają, natychmiast do tej roli powrócą. ©



CASERNES
VILANOVA I LA GELTRÚ

APARTAMENTY INWESTYCYJNE W HISZPANII

- OKOLICE BARCELONY - VILANOVA I LA GELTRÚ
- MIESZKANIA W NOWYM BUDYNKU APARTAMENTOWYM
- POW. 42-74 m²
- CENY OD 145.000 € / APARTAMENT „POD KLUCZ”

INWESTYCJA REALIZOWANA W RAMACH KONSORCJUM GRUPA INWEST



KONTAKT
URSZULA HOFMAN

604 934 288
ULA.HOFMAN@GRUPAINWEST.PL
WWW.GRUPAINWEST.PL

eprasa.pl e39a249d90

Katar i choroba



Sport może dawać radość i emocje kibicom. Od tego się zaczęło dawno, dawno temu w starożytnej Grecji i warto o tym pamiętać, choć dzisiaj coraz rzadziej ta motywacja wybija się na plan pierwszy.

Od kiedy sportem zainteresowały się telewizje, stał się źródłem dobrego zarobku. Korzystają na tym międzynarodowe korporacje, związki sportowe i sami atleci, kierując się hasłem: „Dziś bohater – jutro produkt”. Wielkie imprezy sportowe mogą być też impulsem rozwojowym, okazją do poprawy infrastruktury. W Polsce i na Ukrainie, które 10 lat temu gościły piłkarskie Euro, wiemy o tym bardzo dobrze.

Jest też jeszcze jeden powód, dla którego warto się sportem interesować. Wielkie imprezy, znane nazwiska i uznane marki mogą być elementem budowania pozycji i dobrego wizerunku kraju na arenie międzynarodowej. Skoro jesteśmy gospodarzami igrzysk olimpijskich czy mi-



Łukasz Majchrzyk

Wygląda to jak droga zabawka emira, ale tak naprawdę mistrzostwa świata mają poprawić wizerunek Kataru na arenie międzynarodowej. Tylko na razie więcej mówi się o skandalach związanych z turniejem

strzostw świata, to znaczy, że społeczność międzynarodowa nas akceptuje, jesteśmy ważni, siłą rzeczy budzimy zainteresowanie i wypuszczamy w świat przekaz, który jest dla nas korzystny.

Piękne gole, rekordy, dramaty, łzy, uśmiechy, wybuchy radości, ludzki wysiłek i wielkość człowieka – to wszystko pojawia się (przynajmniej przez jakiś czas) razem z nazwą kraju. A im gorzej gdzieś jest z demokracją i wolnością, tym bardziej warto się wystarać o wielką, sportową imprezę. Dodatkowo sponsorami takich

imprez są od wielu lat wielkie, międzynarodowe korporacje, które same wyłożą przy tej okazji miliony dolarów na promocję i agencje public relations.

To zjawisko zyskało już swoją oficjalną nazwę „sportwashing” i zostało doskonale przetestowane przez wiele krajów. Katar doskonale zna te mechanizmy i zanim zorganizował największe futbolowe święto, przeprowadził wiele mniejszych imprez, m.in. mistrzostwa świata w piłce ręcznej, pływaniu czy lekkiej atletyce. Od 2002 r. przez kilkanaście lat na przełomie stycznia

Polska swój pierwszy mecz na mundialu rozegra 22 listopada z Meksykiem

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP



i lutego na Tour of Qatar ścigali się tam zawodowi kolarze, z największymi sławami na czele – ostatnią edycję w 2016 r. wygrał Brytyjczyk Mark Cavendish.

Chiny (letnie i zimowe igrzyska olimpijskie) czy Rosję, która organizowała zimowe igrzyska olimpijskie w Soczi oraz poprzednie piłkarskie mistrzostwa świata. Akurat Władimir Putin w obu przypadkach przedobrzył i splendoru oraz oklasków ze świata nie było. Igrzyska olimpijskie skończyły się skandalami dopingowymi i odbieraniem zdobytych przez Rosjan medali. Raport kanadyjskiego prawnika Richarda McLaren'a nie pozostawiał złudzeń. Killkudziesięciu rosyjskich sportowców było zamieszanych w manipulowanie próbkami do badań antydopingowych w Soczi, a ok. tysiąca mogło być zamieszanych w podobny proceder, tylko w latach 2011–2015.

A mundial? Tutaj też prezydent Rosji nie chciał zostawić niczego przypadkowi i wolnej woli członków Komitetu

Wykonawczego FIFA, którzy wybierali gospodarzy kolejnych turniejów. Do organizacji mundialu rozgrywanego w 2018 r. zgłosiła się też Anglia, która była głównym faworytem, a jej kandydaturę wspierali m.in. David Beckham i książę William. Spore szanse mieli też Belgowie do spółki z Holendrami.

I tutaj na scenę wkracza Katar, który w tym samym czasie starał się o organizację kolejnej imprezy. Za rywali Katarczycy mieli m.in. Amerykanów, którzy mieli już doświadczenia z mundialu w 1994 r., a ich liga zawodowa (Major League Soccer) rosła w siłę. Wygrał jednak Katar, który ma powierzchnię porównywalną z województwem świętokrzyskim, nie ma tradycji piłkarskich ani nawet odpowiednich stadionów. Jakby tego było mało, w czerwcu i lipcu, kiedy tradycyjnie gra się o Puchar Świata, temperatury w tym arabskim kraju regularnie przekraczają 40 st. C, co niemal uniemożliwia normalne granie w piłkę.

OD POCZĄTKU, OD KORUPCJI

Jak było możliwe zwycięstwo tego małego kraju? Amerykanie, którzy przeprowadzili śledztwo, są przekonani, że stało się to dzięki łapówkom. Tak twierdzi m.in. Phaedra Almajid, która zajmowała się PR katarskiej kandydatury, a teraz jest objęta programem ochrony świadków koronnych i mieszka gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Almajid wskazywała konkretne osoby, które miały przyjmować łapówki, a jedną z nich był Amos Adamu, który tydzień przed głosowaniem dał się podpuścić angielskim dziennikarzom z „The Sunday Times” i obiecał głosować odpowiednio za pół miliona funtów.

Nigeryjczyk na czas został usunięty z komitetu wykonawczego, jednak interesy Rosjan i Katarczyków zostały już odpowiednio zabezpieczone. W korupcyjny proceder miała się rzekomo włączyć telewizja Al-Dżazira, która obiecała przełać 100 mln dol. więcej niż potrzeba na konto FIFA, jeśli to Katar wygra wyścig o organizację mistrzostw świata. Amerykanie swoje śledztwo zakończyli, za winnych uznano m.in. Argentynczyka Julia Grondone, Paragwajczyka Nicolasa Leoza i Brazylijczyka Ricarda Teixeirę. Dwaj pierwsi już nie żyją, a trzeci nie musi się obawiać ekstradycji do USA.

Katar dostał to, czego chciał, a FIFA dostała żabę, którą musi sprawnie przełknąć. Podobno zadowolony nie był nawet jej ówczesny szef, czyli Sepp Blatter, który

marzył, że podczas jednego kongresu „swoje” turnieje dostaną Rosja i USA. Dla Katarczyków mundial, pierwszy w krajach arabskich, może być nawet wydarzeniem o charakterze państwowotwórczym, bo niepodległość uzyskali dopiero w 1971 r. i nic dziwnego, że finał zaplanowano na 18 grudnia, czyli w dniu państwowego święta.

To też element modernizacji kraju, który według zamierzeń rodziny królewskiej ma się zmienić, jednocześnie nie tracąc swojej tożsamości. Katarczycy mają patrzeć na Zachód, ale nie dać się całkowicie oderwać od korzeni, a społeczeństwo ma pozostać religijne, jednak nie w duchu fundamentalistycznym. Nie jest to łatwe zadanie, bo niemal wszyscy Katarczycy postrzegają siebie samych jako konserwatystów. Jak poradzić sobie z karaniem choćby za picie alkoholu?

A przecież trudno wyobrazić sobie mistrzostwa świata bez rozbawionych i rozśpiewanych kibiców, którzy bardzo często trzymają w ręku przynajmniej kubek z piwem. Może ich przyjechać na Półwysep Arabski nawet 1,5 mln i jeśli Katarczykom naprawdę zależy na zmianie postrzegania ich kraju, który chce się stać ważnym graczem na arenie międzynarodowej, to warto, żeby zabrali ze sobą dobre wspomnienia.

Podobno alkohol będzie można spożywać w strefach kibica, ale nie będzie on tani. Od kobiet wymagać się będzie, żeby w miejscach publicznych miały zakryte ramiona i kolana. Są też w katarskim prawie inne rzeczy, które ludziom ze świata „zachodniego” nie mieszczą się w głowie, takie jak penalizacja seksu pozamałżeńskiego czy homoseksualizmu. Z tym wszystkim pewnie by sobie jakoś poradzono, jeśli tylko nie dochodziłoby do jawnych ekscesów na dużą skalę i zamieniono wszystko pod dywan.

ŚMIERĆ PRZY BUDOWACH

Trudno jest jednak zapomnieć o losie robotników zatrudnionych przy budowie stadionów i całej niezbędnej infrastruktury. Do Kataru przyjechało ich wiele tysięcy, często z najbiedniejszych zakątków świata. I może właśnie dlatego ich los „nie jest ważny”. Są słabo opłacani, pracują w bardzo trudnych warunkach, a podczas przygotowań do imprezy mogło ich zginąć nawet 7,5 tys. Te liczby przerażają, ale są przemilczane przez władze arabskiego państwa, a FIFA – jak widać – też przechodzi nad nimi do porządku dziennego.

Do tego dochodzą fatalne warunki sanitarne, w których na co dzień żyją ci ludzie, zgrupowani w wieloosobowych pokojach, często mając do dyspozycji jedną łazienkę na bardzo wiele osób.

To wszystko jeszcze bardziej szokuje, jeśli się weźmie pod uwagę, że Katarczyków stać na to, by godziwie płacić każdemu pracownikowi. Kraj, który ma jedne z najbogatszych na świecie złóż gazu, a do tego ropę naftową, na organizację piłkarskiej imprezy wyda ponad 100 mld dol. Nie żałują też pieniędzy na reklamowanie Kataru przy pomocy największych europejskich klubów. Logo Qatar Foundation było pierwszym komercyjnym symbolem na koszulkach piłkarzy FC Barcelony (pojawiało się tam zaraz po znaku UNICEF).

Katarczycy wiedzieli też, jak przypodobać się prezydentowi Francji Nicolasowi Sarkozy'emu, który szukał nowego wła-



Mistrzostwa świata będą najważniejszym sprawdzianem dla szkoleniowca Czesława Michniewicza. FOT. PIOTR NOWAK/PAP

ściciela dla pogrążającego się w kłopotach ukochanego klubu Paris Saint-Germain. O słynnym spotkaniu, na którym oprócz prezydenta mieli się pojawić wtedy następca tronu Tamin Hamad Al Thani, ówczesny premier i minister spraw zagranicznych szejk Hamad Ben Jassem i szef UEFA Michael Platini, wielokrotnie pisała prasa. Kilka miesięcy później Katarczycy przejęli klub, a katarska stacja beIN kupiła prawa do pokazywania tamtejszej ligi. Dziś klub za petropieniądze kupuje i opłaca najlepszych piłkarzy oraz trenerów na świecie, ale nie jest w stanie wygrać Ligi Mistrzów.

Teraz wielu z tych piłkarzy, którzy na co dzień zarabiają dzięki Katarczykom, przyjedzie do tego kraju, żeby rozegrać mundial (dzięki posadzeniu miliona drzew pierwszy neutralny pod względem emisji CO₂, jak zapewniali organizatorzy). Będą świętować zdobyte bramki, a kibice będą ich okłaskiwać. Rodzina królewska będzie zadowolona, a naród katarski dostanie swoje igrzyska. Chleba im też nie brakuje. Czego chcieć więcej? © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakie są szanse Polaków na mundialu?

Najpierw przez całe lata 90. fani piłki nożnej nad Wisłą przed każdym mundialem przeżywali smutne chwile, bo oglądanie turnieju było jak podziwianie przez szybę ciastek na wystawie w cukierni. Polski futbol był w głębokim kryzysie i narodowa drużyna nie była w stanie przebrnąć przez eliminacje.

Fatum przełamał Jerzy Engel, który wprowadził kadrę do mistrzostw świata w Korei i Japonii w 2002 r., ale potem było znów już tylko gorzej. Z tamtego turnieju zostały tylko hymn w wykonaniu Edyty Górniak i piosenka Maćka Maleńczuka „Mundialeiro”, w której skarży się m.in. na porażkę 0:4 z Portugalią. Potem co turniej, to rozczarowanie – bez różnicy, czy kadrą dowodzili Polacy czy znani obcokrajowcy Leo Beenhakker lub Paulo Sousa.

Mistrzostwa Europy w 2016 r. były miłą, krótką odmianą, a zespół Adama Nawałki był o krok od awansu do półfinału turnieju. Tylko że nic nie może wiecznie trwać i już dwa lata później niemal ta sama reprezentacja zagrała na mundialu w Rosji dużo poniżej oczekiwań.

Jak będzie tym razem? Trudno wyrokować, które dokładnie miejsce zajmą Robert Lewandowski i spółka. Sam selekcjoner mówi o co najmniej czterech meczach, które chciałby, żeby jego drużyna rozegrała w Katarze. Oznaczałoby to wyjście z grupy i awans do jednej ósmej finału. Czy to plan realny? Jeśli ma się w składzie jednego z najlepszych piłkarzy na świecie, który w FC Barcelonie zdobywa gola za golem, to właściwie wszystko jest możliwe. Tym bardziej że Lewandowski nie jest jedynym atutem tej drużyny.

Jeśli spojrzymy na skład, to właściwie w każdej formacji jest piłkarz o uznanej w Europie marce. W bramce stanie zapewne Wojciech Szczęsny, który na co dzień występuje w Juventusie Turyn. W obronie kiedyś skałą i opoką był Kamil Glik, zwłaszcza w czasach gry w Torino i AS Monaco. Teraz jest w słabszej formie, ale to zawodnik o takim doświadczeniu, że jest w stanie zatrzymać nawet najlepszych napastników na świecie. Zresztą są też młodszy – Jan Bednarek i Jakub Kiwior. Pierwszy jest zawodnikiem angielskiej Aston Villi. Drugi podbija Serie A w barwach Spezii i być może już niedługo zamieni klub na słynny AC Milan.

Za rozgrywanie akcji odpowiedzialny będzie Piotr Zieliński, którym kibice Napoli zachwycają się od kilku lat, a od dawna Polaka komplementuje też słynny szkoleniowiec Liverpoolu Jürgen Klopp. To Zieliński będzie współpracował z Lewandowskim i starał się, by kapitan reprezentacji Polski dostawał jak najwięcej podań, otwierających drogę do bramki. W ataku może zagrać też napastnik Juventusu Arkadiusz Milik. Do tego na skrzydłach Polska może liczyć na zawodników o polskich korzeniach, ale wychowanych za granicą. Na lewej stronie biega Nicola Zalewski, który dojrzewa w AS Roma pod okiem słynnego Jose Mourinho, a na prawej Matty Cash (Aston Villa).

Nazwiska wyglądają naprawdę obiecująco, a do tego trenerem jest Czesław Michniewicz, który potrafi przygotowywać swoje zespoły do najtrudniejszych zadań i je z sukcesem realizować. Jeszcze jako szkoleniowiec kadry młodzieżowej awansował z nią do mistrzostw Europy U21 (w eliminacjach wygrywając z Portugalią), a prowadząc Legię Warszawa, wszedł do fazy grupowej Ligi Europy.

Najświeższy przykład to sam awans do turnieju w Katarze. Michniewicz objął kadrę kilkadziesiąt dni przed meczem barażowym ze Szwecją i w tym czasie zdążył tak ustawić zespół, że rywale nie mieli w meczu praktycznie żadnych szans. Selekcjoner miał do dyspozycji ledwie kilka treningów, ale za to zjeździł całą Europę i rozmawiał z piłkarzami, którym przedstawiał pomysł na grę. Może nie była to piękna, ofensywna piłka, wywołująca porywy serca u kibiców, ale za to do bólu skuteczna, a to liczy się w czasie mistrzostw świata.

Pewne obawy u kibiców mogą wywołać ostatnie wyniki reprezentacji Polski, zwłaszcza lanie 6:1, które sprawiła nam Belgia, i niezbyt dobra forma w meczach z Holandią w Lidze Narodów. Polacy mają problemy, grając z zespołami świetnymi technicznie, a z takimi przyjdzie się zmierzyć w Grupie C. Na początek na Polaków czeka Meksyk, a na koniec starcie z Argentyną, której przewodzi Leo Messi (po drodze jest jeszcze Arabia Saudyjska). Nie należy się spodziewać, że w pierwszym i trzecim meczu Polacy będą nadawali ton grze. Dużo pracy w bramce może mieć Szczęsny, a Biało-Czerwonych zapewne czeka dużo biegania w pogoni za piłką.

Trener Michniewicz powtarza jednak, że czasami drużyna musi umieć „cierpieć”, czyli przetrwać trudne momenty, pogodzić się z tym, że to inni budują akcję, a samemu czekać na swoją szansę. Jeśli zdołają ją wykorzystać, to kibice na pewno wybaczą wcześniejsze cierpienia.

NASZ TEST: HUAWEI MATE 50 PRO

Bardzo jasny obiektyw i zmienna przysłona, świetny ekran OLED, eleganckie wzornictwo, szybki procesor oraz wysoka jakość wykonania – to największe zalety najnowszego i zdecydowanie najlepszego flagowca chińskiej firmy Huawei.

Nowy król fotografii. Tak najnowszy model smartfona z dopracowanej serii Mate przedstawiają sprawni PR-owcy chińskiej firmy i... trzeba im przyznać rację. Huawei Mate 50 Pro oficjalnie zdetronizował bowiem niedawno model Pixel 7 Pro w prestiżowym rankingu DXOMARK, ustanawiając przy okazji nowy rekord punktacji. I właśnie rewelacyjne możliwości robienia zdjęć i kręcenia filmów są największą zaletą testowanego modelu. Aparat główny o rozdzielczości 50 Mpix wyposażony jest nie tylko w stabilizację i laserowy autofocus, lecz także w mechaniczną przysłonę z ustawieniami od f/1.4 do f/4.0. Dzięki temu nowy smartfon Huawei naprawdę fantastycznie sprawdza się zarówno w fotografii portretowej, jak i przy robieniu zdjęć przyrody czy fotografowaniu miejskiej dżungli. Bardzo dobre są również dwa pozostałe aparaty: obiektyw szerokokątny (13 MP) oraz teleobiektyw (64 MP) robią dobre zdjęcia nawet po zmroku. Zachwyceni będą też miłośnicy fotografii makro – modliszki, pszczołki i kwiatki na zdjęciach z tego smartfona wyglądają spektakularnie.



Wrażenie robią również eleganckie wzornictwo oraz niewiarygodnie cienka ramka otaczająca ekran. Obudowa spełnia normę IP68. Całkowite pyło- i wodoszczelność oznaczają zaś, że można go bezpiecznie zabierać ze sobą do gorących jesiennych kąpeli. Również sam wyświetlacz jest naprawdę kapitalny. OLED o przekątnej 6,74 cala z HDR10+ odświeżaniem na poziomie 120 Hz zapewnia świetną jakość obrazu i bardzo dobrą płynność ruchu. Fantastyczna jest także jasność ekranu, która zarówno sprawdza się w ostrym

słońcu, jak i nie oslepia podczas nocnego czytania newsów.

Plusem jest również wysoka wydajność. Zastosowany przez Chińczyków procesor Snapdragon 8+ Gen 1 to sama w sobie bardzo szybka bestia. W połączeniu z 8 GB pamięci RAM smartfon Mate 50 Pro śmiga aż miło.

Plusem jest również szybkie ładowanie przewodowe 66 W oraz bezprzewodowe 50 W wraz z ładowaniem zwrotnym (co może się przydać, np. gdy akurat padają smartwatch lub słuchawki). Bardzo przyzwoicie brzmią również głośniczki stereo.

Wady? Mate 50 Pro to model, który pozwala Huawei z dumą wrócić do elitarnego klubu producentów najlepszych smartfonów na świecie i niestety, trzeba za to słono zapłacić. Inne minusy? Telefony Huawei nadal nie mają Androida, ale HMS – własny system chińskiego producenta – jest już na tyle dopracowany, że nie jest to już wielka przeszkoda. Można łatwo znaleźć zamienniki

aplikacji Google lub nawet korzystać z Gmaila, YouTube czy map Google (choć wymaga to już nieco więcej zachodu), a także płacić zbliżeniowo (przy użyciu będącej wirtualnym portfelem aplikacji Curve). Kolejna wada: brak obsługi łączności 5G.

W najtańszej, czarnej lub srebrnej wersji z 8 GB RAM i 256 GB pamięci na dane za Mate 50 Pro trzeba zapłacić 5999 zł. Model z 512 GB pamięci na dane i pomarańczowymi pleckami z przyjemnej w dotyku węgierskiej skóry został wyceniony na 6499 zł. © © **Jacek Przybylski**



TELEWIZOR DLA BOGATYCH

675 tys. zł. Tyle kosztuje najnowszy telewizor Samsung MICRO LED o przekątnej 110-cali, który niedawno oficjalnie zadebiutował na polskim rynku. Co sprawia, że jest aż tak drogi? Rewolucyjna technologia ukryta w matrycy. Producent zastosował w tym modelu 25 mln diod LED wielkości mikrometra, z których każda indywidualnie generuje światło i kolor. Efekt: doskonała czerń, realistyczne, żywe kolory oraz świetny kontrast. Jak podaje Samsung, telewizor MICRO LED wyświetla ponadto 100 proc. gamy barw DCI i Adobe

RGB. Ekran można też podzielić na cztery części i na każdej wyświetlać obraz z różnych źródeł. Za dźwięk odpowiada głośnik o mocy 100 W. Oczywiście ramki są niemal niewidoczne. Dla mnie nieco za duży, a to niestety jedyny rozmiar w sprzedaży w Polsce.

NIE TYLKO DLA METEOPATÓW

Stacja Pogody Premium niemieckiej firmy Hama to gadżet dla wszystkich tych, którzy nie lubią być zaskakiwani przez kapryśną pogodę. Gadżet nie tylko pokazuje temperaturę i wilgotność powietrza na zewnątrz, lecz także wyświetla prognozę pogody, dzięki czemu zawczasu poinformuje, że zbliża się sztorm lub śnieżyca. Urządzenie może również uruchomić alarm mrozowy (gdy termometr na zewnątrz wskazuje od -1 do +3 st. C) i obudzić użytkownika wcześniej, aby bez stresu zdążył odśnieżyć auto i usunąć szron z szyb. Gadżet ma też zegar, który automatycznie synchronizuje się z najbardziej precyzyjnym zegarem na świecie. Można go również używać jako ładowarki USB. Cena: 269 zł. © ©



Jacek Przybylski



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK



FOT. ADRIAN STOK

SIOSTRY GOTUJĄ

Oko na Maroko

Listopad to doskonały czas, aby zorganizować krótki wypad w ciepłe miejsce, najlepiej nie za daleko i w tej samej strefie czasowej. Dlaczego do Maroka? Bo to idealne miejsce, trochę egzotyczne, ciekawe historycznie, ze wspaniałymi zabytkami, z cudownym oceanem dla surferów, wyśmienitą kuchnią i całkiem niedaleko, bo tylko 4,5 godziny lotu samolotem z Warszawy.

Na specjalne zaproszenie ambasadora królestwa Maroka w Polsce pana Abderrahima Atmouna zostaliśmy zaproszeni na krótki wyjazd do Marrakeszu, aby bliżej poznać ten wspaniały kraj, kulturę, a przede wszystkim kuchnię.

Marokańska kuchnia to orientalne smaki, różnorodność i aromat orientalnych przypraw, dużo świeżych ziół, warzyw, ryb, owoców morza oraz mięsa – przede wszystkim jagnięcina, kurczak, baranina (wieprzowiny w Maroku się nie jada, ponieważ zabrania tego prawo muzułmańskie). Wpływ na kuchnię marokańską mieli przede wszystkim Berberowie, którzy zamieszkali na tych terenach ponad dwa tysiące lat temu, to oni wprowadzili tadżin i kuskus, następnie Arabowie, którzy wnieśli muzułmańskie zasady gotowania obowiązujące do dziś oraz wspaniałe orientalne przyprawy, takie jak cynamon czy imbir.

Na przestrzeni wieków na charakter kuchni marokańskiej

miały wpływ również europejskie kraje Portugalia, Hiszpania (ale bardziej jej południowa, andaluzyjska część) oraz Francja, dzięki której do dziś w Maroku powszechnie mówi się po francusku, spędza się czas w kawiarniach i zjada doskonale francuskie pieczywo czy słodkie wypieki.

Marokańczycy po skończonym posiłku zawsze piją herbatę miętową.

Nie sposób opisać wszystkich specjalów kuchni Maroka, jest ich zbyt wiele, możemy jedynie pochylić się nad tym, co najbardziej popularne, i zachęcić do tego, aby odwiedzić ten wyjątkowy i barwny pod każdym względem kraj.

Tadżin z kurczaka

- 1 kg kurczaka – podudzia
- 100 ml oliwy z oliwek • 3 cebule
- ½ szklanki rodzynek drobnych • 2 ząbki czosnku • 1 laska cynamonu
- 1 łyżeczka imbiru, kminu, kurkumy, soli, papryki i czarnego pieprzu • Mniej niż ½ łyżeczki cynamonu oraz kilka nitek szafranu namoczonego w wodzie • 2–3 łyżki szklanki miodu

Wszystkie przyprawy poza szafranem przekładamy do miski, dodajemy ¾ oliwy, nacieramy marynatą mięso z kurczaka i odstawiamy na min. 1 godzinę. Rodzynki zalewamy wrzątkiem, cebulę kroimy w paseczki. Pozostałą oliwę rozgrzewamy w garnku z grubym dnem, następnie układamy kawałki kurczaka, cebulę i pozostałą marynatę, posypujemy namoczonymi rodzynekami, dodajemy cynamon i dusimy pod przykryciem ok. 1,5 godziny. Podajemy z kaszą kuskus lub chlebkiem pita. ☺☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Fleczer proszę

Pani Krysiu, fleczer proszę”. Lubiłam to zdanie, zapamiętane z dzieciennych wizyt u dentystki, ponieważ zapowiadało, że borowanie już się skończyło. Działo się to w czasach wczesnego PRL, w przychodni kolejowej w Milanówku. Moi rodzice nie byli kolejarzami, pani doktor, przyjaciółka domu, przyjmowała mnie „po znajomości”. Pamiętam, że okropnie się wstydyłam, kiedy poproszona do gabinetu musiałam przejść przez pełną ludzi poczekalnię.

Z tłumu podnosił się szept i gniewny pomruk niezadowolonych. Czekali bezsilni, bo oczywiście nikt nie zadawał sobie trudu zapisywania na godzinę. Pacjent ma czekać, ile – nie wiadomo. Ile będzie trzeba. Człowiek w PRL przyzwyczajony był do czekania. Kiedy już siedziałam na fotelu, zgrzytliwy odgłos borowania od czasu do czasu przerywał stukot pociągu, ponieważ – jak przystało na przychodnię kolejową – mieściła się ona przy stacji.

Od tej pory stomatologia posunęła się do przodu o lata świetlne. U mego dentysty nie ma pociągu, za oknem rośnie akacja, jest fotel rozkładający się w łóżko (rozsunięcie zapowiada większą operację), rentgen, który się robi, nie wstając z fotela, ekran, na którym można zobaczyć zdjęcie górnej piątki, nawet panoramę mocno już przerzedzonej łańcuchy. Nie ma tylko fleczera albo ja nic o tym

nie wiem. Wiem natomiast, że sztukę stomatologiczną lat 60. dzisiejsi dentyści wspominają ze zgrozą, zupełnie jakby mówili o praktykach tubylców rwących zęby brudnymi obcęgami.

Podobno Szwedzi, którzy – jak wiadomo – bardzo troszczą się o środowisko, zaczęli ekshumować stare zwłoki, gdyż w uzębieniu spoczywających tam nieboszczyków znajduje się rtęć. Jeśli dobrze pamiętam, to plomby mego dzieciństwa również zawierały rtęć. Skakała po szybce, na której pani Krysia ugniatała ją błyszczącą motyczką. Z rtęcią w gębce przeżyłam parę lat.

Dzisiaj o rtęci nie ma mowy nawet w termometrach. Najmniejszy brak w uzębieniu można od razu uzupełnić implantem, a jeśli ktoś ma czym zapłacić, może sobie zafundować fasadę białą jak śnieg, nawet pełen komplet, jak z Hollywood. Trzydzieści dwie sztuki. Osiemdziesięcioletnia Jane Fonda zachwyca śnieżnobiałym uśmiechem brand new.

Ale kogo na to stać? Stomatologia jest drogą i rzadko pokrywa ją ubezpieczenie. Nie znam osób korzystających z państwowych dentystów, wszyscy leczą się prywatnie. Ale podobno i tak jest u nas taniej niż w Niemczech, a niedawno znajoma mieszkająca w Stanach pytała, ile u nas kosztuje leczenie kanałowe.

Ciekawa jestem tylko, czy kolejarze mają własną przychodnię. Widok z fotela na pociąg byłby nawet fajny. ☺☺



FOT. ADRIAN STOK

Już za tydzień

WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI

Zeszyt nr 10

Polscy architekci oraz konstruktorzy dróg, kolei i mostów



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl e39a249d90

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Bitwy ceprów z góralami



JACEK KOMUDA

O Nowym Targu, stolicy Podhala, napisać można cały przewodnik, mało kto jednak wie, że w mieście regularnie dochodziło do starć pomiędzy miejscową ludnością, już w XVII w. zwaną góralami, a starostami, wojskiem i władzami Rzeczypospolitej. Pierwsze konflikty związane były z działalnością Mikołaja Komorowskiego herbu Korczak, który w 1624 r. dostał dożywotnio starostwo nowotarskie, co wywołało konflikt z wielkorządcą krakowskim Stanisławem Witowskim. W ogóle Komorowski może być nazywany podhalańskim Diabłem, bo rządził się na Podhalu prawie jak Stanisław „Diabeł” Stad-



FOTODOMENA PUBLICZNA

I RZECZYPOSPOLITA

• Nowy Targ

RYS. QBA

nicki na Łańcucie, zajeżdżając sąsiadów – np. w 1609 r. starostę zatorskiego.

Bił fałszywą monetę, prowokował awantury i rabunki. Jego okrutne postępowanie z chłopami spowodowało, że w listopadzie 1630 r., po pięciu latach walki sądowej, górale wystąpili zbrojnie, zajmując i łupiąc młyny, karczmy i inne części starostwa. Ogłosili nawet powstanie „Rzeczypospolitej Nowotarskiej”. W 1631 r. uderzyli na Nowy Targ, gdzie chcieli zniszczyć przechowywane w grodzie inwentarze i rejestry ich powinności. Komorowski musiał wezwać cztery chorągwie wojska i stoczyć pod miastem bitwę zakończoną klęską buntowników. Jednak opór poddanych trwał aż do śmierci okrutnego pana.

Kolejna awantura miała miejsce w 1670 r. i jest historią wyjętą żywcem z serialu „Janosik”. Opisana została szczegółowo w relacji Mikołaja Rzadkowskiego, sługi spod chorągwi pancernej Jana Wielopolskiego, starosty nowotarskiego. Oddział ten przybył pod koniec grudnia 1669 r. do Nowego Targu, gdzie rozłożył się na leże zimowe, wysyłając deputatów do poszczególnych wsi w celu odebrania hiberny, to jest podatku. Humory dopisywały, zwłaszcza że wojskowi zwykli wybierać więcej, niż im się należało. Jak pisze o tym Jan Czubek: „Panowie deputaci, podchmieliwszy sobie i nabrawszy fantazji kawalerskiej, dopuścili się względem miejscowych górali, a może i góralek, czegoś takiego, co wszędzie indziej mogło ująć na sucho, tylko nie na Podhalu, gdzie ludność w odwiecznej walce z surową naturą i dzikim zwierzem wyrobiła sobie pewien hart i wygórowane w oczach „dolaków” pojęcie własnej godności. O tym panowie deputaci, pochodzący z równin, mogli nie wiedzieć i poturbowali w zwadzie jednego i drugiego z miejscowych gazdów, którzy nie czując się na siłach, połknęli na razie obrazę, ażeby nocą, skrzyknawszy kumotrow i podhalańskich „ujków”, tym sroższą wyrzucić zemstę”. I rzeczywiście, górale wpadli na kwatery deputatów, obili ich, znieważyli, powiązali, rabując przy tym ich rynsztunek i konie, po czym odprowadzili do Nowego Targu, zapewne składając protestacje wyjaśniające te poczynania. I tu pokazało się, że inna sprawiedliwość jest dla panów towarzyszy, inna zaś dla górali, których miejscowy burgrabia, a może nawet sam starosta, kazał wsadzić do loszku. To tylko zaogniło sytuację. Jak pisze Rzadkowski: „Górale zebrawszy się w kupę i zaopatrzwszy w broń rozmaitego gatunku, rzeczoną chorągiew, w mieście Nowym Targu

na zimowych leżach rozłożoną, jako buntownicy i nieprzyjaciele zewsząd otoczyli, znieść i w pień wyciąć, a całą substancją i wszystek sprzęt wojskowy zabrać usiłowali, ba, nawet całe miasto razem z chorągwią puścić z dymem odgrążali się, czego by byli z pewnością dokazali, gdyby nie to, że chorągiew zdrowie swe ratując i uchylając się wściekłości rozszalałej tłuszczy, dobrowolnie ustąpiła”.

Korzystając ze śniegów i zimowej pory, górale rządzili się na Podhalu aż do wiosny 1670 r. Dopiero w kwietniu hetman Jan Sobieski wysłał siedem chorągwi jazdy w celu uśmierzenia niepokojów. Mieszkańcy jednak także nie próżnowali, przygotowali obronę, formując prawie regularne oddziały wojskowe, gromadząc proch i kule, sporządzili też kilka własnych armatek – z lufami ze świeżo ściętych buków, ściśniętych żelaznymi obręczami. Podeszli pod Nowy Targ, próbując przstraszyć nadciągające oddziały, a kiedy nie odniosło to skutku, ustawili się w szyku i 1 maja stoczyli bitwę mniej więcej w okolicach dzisiejszej stacji kolejowej. Wojsko rozbiło buntowników, sam zaś Rzadkowski odstawił do Krakowa sześciu schwytanych górali – Wojciecha Gadowskiego, Jakuba Morawczyńskiego, Macieja Jaworskiego, Krzysztofa Sułkę, Jana Galasa i Urbana Drążaka – oraz dwie armaty bukowe, które wzbudziły zdziwienie wśród mieszczan. Wydarzenia te nazywane są dziś czasem przez lewicowych historyków powstaniem na Podhalu, w rzeczywistości był to typowy konflikt pomiędzy miejscową ludnością a wojskiem; podobne spotykamy, zwłaszcza w czasach wojny trzydziestoletniej, w całej Europie. Bitwa nie miała żadnych konsekwencji, nie słychać o kolejnych wystąpieniach górali ani też o szczególnie okrutnych represjach. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zanim nam padnie na Musk

Wiele się ostatnio mówi o przejęciu przez Elona Muska Twittera. Ma on postawić tą inwestycją na „monetyzację wolności słowa”. Dla wielu to ciekawa nisza, bo dożyliśmy czasów, gdy poprawność polityczna jest totalnym narzędziem dławiącym dyskusję, a lewicowe nadzieje na „ostateczne rozwiązanie” wobec ekstremizmu obecnego w wymianie myśli, każdego oprócz lewackiego, powierzono bezdusznym (?) algorytmom wyposażonym w sztuczną inteligencję.

Wielu więc ma nadzieję, że nowe pomysły Muska mają podłoże nie tylko rynkowe, lecz także ideologiczne, to znaczy, że miliarder, widząc deficyt tego rzadkiego dobra, opowiada się za tymi ludźmi i treściami, którzy są (byli?) sekowani również na jego platformie. Ale gdy się porówna główne tezy banowanych z poglądami Muska, to widać, że im... nie po drodze.

Sypnę przykładami wypowiedzi Muska. Ekologiczne: „Najwyższy czas na podatek od śladu węglowego”; społeczne: „Dla przypomnienia, jestem fanem gwarantowanego dochodu podstawowego”; covidowe: „By było jasne, popieram szczepionki co do zasady, a zwłaszcza te na COVID. Nauka jest jednoznaczna”; dotyczące transhumanizmu: „Stworzenie neuronowego połączenia jest ważne dla człowieka, by osiągnąć symbiozę z maszynami”. Do tego Elon Musk jest częstym i głośnym

gościem spotkań w Davos, tej mekki globalistów, gdzie wspiera ideę powołania światowego rządu w celu walki ze zgubnymi zmianami klimatu.

A więc nici z nadziei, że przyszedł tu samomianowany przywódca odrzuconych i będzie się mścił na cenzurze, bo sam miałby pochodzić z wolnego świata i rozumie te deficyty. Nie, to, jak widać, człowiek z tej samej paczki, a więc żadnego rewanżyzmu nie będzie. Jeśli zatriumfuje wolność słowa (na Twitterze), to jej ster znowu będzie w rękach kogoś, kto już parę razy kręcił nim w lewo. I nie ma żadnych gwarancji, że mu się nie odwidzi. A więc kubeł, może nie zimnej, ale otręwiającej wody przydałby się na skronie tych z nadzieją na przełożenie wajchy.

Bo dla antyglobalistów są tu dwa wyjścia. Albo Musk to ukryty prominentny członek New World Order, który się dostał jak farbowany lis do kurnika, gdzie dla pozoracji będą leciały tylko pióra nowych zmian, a wszystko zostanie po staremu. Albo jest pełnej krwi kapitalistą: nie musi lubić tego, w co zainwestował. Nawet jeśli bowiem, jak widać z jego wystąpień, nie jest przeciwny tym ideologicznym środowiskom, którym odebrał Twittera, to widząc, że jest zapotrzebowanie na alternatywę nowego świata, po prostu zawłaszczył tę sporą i rosnącą grupę docelową.

Nie wiem tylko, który z tych scenariuszy jest lepszy, a właściwie... gorszy. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Symbol polskiego sądownictwa

Od początku organizatorzy Marszu Niepodległości musieli pokonywać bariery administracyjne i utrudnienia. W Warszawie rządzi niepodzielnie Platforma Obywatelska, a ta, jak widać, za punkt honoru przyjęła zwalczanie wszelkiej patriotycznej tożsamości. Towarzysząca Marszowi historyczna propaganda liberalnych mediów dostarczała urzędnikom licznych argumentów uzasadniających nieprzychylnie decyzje.

Tym, co jednak było najgroźniejsze, a towarzyszyło masowej, patriotycznej imprezie w kolejnych latach, były prowokacje. Te przeprowadzane były najpierw przez tzw. organizacje pozarządowe, będące klonami zagranicznych NGO, lub wprost, jak w 2011 r., przez lewackie radykalne bojówki (Antifa sprowadzona do Warszawy z Niemiec). Osobną i ponurą sprawą jest jednak trwająca do 2015 r. seria niejawnych operacji polskich służb lub otwartych aktów represji stosowanych przez policję (mających często finał w sądach, skwapliwie orzekających skazujące wyroki).

Redakcja „Warto rozmawiać” w kolejnych latach poświęcała tym zdarzeniom sporo czasu. Nasi reporterzy podczas zajść rejestrowali przebiegających – funkcjonariuszy prewencji w cywilnych ubraniach, z szalikami piłkarskich klubów. Byliśmy świadkami aktów nieuzasadnionej przemocy wobec manifestantów, rejestrowaliśmy podpalenie „Tęczy” na pl. Zbawiciela, wozu TVN i spalenie policyjnej budki wartowniczej pod

ambasadą Federacji Rosyjskiej w 2013 r.

I jak dziś już wiemy, ten akt prowokacji został zdekonspirowany przez samych przedstawicieli Platformy podczas spotkania ówczesnej wicepremier Elżbiety Bieńkowskiej z szefem CBA Pawłem Wojtunikiem w słynnym lokalu Sowa i Przyjaciele. W podsłuchanej rozmowie pada sugestia, że inicjatorem prowokacji był ówczesny szef MSWiA Bartłomiej Sienkiewicz. O podpalenie oskarżono jednego z uczestników manifestacji spoza Warszawy. Młody chłopak, z niewielkiej miejscowości w województwie łódzkim, najpierw odsiedział dwa miesiące (w tym święta Bożego Narodzenia), potem, w trwającym kilka lat procesie, został ukarany grzywną wysokości 60 tys. zł. W kolejnych rozprawach zmieniono zarzuty, bo już odpowiadał nie za podpalenie budki, lecz śmietnika. Zmniejszono też wymiar kary na 10 tys., które oskarżony zapłacił.

Jedynymi dowodami winy były zeznania funkcjonariuszy CBŚ. Nie ma żadnych nagrań, zdjęć, nic. Nie było zeznań innych świadków. Od 2015 r. zmieniła się władza – od lat znana jest też treść nagranej wypowiedzi Wojtunika, a skazany, mimo podejmowanych licznych prób w sądach, mimo interwencji w Ministerstwie Sprawiedliwości, nie doczekał się wzruszenia wyroku. Niestety, samym świętowaniem rocznicy 11 listopada i chodzeniem w Marszu Niepodległości sądownictwa w Polsce nie zmienimy. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Mega

No to koniec. Stop. Pewna pani w TVN zaapelowała na żywo, żeby Polki się nie rozmnęwały. Stop. Nie była to żadna Lizystrata z Arystofanesa, tylko normalnie, teraz na żywo, żyjąca pani oddychająca azotem z tlenem, mieszańką. Stop. Tak, tak, użyła właśnie tego przygnębiającego, wywołującego impotencję słowa „rozmnęzać się”. Stop. Wszystko w związku z wypowiedzią Jarosława Kaczyńskiego łączącą „dawanie w szyję” przez młode Polki z małą dziećnością. Stop. Nooo... Apele o rozmnażaniu w telewizji przed godz. 22? Stop. Ręce między innymi opadają. Stop.

Przyznać należy, że wypowiedź Naczelnika wprowadziła w świat amoku wiele mediów oraz osobopostaci. Stop. „Gazeta Wyborcza” opublikowała materiał pt. „Kaczyński ogłosił: w Warszawie rodzi się najmniej dzieci. Udowadniamy, że o demografii też nic nie wie”. Stop. Dokładnie miesiąc wcześniej ta sama „Wyborcza” opublikowała alarmujący artykuł „W Warszawie rodzi się coraz mniej dzieci. Zamknięto pierwszą porodówkę”. Stop. Zostawmy logiczne dociekania, pochylając się nad jakże poetyckim „też nic nie wie”. Stop. Cymesik.

W Oslo 53-letni żonaty bankier o nazwisku Alme uznał, że nie jest już mężczyzną, tylko kobietą. Stop. Przeszedł tranzycję, tak to się chyba nazywa, znaczy, że jest już kobietą. Stop. Banalna historia, rzec by się chciało.

Stop. Niemniej Almemu było niewystarczająco i uznał, że oprócz tego, iż jest kobietą, to jest także kobietą inwalidką. Stop. Znaczy się, że nie działają mu – znaczy się jej – nogi, chociaż działają mu, to znaczy się jej nogi. Stop. W sumie, jak może, to jeździ na wózku, choć nie musi. Stop. Jednak, jak wytłumaczył Alme opinii publicznej, sprawa jest spoko, gdyż nie korzysta z miejsc dla inwalidów przy parkowaniu. Stop. Ufff! Stop.

Aczy państwo wiedzą, że przegranie procesu to wielki sukces? Stop. Też nie wiedziałem, bo nie byłem gotowy na odmienności. Stop. Dwóch polskich gejów chciało być małżeństwem, ale w Polsce nie mogą wziąć ślubu, więc wzięli na obczyźnie. Stop. Z obczyzny dostali papier ostemplowany stemplami, że oni są małżeństwem. Stop. Po przybyciu „na ojczyzny łono” udali się z papierem do urzędu celem, żeby oni, ci urzędnicy, zatwierdzili, że oni są „na ojczyzny łonie” także małżeństwem. Stop. A tu psikus. Odmówiono im. Stop. To oni po sądach. Stop. W pierwszym polskim sądzie wojewódzkim administracyjnym gong, że małżeństwem w Polsce być nie mogą. Stop. W drugim naczelnym ostateczny gong pomiędzy oczętą: że w Polsce małżeństwem być nie mogą, bo porządek prawny nie przewiduje. Stop. I wtedy przegrane sądowno geje obwieściły z triumfem, że sąd stwierdził, iż Konstytucja RP nie zabrania małżeństw. Stop. Mega. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Strażnikom
Pamięci

Małgośka, mówią mi, wy tam na prawicy uprawiacie te swoje wivisekcje historii, gładzicie wciąż o pamięci, wyciągacie mumie z grobów, bo zwyczajnie boicie się zmian i rewolucji technologicznej. Weterani konserwy i dziadersy rozdają sobie nagrody Strażnika Pamięci, a ty między nimi. Odpowiadam więc najmilej, jak umiem: „A wy, drogie lewaczki, wciąż nie rozumiecie, że to nowoczesność starzeje się najszybciej!”

Agala, owszem, z rodzaju imprezy dla błędnych Arycerzy i mędrców. Ja zresztą aspiruję do takiej starszyny, gdzie człowiek siwieje od nadmiaru lektur i świadomości, a nie nabrzmiewa od silikonu i nowych warg. Spędziłam więc czas w wybornym towarzystwie, które na dodatek przez trzy godziny nie zająknęło się o bieganiu czy wegańskiej diecie (choć może są to tak sekretne pasje, że z wierzchu nie widać). Nie było też troski o klimat, bo wskazywać może, że należymy do sekty wrogów planety. W dodatku zero parytetów, bo wśród laureatów zabrakło kobiet, no ale już sama maczystowska nazwa nagrody wiele wyjaśnia. Z niedawnej, dyżurnej ekipy strażników wyszczepienia populacji tylko jeden dziennikarz był obecny, ale wyraźnie apetyt na bankiet miał większy od obaw o własne życie wśród nosicieli wirusów. Zabrakło co prawda

w pewnym momencie komunikatu „uwaga spoiler”, ale po prostu mamy za małe doświadczenie w celebrowaniu takich oscarowych nocy. Najważniejsze było jak zwykle to, co niewidzialne. Słowa: „pamięć” i „tożsamość” padały setki razy, jakby znów chodziło o pewne zapomniane dzieło pewnego zapominanego już nieco u nas autora.

Imaginujcie sobie zatem, jak dziwne to było towarzystwo i jak bardzo odklejone od rzeczywistości podyktowanej nam przez UE. Ile w tym jednak rockandrollowej przekory i rebelii, być cały czas w kontrze do systemu i jeszcze w zgodzie z klasykami! Zwłaszcza gdy taka postawa zupełnie się dziś nie opłaca. Gdy Michnik za swoją walkę o nowy, wegański socjalizm odbiera nagrodę od socjalistycznego mainstreamu Hiszpanii, to w Polsce amok i aplauz. Gdy jednak prof. Legutko walczy na forum Europy, fechtując wyśmienicie swoim greckim sprytem, rzymską dyscypliną myśli i chrześcijańską refleksją, to pół Polski milczy lub drwi, bo to przecież eurodeputowany PiS. Nagrodę mogą mu wręczyć co najwyżej tacy odszczepieńcy jak my i nam podobni.

Czasem zastanawiam się, czy przyszlą elitę Polski będą stanowili ludzie umiejący wszędzie korzystać z aplikacji czy też umiejący tak po staroświecku korzystać wszędzie przede wszystkim z intelektu i sumienia... ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Machejczyzna

Cesarz Kaligula mianował swego konia posłem. W PRL zdarzały się awanse podobne, gdy jednym z najbardziej groteskowych „onych” od kultury został towarzysz Władysław Machejek, zwany Machujkiem, przez 40 lat redaktor naczelny tygodnika „Życie Literackie”, sekretarz KC PZPR, wieloletni poseł na Sejm.

„Jestem synem podkrakowskiej wsi” – podkreślał z dumą, choć Kisiel nazywał go „chłopem opętanym przez komunizm”, „księdzem Baką Polski Ludowej”. Przedstawiany jako wzór wszelkich komunistycznych cnót w walce z okupantem, po wrześniowej klęsce Polski w 1939 r. rozpoczął współpracę z wydawaną przez Niemców polskojęzyczną gadzinówką – fałszywym IKAC-em, popularnym „Ilustrowanym Kurierem Codziennym”, któremu ukradziono tytuł, usiłując oszukać Polaków. Poznali się jednak szybko na mistyfikacji i już pod koniec października gadzinówka padła. Młody Machujek zdążył w niej jednak – obok przemówień Hitlera – zadebiutować fragmentami swoich powieści „Nastroje” i „Kartki na miłość”, czyli półpornograficznymi, arcygrafomańskimi brechtami, jak mówił o nich Wiktor Trościanko w Radiu Wolna Europa.

Włos za to Machejkowi z głowy nie spadł, został bowiem członkiem GL, PPR, utrwalaczem ludowej władzy walczącym głównie z „podhalańską bandą” Józefa Kurasia „Ognia”, którego komuniści bali się rzeczywiście jak ognia. Świetnie się sprawdził, awansowano go więc na jeszcze bardziej odpowiedzialny front kulturalny – redaktora krakowskich pism, m.in. „Echa Krakowa”. Jeden z pokoi swego krakowskiego mieszkania przekazał wtedy bezpiecze na tzw. lokal kontaktowy. W 1952 r. nagrodzono go więc fotelom naczelnego „Życia Literackiego”, nazywanego „Literacką rzycią” od czteroliterowego góralskiego słowa.

Czapkował wiernie wszystkim ekipom – od Bieruta do Gierka, pisując co tydzień wstępniak „Z mojego obserwatorium”. Niczym komunistyczny Savonarola gromił w nim tych, których aktualnie należało – w 1953 r. krakowskich księży oskarżanych o rzekome szpiegostwo na rzecz zachodnich wywiadów; w 1968 r. bananowych studentów; w 1981 r. Solidarność.

W 1963 r. opublikował sławetny „wywiad” Barbary Witek-Swinarskiej (jak się potem okazało, TW „Krystyny”) z Witoldem Gombrowiczem, któremu włożyła ona w usta słowa o bagatelizowaniu zbrodni hitlerowskich na Polakach, rozpętując przeciw niemu nagonkę.

Pisał zawsze swoim specyficznym bełkotem, nazwanym przez Stanisława Barańczaka „machejkizmem” lub „machejczyzną” – dosadny, pieprzno-partyzancki język mieszał się tu z partyjnymi frazesami o „watażce Andersie”, nieszczęśnych zdrajcach, Hłaskach i Tyrmadach, rewizjonistach. Słyszał też z prostackiego, rubasznego humoru. W październiku 1978 r. na zebraniu organizacji partyjnej, po wyborze Wojtyły na papieża, powiedział: „No to będziemy teraz lizać dupy katolikom!”. Ktoś dodał: „O ile na to pozwolą”. Machejek, który za kołnierza nie wylewał, wyjął wtedy pół litra, ulubioną zagrychę – boczek i salceson – i wznosił toast: „Na pohybel katolikom!”.

Ale dzięki temu, kim był „Życie Literackie” mogło więcej, miało lżejszą cenzurę i zdarzały mu się teksty, które nie mogły się ukazać gdzie indziej. Pod koniec lat 70. opublikowała tu mój reportaż „Więzienne dzieci” – o oddziale w kobiecym więzieniu w Grudziądzu dla skazanych w ciąży oraz ich urodzonych tam dzieci, którego nie puściła cenzura w mojej macierzystej warszawskiej „Kulturze”. W „Życiu Literackim” pracowało też lub tylko pisało, robiąc swoje, wiele

dobrych nazwisk, m.in. Wisława Szymborska, Andrzej Kijowski, Jan Błoński, Ludwik Flaszen, Leszek Elektorowicz, Jerzy Lovell, Elżbieta Morawiec, Tadeusz Kwiakowski.

Był też Machejek płodnym pisarzem, a raczej propagandzistą, naczelnym grafomanem PRL, autorem przeszło 50 książek, wznawianych w wielkich nakładach, lansowanych. Pisywał powieści półpornograficzne, np. „Płonącą lilie” – o Joannie d’Arc, która nie była wcale orleańską dziewczicą i spółkowała, „kwicząc z radości”, ze swoim jablekowitzym koniem. Głównie jednak wydawał wspomnienia o likwidacji „leśnych band”. W „Rano przeszedł huragan” zamieścił duże fragmenty rzekomo autentycznego dziennika „Ognia”, w istocie wymyślonego przez siebie, spreparowanego. Jego fałszerstwa zrobiły z „Ognia” bohaterskiego Żołnierza Wykłętego, niekoronowanego króla górali, zwyrodniałego sadyzę terroryzującego Podhale, podpalacza i mordcę, zwłaszcza Żydów. Rzekome dzienniki „Ognia” cytował w swoim „Strachu” Jan Tomasz Gross, opierając na nich sądy o antysemityzmie niepodległościowego podziemia. Przeciw kłamstwom Machejki protestacyjne listy do paryskiej „Kultury” pisali nawet byli funkcjonariusze UB, którzy wiedzieli, jak było. Wszystko na próżno. Machujek był nietykalny i bezkarny.

W latach 80. drukował piracko w „Życiu”, nie przestrzegając praw autorskich, zakazane dotąd książki, np. „Doktora Żywago” Pasternaka, który, jak twierdził, za życia go do tego upoważnił. „Partia mnie mianowała i tylko ona może mnie odwołać” – mówił. I tak się stało. Pozbawione państwowej kropłówki „Życie Literackie” padło w 1990 r., on natomiast zmarł rok później. Barańczak poświęcił mu epitafium: „Tu śpi Machejek. Ileż to razy, Machejku / Czar twego stylu kazał nam zawyć / O jejkul!”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W USA nie mam płotu dookoła domu. W Polsce mam ja i wszyscy sąsiedzi i „ścigamy się” na wysokość i szczelność; sadzimy tuje i krzaki. Wały ziemne i zapory z parawanów stawiamy nawet na plaży – takie w Polsce są zwyczajne.

W USA na plaży obyczajne są odwrotne – siadasz daleko od innych i czekasz na faceta, który zarabia na wynajmowaniu leżaków. Podejdziesz, doniesie, rozstawi, skasuje (niewiele) i odejdziesz. A po zachodzie słońca sam sobie pozbiera swój sprzęt – nie musisz odnosić.

W USA stawiam płoty, żeby mi krowy nie uciekały. W Polsce stawiam płoty, żeby mi ktoś/coś na moją ziemię nie wlało. Mój płot amerykański służy do zatrzymywania wewnątrz – polski służy do odgradzania się od świata. To są dwie odrębne idee.

Mur berliński służył do zatrzymywania obywateli wewnątrz państwa policyjnego. Nikt nie próbował tej zapory forsować od zewnątrz. Ludzie byli zamknięci jak było.

Trwa pyskówka z powodu płotu na granicy z Rosją, mimo że odgradzanie się jest u nas normalne i powszechne. Każdy ma jakiś płot. Nawet w blokach ludzie odgradzają się pomiędzy balkonami. Czemu więc płot na granicy z Rosjami jest niedobry? Opozycja krytykuje samą ideę, czyli ich zdaniem każdy płot jest zły niezależnie od tego, jaki będzie. Podobne podejście mieli do płotu na granicy z Białorusią.

Litwa zakończyła stawianie swojego płotu i tam wszystkie strony polityczne współpracowały z rządem. Dyskutowali, ale nad tym, jak ten płot ma konkretnie wyglądać i do czego



FOTO: W. CEJROWSKI/UTD/ARND BRONKHORST

służyć – czy ma być na ludzi czy na czołgi, czy na co. Gdy już wybrano model, nikt nie pyskował, że zaporą jest niegrzeczna, niehumanitarna, nieekologiczna (bo zatrzymuje zwierzęta).

Polska opozycja nie krytykuje idei płotu litewskiego, natomiast krytykuje ideę płotu polskiego, choć obie idee są takie same. To jest w gruncie rzeczy jeden i ten sam płot – zewnętrzna granica NATO – podzielony na odcinek litewski i odcinek polski. Czemu więc odcinek litewski jest dobry, a odcinek polski jest „niemożliwy”?

Ludzie Tuska nie odpowiadają na takie pytania. Z tego wynika, że opozycji nie chodzi o płot, lecz o jakieś inne interesy. Nie wiem, jakie konkretnie, bo gdy politycy cokolwiek mówią, człowiek roztropny przyjmuje założenie, że kłamią lub się mylą. Jest to założenie bezpieczne, a wynika z naszych wieloletnich doświadczeń z politykami. Gdy jakiś polityk czasami powie prawdę lub się nie myli, jest to zdarzenie przypadkowe bez znaczenia.

Wolę zakładać, że każdy polityk to wyrachowany cynik lub zwykły głupek, bo wtedy pomyślę się rzadziej, niż gdybym zakładał, że polityk jest uczciwy i zawsze mówi prawdę niezależnie od tego, czy mu się to opłaca czy nie. Zakładam więc, że polska opozycja krytykuje polski płot z jakichś powodów nieznanymi opinii publicznej, o których oni głośno nie mówią.

Jakie to mogą być powody? Interes niemiecki? Bezpieczna i odgradzona Litwa Niemcom nie przeszkadza, bo Litwa leży na uboczu. Odgradzona Polska przeszkadza Niemcom w kon-

taktach z Rosją. Oni zawsze chcieli mieć wspólną granicę i najlepiej żyło im się w czasie zaborów oraz w okresie, gdy Stalin kumplował się z Hitlerem i podzielili sobie Polskę, zawierając pakt Ribbentrop-Mołotowa. Teraz kanclerz niemiecki mówi to samo – powiedział tak: „Gdy skończy się wojna, będziemy musieli ze sobą współpracować; Rosja pozostanie naszym sąsiadem”. Kogo miał na myśli, mówiąc „naszym sąsiadem”? Sąsiadem Niemiec? A w jaki sposób, skoro Polska leży pomiędzy? Co on miał na myśli? Jakiś korytarz, tym razem nie do Gdańska, lecz do Królewca?

Najpierw kanclerz Niemiec mówi coś takiego, a potem tłumaczy i odkręcają, że z kontekstu jasno wynika, że kanclerzowi chodziło nie o Niemcy, lecz o całą Unię Europejską – miał na myśli, że Rosja pozostanie sąsiadem Unii.

Ja tam wolę zakładać, że on jednak miał na myśli sąsiedztwo bezpośrednie Niemiec i Rosji ignorujące los Polski. Takie założenie może się komuś wydawać absurdalne, ale bezpieczniej jest przyjąć mój sposób myślenia i przynajmniej rozważać teoretyczne zagrożenie niż przyjmować na wiarę, że kanclerz wypowiadał się na temat Unii. A co, jeżeli nie? Co, jeżeli myślał wyłącznie w kategoriach interesu niemieckiego? Czy jesteśmy przygotowani na tę ewentualność, że Niemcy właśnie dogadują się z Rosjami ponad głową Polski? Przecież niemiecka spółka sprzedaje Rosjkom – teraz, w trakcie wojny – komponenty do produkcji uzbrojenia. To jest współpraca podobna do tego, co Rosja i Niemcy robiły po pierwszej

wojnie światowej. Niemcom zakazano się zbroić, więc dogadali się z Rosjami, wysłali swoich inżynierów do fabryk położonych na terenie sowieckiej Rosji i tam, w ramach współpracy gospodarczej, produkowali uzbrojenie dla siebie i dla nich.

Jestem paranoikiem? Nie wiem. Po dojściu Hitlera do władzy Józef Piłsudski ostrzegł, że Niemcy szykują się do kolejnej wojny i dlatego należy na nich uderzyć przewencyjnie. Gdyby alianci zdecydowali się na taki ruch, nie byłoby drugiej wojny światowej. Woleli jednak mówić, że stary Marszałek ma paranoję z czasów zaborów, chorobliwie nie lubi Niemców i Rosjów i dlatego gada głupoty.

Zapora na polskiej granicy powinna być realna, nie symboliczna. Siatka i druty są skuteczne na cywilów, a to powinna być zapora przeciw inwazji wojskowej. Istnieją zapory powstrzymujące czołgi i transportery. Można sobie popatrzeć na fortyfikacje dookoła amerykańskich ambasad w krajach agresywnych – pocisków się nie zatrzyma, ale czołg nie przejedzie.

Należy zakładać teoretycznie, że Putin pokona Ukrainę i zajmie całą. Trwa wojna, nie wiemy, kto ją ostatecznie wygra. Dlatego zapora powinna dotyczyć także granicy z Ukrainą, a nie tylko z obwodem kaliningradzkim. Taka zapora leży w interesie Ukraińców, bo większość uciekła do Polski. Za tą zaporą schowa się, w razie czego, także rząd Ukrainy na uchodźstwie.

Nikt w rządzie nie rozważa takiego scenariusza? Czemu?

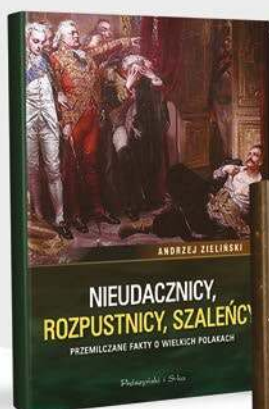
Z okazji pandemii przygotowaliśmy się na najgorsze TEORETYCZNIE możliwe scenariusze. Czemu więc z okazji wojny nie przygotowujemy się na scenariusz wygranej Putina? ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

ANDRZEJ ZIELIŃSKI: „NIEUDACZNICY,
ROZPUSTNICY, SZALEŃCY” ORAZ “WIELKIE
MIŁOŚCI, ROMANSE, ZAZDROŚCI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1196 zł~~

365,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 831 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e39a249d90



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY